

MARCIN SZCZYGIELSKI:

Czarny młyn:

Ilustracja na okładce Józef WiikońProjekt graficzny, projekt okładki i stron
tytułowych Marta MalesińskaRedakcja Beata ŻmichowskaKorekta

jSylwiaKuzieiaCopyright by Wydawnictwo Piotra MarciszukaSTENTORCopyright
by Marcin SzczygielskiWarszawa 20nISBN 978-83-61245-64-3Łamanie Studio
ManagangDruk!

OpolgrafWydawnictwo Piotra MarciszukaSTENTOR02-793 Warszawa,ul.

Przy BażantarniH.

tel.(22) 544 59 00

faks(22)5445903www.

stentor.

ple-mail: stentorstentor.

com.plIleich jest?

Jak myślicie?

- pytajusta, przyglądając się kuli dmuchawca.

Jest początekłata.

Bardzo gorące, rozedrganepowietrze niemal stoi w miejscu.

Leżymyna trawie niedaleko autostrady, którą pędzą jeden za drugim wielkietiry i
samochody osobowe.

Tu upał jest trochę bardziejznośny, bo chociaż spaliny nie pachną przyjemnie,
tojednak przejeżdżające auta poruszają nieco powietrzei popychają w naszą stronę
lekkie powiewy wiatru.

- Czegoile jest?

-pytam sennym głosem.

Leżę na plecachi spod przymrużonychpowiekspoglądam na błękitne niebo, na którym
widaćkilkaniędużych,postrzępionych obłoków, wolno sunącychw stronę autostrady.

Obracamgłowę isięgam po jeden z rosnących obok mnie dmuchawców.

Kiedy gozrywam, z przerwanej łodygi wypływa biała kropelka.

' soku.

Unoszę dmuchawieci spoglądam przez niego na chmury.

- Nasionek.

- Mnóstwo - mówię.

- Cała łąka.

- Jak to łąka?

- dziwi się Karol.

- Gdyby każde z nich znalazło sobie dobry kawałek ziemi, wyrosłoby i zamieniło się w mlecz.

A gdyby każde wyrosło obok drugiego, powstałaby łąka- wyjaśniam.

- Mleczna łąka zaśmiewa się Piotrek.

- Daj, dmuchnę.

- Ten dmuchawiec to Młyny - rozmarzonym tonem odzywa się Natalka.

- A te nasionka to my.

Na razie jesteśmy razem, ale kiedy przyjdzie czas, każde z nas gdzieś poleci i znajdzie swój kawałek ziemi.

- O, matko - wywracam oczami.

Natalka ma wyjątkowy talent do wymyślania takich poetycko-dziewczyńskich głupot.

- No, co?

obrusza się dziewczynka.

- Może nie jest tak?

- Nie jest.

Nigdzie stąd nie odlecimy.

- Ja tak- upiera się Natalka.

- Zobaczysz.

- Ja też odleczę - odzywa się niespodziewanie Melka.

6

Obracam szybko głowę w jej stronę i uważnie przyglądam się mojej siostrze.

Melka rzadko coś mówi, ale kiedy już się odzywa, zazwyczaj zaczynają się kłopoty.

- Wszystko dobrze - mówię na wszelki wypadek.

Nagle powietrze wokół nas zamiera, cichnie nawet silników pędzących autostradą samochodów.

W niespodziewanej ciszy wyraźnie słychać tylko odległe buczenie transformatorów na słupach wysokiego napięcia, których gęsty las wyrasta za Młynami.

Karol podrywa się siada na trawie.

- Co się dzieje.

- Zaczynam niepokojem, ale w tym samym momencie oddali, gdzieś od strony zabudowań dawnego kombinatu dobiega przeraźliwy, skrzypiący dźwięk.

Zgrzyt rozdieranego metalu niczym grzmot toczący się przez łąki w naszym kierunku.

Natalka z przerażenia wydaje z siebie krótki pisk i jakby mały krzyk, gdy ziemia pod moimi plecami drży lekko.

Odgłos kończy się nagle jak ucięty nożem.

Głośno wypuszczam powietrze.

Nasiona dmuchawca ulatują moim oddechem, kołyszą się nademną i wolniutko zaczynają sunąć w powietrzu.

Przyglądam im się z marszczonym czołem, bo jest w nich coś dziwnego.

Obłoki daleko w górze suną w stronę autostrady, jednak maleńkie, postrzępione parasolki płyną nade mną w zupełnie innym kierunku.

W kierunku wsi.

W stronę Czarnego Młyna.

- Biedne, biedne, biedne króle!

plączliwie odzywasię Melka i zaczyna szlochać rozdzierająco.

Zrywam się natychmiast z trawy, dopadam do mojej małej, zapłakanej siostry, unoszę ją z koca imocno obejmując.

Zapominamo dmuchawcach.

To jest opowieść o tym, jak moja siostra ocaliła Młyny, nas, a może nawet cały świat.

Mam na imię Iwo, niedługo skończę jedenaste lata. Mieszkam w małej miejscowości Młyny, która leży między Poznaniem a Warszawą, w Polsce.

Właściwie Młyny są po prostu wsią, ale nikt tu nas nie mówi, bo nie uprawia się tu pól i nie hoduje zwierząt.

Kiedyś Młyny były bardzo ważne, bo mieściła się w nich wielka spółdzielnia rolnicza, w której przetwarzało się nasiona i robiło różne rodzaje karmy dla zwierząt oraz nawozy.

W mojej szkole, dodziś w klasie biologicznej wisi na ścianie wielka tablica, na której pokazany jest kombinat przetwórczy w Młynach i mnóstwo rysunków różnych zbóż, które tu przerabiano.

Nazdjęciu widać naszą wieś - domki otoczone zadbanymi ogródkami, zwierzęta i uśmiechniętych ludzi.

Teraz Młyny wyglądają zupełnie inaczej.

Część mieszkańców wyprowadziła się, kiedy zlikwidowano spółdzielnię, zostali tylko starsi i tacy, którzy nie mieli się dokąd przenieść.

Ponad połowa domów jest pusta, ma powybijane szyby i dziury w dachach.

Pani Palikowa, która jest sołtysem Młynów, próbowała namówić mieszkańców, żeby wzięli się do rozbiórki puszczonej gospodarki albo przynajmniej zaprowadzili w nich porządek, ale nikomu się nie chciało.

Czasami bawim się w tych domach, my, dzieci z Młynów, ale tylko wtedy, kiedy pada i niemożna biegać po łąkach.

Puste domy są nieprzyjemne - ich wnętrza pachną wilgocią i zawsze wydają się ciemne, nawet wtedy, kiedy jest słoneczny dzień.

Można w nich jednak znaleźć różne bardzo ciekawe rzeczy, więc kiedy już naprawdę nie mamy żadnego lepszego zajęcia, wchodzimy do któregoś z nich przez wybite okno albo nawet przez drzwi, o ile nie są zabite

9.

deskami, i buszujemy po kątach.

Ale tylko wtedy, kiedy jesteśmy razem, i tylko w ciągu dnia.

Żadne z nas nigdy w życiu nie wybrałoby się do opuszczonego domu po zmroku, a już przenigdy w pojedynkę.

No, może tylko Piotrek i Justa.

Jest nas, dzieci, w Młynach sześcioro.

Najbliżej mnie mieszka Piotrek, który jest starszy ode mnie o dwa lata.

To mój najlepszy przyjaciel.

Piotrek jest bardzo dzielny, niczego się nie boi i ciągle wdaje się w bójkę w szkole.

Nasza pani mówi o nim, że jest łobuzem, ale Piotrek wcale nie jest zły.

Po prostu latwo traci nad sobą panowanie.

Dalej mieszka Natalka, ma dziewięć lat, a jej mama robi w domu koronkowe obrusy, które sprzedaje w sklepie w Siejach - najbliżej położonej wsi, w której znajduje się nasza szkoła.

Dojeżdżamy doniej specjalnym autobusem.

Natalka ma ciemne włosy i wielkie szare oczy.

Ciągle chodzi z głową w chmurach, jest trochę strachliwa i wymyśla przeróżne poetyckie dyrdymały, jednak nie sposób jej nie lubić.

Za domem Natalki są dwa opuszczone gospodarstwa, a w trzecim mieszkają z swoją mamą bliźniaki Karol i Justyna.

Ich tata pracuje w fabryce telewizorów pod Poznaniem i do domu przyjeżdża tylko w weekendy.

Justa i Karol mają po

10

dwanaście lat i są do siebie bardzo podobni, ale tylko z wyglądu.

Justa lubi rośliny, zbiera polne kwiaty, suszy je między kartami ogromnego, starego słownika angielsko-polskiego, a potem wkleja do specjalnego zeszytu i dokładnie opisuje.

W ogóle jest bardzo systematyczna i wydaje się dużo starsza od Karola.

Moim zdaniem prosto brak jej fantazji.

Natomiast jej brat ma fantazję aż nazbyt bujną.

Najbardziej interesuje się komiksami, szczególnie serią o Batmanie i X-Menach.

Uwielbia bawić się w różne fantastyczne gry, w których strzela się z laserowych pistoletów, używa pół siłowych aparatów do teleportacji.

I wreszcie w najdalej położonym domu, najbliższej autostrady, mieszka najstarszy z nas, Paweł.

Uczy się w technikum imyśli, że jest już dorosły.

Rzadko chce się z nami bawić, ale nie ma wyjścia, bo w Młynach nie ma nikogo, kto byłby bardziej od nas zbliżony do niegowiekiem.

Paweł chce zostać elektronikiem.

Wyszukuje różne stare, niedziałające urządzenia i mówi, że je naprawia, chociaż tak naprawdę rozmontowuje je po prostu na części.

Mieszka tylko z ciotką, bo jego rodzice wyjechali do Niemiec, do pracy.

Ciotka Pawła makróliki - prawie czterdzieści.

Są to jedyne zwierzęta hodowane w Młynach.

11.

Ja, Piotrek, Natalka, Karol, Justyna i Paweł to wszystkie dzieci, jakimi mieszkają w Młynach.

Jest jeszcze oczywiście moja siostra Mela, ale o niej opowiem później.

W Młynach niema prawie żadnych zwierząt, bo się nie udają, jak mówi Babka.

Zwierzęta nie lubią Młynów i ludzie przestali je trzymać.

Krowy niedawały mleka i były chude, chociaż ciągle jadły i jady.

Z tego, co wiem, krowy niewiele robią poza jedzeniem.

Kurynie chciały mieć jajek, a świnie, którym przecież zawsze jest wszystko jedno, chorowały i były ciągle smutne.

W Młynach zostały tylko króliki ciotki Pawłai trzypsy, w tym nasz Karmel.

Drugi to Kunuś pana Kaweckiego, który jest bardzo groźny - oczywiście mamną myśli Kunusia, a nie jego pana, który często się śmiecha, ma całkiem łysą głowę i sięga naszej Babcezaledwie do ramienia.

Trzeci pies w Młynach to Zebrapaństwa Szymańskich.

Zebra wcale nie jest wpaski, tylko całkiem czarna, a właściwie to już siwa, bo ma bardzo duży lat.

Całymi dniami śpi w swojej budzie i czeka tylko na listonosza z Siej, który przyjeżdża do nas na skuterze raz na tydzień.

Zebra nie lubi skuterów.

A kotów w ogóle nie ma w Młynach - uciekł stąd bardzo dawno temu, kiedy byłem mały.

Babka nie

12

lubi kotów i mówi, że to jedyna pociecha, że się od nas wyniosły, tym bardziej że przecież w Młynach nie ma ani myszy, ani szczurów, więc koty nie są potrzebne.

Ja myślę, że koty są ładne, i żałuję, że nie chcę nam im mieszkać.

Kiedyś pytałem mamę, dlaczego w Młynach nie ma zwierząt i dlaczego się u nas "nie udają".

Mama powiedziała, że to dlatego, że mieszkamy w specjalnym miejscu.

Młyny są położone w martwym trójkącie.

Zapytałem wtedy, czy to jest taki trójkąt jak ten Bermudzki, o którym widziałem film na DVD u Karola.

Mama najpierw zaczęła się śmiać, a szybko spoważniała i powiedziała, że właściwie to tak jest.

Wierzchołkiem naszego trójkąta jest dawny kombinat.

Jedyna droga do Młynów prowadzi właśnie obok niego.

Kombinat spłonął na rok przed moim urodzeniem.

To było wielkie wydarzenie, podobno pokazywali relację w telewizji.

Budynki paliły się przez trzy dni, strażacy nic nie mogli zrobić.

Wszyscy mieszkańcy Młynów oglądali ten pożar i balisę, czy ogień nie przeniesie się do wsi.

Po trzech dniach spadł deszcz i ugasił płomień.

Pracownie i wszystkie zabudowania spółdzielni się spaliły.

Został tylko ogromny, betonowy młyn.

Ogień osmalił go tak,

13.

że stał się jednolicie czarny.

Pięćszerokich, żelaznychramion wiatraka poskręcało sięod gorąca i sterczy
nawszystkie strony niczym wielkie korkociągi.

Przedtemtych skrzydeł było sześć, ale jedno ułamałosię podczaspożaru i odpadło.

Kombinat został zabezpieczony i ogrodzony.

Najpierwmówiłosię o jego odbudowie lub rozbiórce, ale po jakimśczasie wszyscy o
tym zapomnieli.

Czarny Młyn stoi,jakstał, i ani deszcz, ani śnieg, ani wiatr nie są wstanie usunąć
smolistej sadzy,która wżarła się w jegościany.

Niktsię tamnie zapuszcza.

Po pierwsze dlatego, że to niebezpieczne miejsce, bo ruiny ledwostoją, a podrugie.

W Czarnym Młynie jestcośzłego.

Nikt nigdy głośnotego nie powiedział, ale wszyscyto czują,a na pewnoczujemy to
my, dzieci.

Kilka razywybraliśmy się podogrodzenie, żeby obejrzeć zgliszcza.

Piotrek przechwalałsię, że gdyby chciał, mógłby tam wejść, ale nikt z nas niepodjął
tematu, zresztąnaweton sam swoje przechwałki wygłaszał niezbytpewnym głosem.

Czarny Młynjest niedobrym miejscem, od którego cierpnie skóra nagrzbiecie, a w
dodatku okropnie brzydkim.

Wszyscy najchętniej omijałiby je szerokim łukiem, gdybynie to, żejedyna droga do
Siej prowadzi obok niego.

Wdodatku to straszniekiepska droga.

Od kombinatu jest wprawdzie asfalt, choć już bardzo stary - popękany, miejscami
pokruszony i dziurawy.

Ale droga przezwieś aż do kombinatujest gruntowa.

Do niedawna koleinyw niejbyły tak głębokie, że mamabała sięjeździćniąmaluchem -
któregoś dniaauto po prostu mogłozawisnąć na wysokim garbiebiegnącym środkiem.

Gdyzaczynało padać, w koleinach stała woda,a jeśli padałodużo i długo -
drogacalkiem rozmiękała i nie możnanią było zupełnie przejechać.

Późną wiosną w tym roku została wyrównana i lada dzień ma zostać wysypana żwirem.

Na razie przypomina zaorane pole.

Tak więc ruiny kombinatu są wierzchołkiem trójkąta, w którym mieszkamy.

Jego lewym bokiem są rozlewiska i bagna, na które nikt się nie zapuszcza, bo łatwo tam zgubić drogę, a przede wszystkim jest to niebezpieczne, bo kombinat, gdy jeszcze działał, odprowadzał na bagna ścieki i odpady, które okazały się bardzo trujące.

Te bagna nie są głębokie, nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się w nich utopił, chociażmy, dzieci z Młynów, czasami opowiadamy sobie myślane, straszne historie o duchach z rozlewisk.

Kiedyś wybrałem się tam z tatą.

Opowiadał mi wtedy, że gdybył mały, na bagnach młyńskich

15.

mieszkały stada kaczek i przyjeżdżali tu jesienią myśliwi, którzy na nie polowali. Kaczki wyniosły się jednakna długo przed moim urodzeniem nabagnachmieszkały później wyłącznie żaby, ale i ich było z rokuna rok mniej.

Teraz trudno tam spotkać choćby jedną.

Choć latem, wniektóre spokojne noce słyhać jesczzena bagnach odległe kumkanie.

Prawym bokiem naszegotrójkąta są linie elektryczne.

Ogromne, stalowe słupy stoją gęsto jeden obok drugiego,są ichdziesiątki.

Linie wysokiegonapięcia krzyżują sięwysoko wgórze, na niektórych zamontowano okrągłe,czerwone kule, które mająostrzegać ptaki, żeby nie wpadały wlocie na przewody.

Tych trakcji elektrycznych jestkilka, bo Młyny są miejscem, w którym rozgałęziają sięna całą centralną Polskę.

Bardzo rzadko tam się zapuszczamy, bomiędzy stalowymi dźwigarami nicnie rośnie,nawet trawa, i stale słyhać niskie, męczące buczenie, odktóregopo dłuższym czasie zaczyna boleć głowa.

Byćmoże to właśnie przez to buczenie, przeztransformatory,linie elektryczne i toksyczne odpady na bagnach zwierzętanie chcāmieszkać wMłynach, anieliczne owocei warzywa, które ludzie próbują tu hodować w ogródkach,są niewyrośnięte i niesmaczne, tak mówimama.

16

Wdodatkujest jeszcze autostrada - to ona stanowi podstawę naszego młyńskiegootrójkąta.

Autostrada,która zabiłaMłyny (to słowataty).

Kiedy byłem mały,była po prostu drogą szybkiegoruchu.

Pędziły niąceżarówkii samochody, alekierowcy czasem zatrzymywali się w Młynach, bo wtedy istniału nas mały bar,w którym mogli zjeść obiad albo wypić kawę.

Każdy,kto mieszkał w Młynach, mógł też łatwo dostać się natę drogę i pojechać dowiększegomiasta.

Później jednak drogaszybkiegoruchuzaczęła zmieniać się w autostradę.
Rozbudowano ją, ogrodzono specjalną siatką, żeby zwierzęta nie wbiegały na jezdnię.
I w tym samym czasie zlikwidowano zjazd z autostrady w Młynach.
O tym zjeździe dużo się mówiło jeszcze wtedy, kiedy miałem pięć czy sześć lat.
Bardzo dobrze pamiętam te rozmowy.
Mieszkańcy Młynów wielokrotnie pisałi petycję do dyrekcji autostrady.
Wszyscy mieli nadzieję, że ich prośby odniosą skutek i dyrektor autostrady (lub ktoś taki) każe otworzyć dawny dojazd do drogi.
Taki się jednak nie stał.
Zjazd nie powstał i Młyny zaczęły umierać.
Gospodarstwa jedno po drugim pustoszały, okna zabijano deskami.
Ogrody dziczały i zarastały chwastami.

17.

Nasza rodzina pewnie też wyprowadziłaby się z Młynów, gdyby miała dokąd.
Jesteśmy jednak biedni i nie mamy żadnych krewnych, poza Babką, więc ani nie możemy kupić sobie domu w innej wsi, ani przeprowadzić się do kogoś, kto mieszka gdzie indziej.
Mama nigdy nie pracowała - ze względu na Melkę, która wymagała jej opieki - a tata, który był kierowcą ciężarówek, nie zarabiał zbyt dobrze.
W Młynach mieszkamy właśnie z Babką - ciotką taty i naszą jedyną krewną.
Jest właścicielką naszego gospodarstwa i często podkreśla, szczególnie w rozmowach z mamą.
Babka bardzo słabo słyszy, więc nie tylko trzeba do niej mówić bardzo głośno i powoli, ale ona sama mówi dużo głośniejszym głosem niż trzeba - zupełnie jakby myślała, że skoro ona słabo słyszy, to równie słabo słyszą wszyscy dookoła.
Mama mówi, że Babka ma ciężki charakter i powinienem być dla niej miły nawet wtedy, kiedy ona jest dla mnie nie miła.
To bardzo trudne, bo Babka prawie nigdy nie jest miła, ale staram się, bo wiem, że mamie na tym zależy.
Poza tym Babka jest już strasznie stara, a jak ktoś jest stary, to chyba trudno, żeby był

wesoły - taksobie myślę.

Kiedy się żyje tak długo, człowiek pewnie zapomina, jak się śmiać i bawić.

Próbuję więc być i grzeczny dla Babki i pilnuję, żeby się nie zorientowała, co sobie czasem o niej myślę.

Babka nie lubi mamy, nie lubi chyba nawet mnie, nie wspominając o Melce.

Kocha tylko tatę, który był zawsze jej oczkiem w głowie i którego sama wychowała po śmierci rodziców.

O mnie Babka mówi "profesorka", bo bardzo lubię czytać.

Przeczytałem już prawie wszystkie książki z szkolnej biblioteki w Siejach - no, przynajmniej te najciekawsze.

Zresztą wszystkie dzieci z Młynów czytają dużo, bo nie odbiera u nas telewizja satelitarna, a satelitenaziemne można złapać z wielkim trudem tylko wtedy, gdy wiatr wieje od wschodu w stronę słupów energetycznych i jest ładna pogoda.

Ale nawet wtedy obraz jest zaśnieżony i nieostry, a dźwięk przytępy i odpływa.

Pozostają więc książki i komiksy.

No i oczywiście filmy na DVD, ale w Młynach odtwarzacze mają tylko Justa z Karolem i Natalka.

Pozatym wypożyczanie filmów jest płatne, a książki w bibliotece można czytać za darmo.

Ponad rok temu po długich naradach nasz tata zdecydował się na wyjazd za granicę do pracy.

Według tego, co planował, przez dwa lata miał zarobić tyle, żeby tylko starczyło na nasze utrzymanie tu, w Młynach,

19.

ale po jego powrocie moglibyśmy kupić jakieś małe gospodarstwo w Siejach albo iw większej wsi.

A może nawet mieszkaniem jakimś miasteczkiem, kto wie.

Wczesną wiosną tata wyjechał do Norwegii, gdzie dostał pracę w wielkich szklarniach stokilometrów od Oslo.

Pilnował, żeby pomidory i bakłażany dobrze rosły i były smaczne.

Na początku dzwonił do nas raz w tygodniu, w soboty, i pisał listy.

Opowiadał o pracy, o tym, jakich ma kolegów, gdzie mieszka, jak wygląda życie w Norwegii.

Po trzech miesiącach dzwonił już tylko raz na miesiąc, później raz na dwa, a potem całkiem przestał dzwonić.

Jego listy się zmieniły.

Nie był już zadowolony, nie pisał już o tym, jak dużo zarabia i co za pieniądze sobie kupimy.

Zaczął narzekać na zimno, na krótkie dni, na brak słońca.

Nie podobali mu się ludzie w Norwegii, z którymi nie potrafił się dogadać i których nie rozumiał.

Przedostatni list przyszedł późną jesienią.

Był krótki, zajmował tylko jedną stronę.

Tata pisał, że muszę być dzielny i pomagać mamie.

I żemnie całuje.

Obiecał, że więcej napisze następnym razem, ale kolejna wiadomość nie przychodziła przez długi czas.

Mama wtedy dużo płakała, próbowała dozwonić się do niego do Norwegii, ale nie znała żadnego obcego języka i nie

20

potrafiła się porozumieć.

Napisała cztery listy do taty.

Trzy pozostały bez odpowiedzi, a czwarty wrócił z informacją, że tata nie przeżywa

pod tym adresem.

Miesiąc później przysłała ostatnia wiadomość odtaty.

Mamanie chciała mi jednak pokazać tego listu.

Siedziała jak skamieniała przy stole, trzymając w dłoni kartkę i wpatrując się w nią bez słowa przez długie godziny.

- No, to narobiłaś - powiedziała wtedy Babka.

- Zadowolona jesteś?

Mama nic nie odpowiedziała, tylko poszła płakać do pokoju.

Mnie też chciało się płakać, ale mocno zaciskałem zęby, żeby nikt się nie zorientował.

Nie wiem, co się stało z tatą, nie wiem, co było w tym ostatnim liście.

Nierozumiem, dlaczego do nas nie dzwoni i nie pisze.

Przecież jeżeli jestmu tam tak bardzo źle, może po prostu wrócić do domu.

Boję się, że spotkało go tam coś złego.

W Norwegii mieszkają wikingowie, a oni są bardzo niebezpieczni - wiem to, bo czytałem u Karolaka kilka komiksów o Thorgalu, a ostatnio wypożyczyłem w Siejach książkę o historii wikingów.

Mogli porwać tatę, a ten list mógłby być żądaniem okupu za niego.

Nic dziwnego, że mama płakała - skąd mieliśmy wziąć pieniądze na zapłacenie okupu?

Mamy ich za mało.

Szkoda, że nie

21.

udałomi się zobaczyć tego listu, bo gdybym go zobaczył, wiedziałbym - przynajmniej z grubsza - o co chodzi.

Jeśliby to żądanie okupu od wikingów, byłoby napisane runami.

Czytałem, że wikingowie posługiwali się takim właśnie rodzajem pisma - pisali czymś, co nazywa się runami krótkogałazkowymi i wygląda jak patyczki i strzałki, widziałem przykłady w książce.

Ale z drugiej strony - czy mama zorientowałaby się, o co chodzi w takim liście?

Przecież nie zna pisma runicznego.

Mama przez kilkadni prawie nie wychodziła z domu i była bardzo smutna.

Próbowałem się dowiedzieć, co się stało z tatą i czy było w tym ostatnim tajemniczym liście, ale w odpowiedzi tylko kręciła głową i nic nie mówiła, a kiedy nalegałem, zaczynała płakać.

Więc przestałem pytać.

W następnym miesiącu nie przysły pieniądze od taty, który do tej pory regularnie je przysyłał.

Mama odczekała kilka dni i podjęła decyzję, że musi coś zrobić.

Umyła twarz, uczesała włosy i poprosiła, żebym przyszedł do niej do pokoju.

- Iwo - powiedziała wtedy jesteś już duży.

- Pewnie - odpowiedziałem, bo przecież jestem.

- Muszę znaleźć jakąś pracę, inaczej nie damy sobie rady.

22

- Ja mogę iść do pracy - powiedziałem natychmiast.

Mama się niechnęła siedomnie, dotknęła ręką mojego policzka i westchnęła.

- Mogę - powtórzyłem.

- To żaden problem.

- Jest coś ważniejszego, czym możesz się zająć.

- To znaczy?

- Mela.

Kiedy ja będę w pracy, ty będziesz musiał zająć się Melą.

Dasz radę?

Wtedy trochę się przeraziłem, bo chyba jednak wolałbym już iść do pracy, niż zajmować się moją siostrą.

Wcale nie dlatego, że jej nie kocham czy coś, bo ja bardzo kocham moją siostrę.

Chodzi oto, że ona wymaga mnóstwo opieki bez przerwy.

Wiedziałem jednak, że mama na mnie liczy i jak bardzo ważne dla niej jest to, że bym zaopiekował się Melką.

Kiwnąłem więc głową.

- Tak - powiedziałem.

- Zajmę się nią.

Mama znalazła pracę po dwóch tygodniach, w restauracji przy autostradzie.

To bardzo duża restauracja, która jest czynna przez całą dobę i ma wielu klientów.

Mama mówi mi, ile mają zapłacić za obiad, a potem wkłada pieniądze do czarnych szufladek wyjeżdżających spod spodu kasy, przy której siedzi.

Praca nie jest ciężka i mama ją lubi.

Tyle tylko że od nas do tej restauracji jest

23.

prawie osiemdziesiąt kilometrów.

Mama jeździ do pracy starym maluchem taty.

Najgorzej byłozimą, bo drogamiędzy Młynami a Siejami jest odśnieżana od wielkiego dzwonu, jak mówi Babka.

Mama jedzie najpierw do Czarnego Młyna, potem przez Sieje aż do Konina, a później wjeżdża na autostradę i dopiero dociera do restauracji.

W niektóre dni musi wyjechać oczwartej nadranem, gdy jeszcze śpimy.

Czasem słyszę przezsens, jak uruchamia auto.

Melka budzi się za każdym razem.

Powiedziałem, że w Młynach jest sześcioro dzieci Melka.

Melka ma prawie osiem lat i oczywiście też jest dzieckiem, w dodatku najmłodszym, ale specjalnym.

Wyjątkowym, jak mówi mama.

Nie pamiętam tego dnia, kiedy się urodziła, chociaż podobno bardzo się cieszyłem i pytałem tatę, kiedy już przyjedzie do nas razem z mamą ze szpitala w Koninie.

Miałem trzy lata.

Czekałem i czekałem, pamiętam to czekanie, bo zanim Melka przyjechała, minęło kilka tygodni.

Pamiętam długie rozmowy taty z Babką i pamiętam, że tata był smutny.

A potem pamiętam mamę, jak wysiadała z auta z białym zawiniątkiem na rękach.

Chciałem do niej biec, ale Babka trzymała mnie mocno za rękę i niepozwaliała.

Mama wniosła Melkę do dużego pokoju na

dole, tego, w którymś pi Babkai w którym jadamy obiady w święta, pocałowała mnie i położyła moją siostrę na łóżku.

Podszedłem do niej i zajrzałem do becika.

Nikt nic nie mówił.

Mela popatrzyła na mnie swoimi jasnymi, niedużymi, zbyt szeroko rozstawionymi oczami.

Pamiętam to spojrzenie.

Wcześniej nie widziałem żadnego niemowlęcia, pomyślałem więc, że jest dokładnie taka, jak powinna być.

- Jaka śliczna- powiedziałem, pamiętam to.

Wtedy mama zaczęła płakać i przytuliła się do taty, a Babka odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

I wtedy, chociaż miałem tylko trzy lata, zrozumiałem, że coś jest nie tak.

Ale nie wiedziałem jeszcze co.

Melka nie jest tak jak inne dzieci z Młynów.

W ogóle nie jest tak jak inne dzieci.

Melka jest karłem - dowiedziałem się tego dość szybko, Babka już o to zadbała.

Chociaż na początku myślałem, że właściwym słowem jest "pokurcz", bo tego określenia używałem w odniesieniu do Melki, ale mamami powiedziała, że nie wolno mi tak mówić na Mełę, bo to brzydkie słowo.

A później krzyczała na Babkę i ta od tego czasu ani razu już tak nie powiedziała.

Jednak to, że Melka jest karłem, czyli małym, niewysokim człowiekiem, nie jest wcale

najgorsze.

Najgorsze jest to, że ma zdeformowany kręgosłup, przez który nie może chodzić, dlatego trzeba się nią cały czas zajmować, bo po prostu nie może o siebie dbać sama.

- Nie pożyje toto - oświadczyła Babka któregoś dnia po przyjeździe Melki, pamiętam.

- Ale może to i lepiej.

Przestraszyłam się wtedy, ale okazało się, że Babka miała rację.

Mela żyła i miała się dobrze.

Raz na kilka miesięcy musi tylko jeździć do szpitala w Koninie na badania, ale nie wiem, na czym one polegają, bo mama nigdy nie chciała mnie tam zabrać razem z nimi.

Kilkarazy słyszałem, jak rozmawiała z tatą o jakiejś operacji, którą powinna mieć Mela, ale ten zabieg jeszcze się nie odbył.

Nie wiem dlaczego, ale Mela jest ostatnim dzieckiem, które urodziło się w Młynach.

Później już nikt tu nie miał nowych dzieci, a młodszy ludzie zaczęli wyjeżdżać.

Twarz Melki wygląda inaczej niż twarze innych ludzi, których znam.

Jest szeroka i płaska, ma kształt rozciągniętego serca.

Usta są zbyt małe, oczy też, a nos Melki jest z kolei zbyt szeroki.

Moja siostra nie jest ładna, pewnie wszyscy myślą nawet, że jest brzydka.

26

Ale ja znam ją tak dobrze jak nikt - poza mamą i tatą - i wiem, że wcale nie jest brzydka.

Kiedy się śmieje, jest najpiękniejsza na całym świecie.

Jej wygląd jest jednak najmniejszym problemem.

Gorsze jest to, że Mela myśli inaczej niż wszyscy.

Niewiele mówi, chociaż potrafi - nie miała jeszcze dwóch lat, kiedy powiedziała pierwsze słowo - ale kiedy już się odzywa, rzadko jest to zrozumiałe.

Najczęściej to, co mówi, zupełnie nie ma sensu, w dodatku ni stąd, ni z owąd Melka

zaczyna płakać albo śmiać się w głos.

Babka twierdzi, że moja siostra ma nie po kolei.

To znaczy, że jej głowa w środku jest normalna.

Tak naprawdę ja też przez wiele lat myślałem podobnie, ale w pewnym momencie zrozumiałem, że jest zupełnie, ale to zupełnie inaczej.

Zrozumiałem to całkiem niedawno, czwartego lipca tego roku, gdy lato zaczęło się na dobre i nadeszła noc królików.

27.

Melciu, wszystko w porządku - powtarzam jej do ucha, przytulając mocno.

Melka przestaje płakać równie szybko, jak zaczęła, a po krótkiej chwili uśmiecha się do mnie.

- Co to było?

- pyta Justa.

- Nic - wzruszam ramionami, sadzając Melkę ostrożnie na kocu.

- Ona tak czasem ma.

- Wiem przecież, nie o to pytam.

Co to był ten huk?

- To nie był huk - prostuje Piotrek.

- Raczej łomot.

- Nie, to był zgrzyt - sprzeciwia się Karol.

- Zupełnie jak w X-Menach, gdy Magneto siłą woli wyginał stalowe drzwi do skarbcza.

- Powinniśmy już wracać - Natalka podnosi się z trawy i otrzepuje T-shirt.

- Coś się chyba stało w Młynach.

28

- Myślę, że to raczej w kombinacie, tam jest pełno żelastwa także wstaję i pochylam się nad Melką.

Idziemy do domu.

Mela chociaż nie jest duża, całkiem sporo waży.

Podnoszę ją wysiłkiem, Piotrek składa koc i kładzie go nadnie wózka, którym podróżuje moja siostra.

Sam to wymyśliłem.

Kiedy mama poszła do pracy, miałem do wyboru albo spędzać całe dni po powrocie ze szkoły w domu przy Melce, albo zabierać ją ze sobą.

Melka nie ma wózka inwalidzkiego, bo na niewiele by się zdał w Młynach, gdzie jedyna droga jest pełna wybojów.

Nie przydałby się też w domu, bo zajmujemy z mamą dwa niewielkie pokoje na piętrze, trzeba by więc ciągle nosić go po schodach.

W ciągu dnia moja siostra albo leżała w łóżku, albo siedziała na fotelu obok okna wychodzącego na północną stronę Młynów, na odległe rozlewisko i moczary.

Długo zastanawiałem się, jak mógłbym zabierać Melkę ze sobą na dwór. Nie byłoby kłopotu z wyniesieniem jej na podwórko, ale nigdzie dalej byśmy nie poszli, gdybym musiał ją nieść na rękach, bo jest jednak zbyt ciężka.

I wtedy przypomniałem sobie, że wszopie obok starej obory stoi nieużywany wózek z dyszlem.

Ten wózek zrobił podobno

29.

mąż Babki, czyli mój dziadek wujeczny.

Właściwie jest to kwadratowe pudełko z drewnianym dnem i dość wysokimi bokami z gęstej, metalowej siatki.

Po bokach ma dwa stare rowerowe koła ze szprychami, a z przodu długi dyszel zakończony poprzeczną rurką.

Babka powiedziała mi, że dziadek woził tym wózkiem bańki z mlekiem, bo dawno temu trzymali w gospodarstwie dwie krowy.

Naprawiłem kilka pociętych szprych w kołach, a Paweł pomógł mi załatać dziurawe dętki.

Pomalowaliśmy później wszyscy razem wózek olejnymi farbami, które dał nam tata Natali.

Każdy bok na inny kolor - żółty, niebieski, zielony i czerwony - a dyszel na fioletowo.

Babka powiedziała, że aż ją zęby bolą od tych kolorów.

Bardzo mnie to zdziwiło, bo ona ma sztuczne zęby, które wyjmujemy na noc i wkładamy do stojącej na stoliku obok łóżka szklanki z wodą.

Jak więc takie sztuczne zęby mogą boleć?

Oczywiście zapytałem ją o to. Babka bardzo się na mnie rozczłochała.

Moim zdaniem wózek wyszedł świetnie, trzeba tylko uważać, bo kiedy nie trzyma się dyszla, przechyla się trochę za bardzo do tyłu, szczególnie gdy siedzi w nim Mela.

Kiedy mama wróciła wieczorem z pracy, zaprowadziłem ją na podwórko i pokazałem jej nasze dzieło.

Mama dokładnie obejrzała wózek i powiedziała, że je-

30

stem niezwykłym chłopcem, ale że mam bardzo uważać, najlepiej nie jeździć z Melką zbyt daleko.

Nie dalej niż do łąk przy autostradzie.

- Jasna sprawa, że będę uważał - obiecałem i tak też robię.

Ciągniemy wózek z Melą we dwóch z Piotrkim - on trzyma drążek na końcu

dyszła z jednej strony, a ja z drugiej.

Wózek podskakuje lekko na kępach suchej trawy, a Mela śmieje się głośno.

Jej śmiech jest tak zaraźliwy, że Natałka i Justa śmieją się razem z nią.

On nigdy nie mówi nic złego na temat Melki, zresztą chłopcy też nie.

No, może raz czy dwa Karol coś tam palnął, ale przeprosił, zanim zdążyłem dać mu w nos.

A kiedy kilka tygodni później jeden chłopak z Siej na przerwie w szkole wrzasnął do mnie, że jestem tak samo głupi jak moja pomyłona siostra, to właśnie Karol pierwszy rzucił się, żeby mi przyłożyć.

- Myślałem, że jej nie lubisz - powiedziałem później do niego, kiedy wracaliśmy autobusem do Młynów, a Karol przykładał sobie mokrą chusteczkę do spuchniętego policzka.

- Ona jest z Młynów - odpowiedział, nie patrząc na mnie.

- My z Młynów trzymamy się razem.

31.

Docieramy do wsi i rozchodzimy się do domów.

Piotrek odprowadzanas na naszepodwórko.

Kiedyprzejeżdżamy przezbramę, Karmel biegnie do nas,opiera łapy o krawędź wózka i liże Melkę na przywitanie.

Moja siostra zanosi się śmiechem i wyciąga rączkiw jego stronę.

- Odgoń go!

- wołaBabka z okna kuchni.

Wyjmuję ostrożnie Melkę z wózka.

- Idę -mówi Piotrek.

-Jaksię czegoś dowiem,przyjdę cipowiedzieć.

A gdybyś ty coś wiedział pierwszy, towiesz.

- Jasne -kiwam mu głową.

- Na razie.

Mama wraca przed dziesiątą wieczorem.

Przywozize sobąkolację z restauracji.

To jeszczejeden plus jejpracy - może zabierać jedzenie,którego nie kupiliklienci,a które niepowinno leżeć do następnego dnia.

Babka poszła jużspać - codziennie o dziewiątejleżyw łóżku, nawet latem, kiedy o tejgodzinie na dworzejest jeszcze całkiem jasno.

Mamapodgrzewa kotletyi ziemniakiw kuchni, a potem jemy w pokojunagórze.

- Nakarmiłeś Melę?

- pyta mama.

- Pewnie.

32

- A co dziś robiliście?

-Nic, byliśmy na łąkach przy autostradzie.

Zastanawiam się,czy opowiedzieć jej o dziwnymdźwięku, który słyszeliśmy, i o tym, co powiedziałaMela, alemama jest tak zmęczona, że nie chcę jej denerwować.

Pytam więc:

- A jak było w pracy?

-Dużo klientów- wzdycha.

- Chyba ze cztery wycieczki autokarowe.

Potem sprzątammy zestołu i idę umyć zęby.

- Tylko nie czytaj za długo -upomina mnie mama.

Już późno.

- Dobrze - odpowiadamniechętnie, bo mam bardzoważną książkę.

Zacząłemjczytać po powrocie do domu i już jestemprzy trzecim rozdziale.

Ta książka opowiada o Norwe-

gii. Jest dosyć trudna, więc czytam jąpowoli, bo zależy mi, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tym kraju.

Wskakuję do łóżka.

Od niedawna śpię sam wpokoju

- zanim tatawyjechał,stało tu też łóżko Melki.

Jakiśczas temu mama przeniosła je do siebie, bopowiedziała, że jestem już dużyi powinienem mieć własny pokój.

Zresztą mój pokój jest niewielki.

Mam w nim tylko

biurko i łóżko, a kiedy wyjechało spanie Melki, mamawstawiła mi szafę na ubrania.

- Dobranoc - mamazgląda przez drzwi.

-Dobranoc - odpowiadam.

Mama stoiprzez chwilę w progu,przyglądając mi sięz zastanowieniem.

- Widziałam coś dziwnego - odzywa się wreszcie.

-W drodze powrotnej.

- Co?

- spoglądam na nią czujnie.

- Ten wielkiwiatrakw kombinacie.

Wiesz, ten spalony.

..

- Wiem,Czarny Młyn.

Co z nim?

Mama przygląda mi się bez słowa inad czymś myśli.

Najwyraźniej wolałaby minie mówić, co widziała,ale wie, że jeśli tego nie zrobi, już jutro skoro świt tampopędzę, żeby się dowiedzieć.

Po chwili potrząsa lekkogłową i mówi niechętnie:

- Obraca się.

,

- Co sięobraca?

-No,wiatrak, jego ramiona.

Zaczęły sięobracać.

Przez dłuższą chwilę nie bardzo rozumiem, co mamadomnie mówi.

-Jak to obracać?

pytamze zdumieniem.

-Tak jakby młyn pracował.

Wiesz, jakby wiatr poruszał ramionami.

Nic niemówię,tylko wpatruję się w mamę szerokootwartymioczami.

- Przecież wiatrak jest spalony - mówię wreszcie.

- A ramiona ma całkiem pogięte.

- Wiem - mama ze zniecierpliwieniem wzrusza ramionami.

- Specjalnie zatrzymałam auto i wysiadłam, żeby się przyjrzeć.

Skrzydła wiatraka się obracały.

Chociaż nie było wiatru.

Wcale.

Nie podoba mi się to, dlatego chciałam cię o coś prosić.

- O co?

- pytam.

- Obiecuj mi, że nie będziesz się tam bawić.

To może być bardzo niebezpieczne.

- Nie bawimy się tam.

- Ale kiedyś tam chodziliście.

To prawda, kilka razy wybraliśmy się z resztą dzieciaków pod kombinat, ale nie przechodziliśmy przez ogrodzenie, tylko przyglądaliśmy się przez siatkę.

Chyba zresztą nikomu z nas nie przyszłoby do głowy, żeby wejść do środka - cały teren pełen był pogiętego żelastwa i gruzu, a Czarny Młyn wyglądał, jakby tylko cudem trzymał się w jednym kawałku.

- Nie będziemy się tam bawić powtarzam.

Ale jutro tam pójdziemy, myślę sobie po cichu.

Niepo to, żeby się bawić.

Pójdziemytam zobaczyć, co siedzieje.

Przyjrzymy się tylko zza płotu i wrócimy.

Mama idzie do siebie,a jaczytamjeszcze przez paręminut, ale zaczynają mi się kleić oczy.

Gaszę światłoi układam się na boku.

Dziś jest prawie pełnia, okrągły księżyc świeci na niebie na wprost mojego szerokootwartego okna.

W domu zapada cisza, tylko z oddalisłychać przytłumione, stale obecne buczenie trakcji elektrycznych, do którego dołącza się narastający i cichnącyna przemian szum aut pędzących autostradą.

Zamykamoczy iwydaje mi się, że słyszę jeszcze jakiś innydźwięk.

Miarowe, cichutkie skrzypienie rozlegające sięprawiena granicy słyszalności.

Chowam głowę pod poduszkę,a po chwili zasypiam.

Mój sen nie trwajednak długo.

- Króle!

Moje króle!

Otwieram nagle oczy i siadam nałożku.

Serce bijemi głośno.

Przechwilę nie jestem pewien, czy ten głośnytylko mi się przyśnił, czy słyszałem go naprawdę.

Napodwórku Karmel zaczyna głośno szczekać, dołączają

36

do niego dwa pozostałe psyz Młynów - Kunuś i Zebra.

Todziwne, boZebra prawie nigdy nieszczeka - tylkowtedy, kiedy przez naszą wieś przejeżdża listonosz, aleotym już mówiłem.

Wyskakujęz łóżka i podchodzę do okna.

Nasłuchuję uważnie i po kilkusekundach słyszę znowu wołanie:

- Paweł!

Przytrzymaj je!

Zamknij klatkę!

Na korytarzu rozlegają się kroki i mama zagląda do swojego pokoju.

Jest w koszuli nocnej, na którą pośpiesznie zakłada zielony szlafrok.

- Co się dzieje?

- pyta nieprzytomnym głosem.

- Słyszałeś to?

- Tak - odpowiadam, sięgając po dzinsy, które wiszą na oparciu krzesła.

- To u Pawła.

Pochwili schodzimy razem z mamą na parter.

Drzwiami do pokoju Babki uchylam się i widzę jej przestraszone oczy.

- Idziemy sprawdzić - mówi mama, chociaż Babka nic nie pyta.

- Śpij.

- Jeszcze czego - mówi Babka i zaczyna się ubierać.

Na drodze zbierają się wszyscy mieszkańcy Młynów i biegną w stronę domu Pawła, skąd cały czas słychać rozpaczliwe okrzyki jego ciotki.

Kiedy razem z innymi wbiegamy na jego podwórko, widzimy, jak kobieta

w zbyt obszernej, męskiej piżamie miota się pod obórką, z całych sił trzymając w ramionach wrywającego się królika.

Nagle pomiędzy jej nóg, przez uchylone drzwi obory wybiega następny, a za nim kolejny.

Białe króliki długimi susami sadzą w stronę ogrodzenia, przeciskając się między sztachetami i uciekają nałęką za domem.

- Pani Tamborska, co pani wyprawia?

- pyta surowo nasz sołtys, pani Palikowa, która usiłuje wyglądać godnie w różowej koszuli nocnej i warkach ciasno nakręconych na włosy.

- Wściekły się chyba!

- wykrzykuje ciotka Pawła.

- Pojęcia nie mam, jak pootwierały klatki.

Łapcie je, ludzie!

Ach, Boże jedyny!

W tym momencie królik, którego trzyma w ramionach, odpycha się z całej siły tylnymi łapami od jej brzucha i wyskakuje jak z procy.

Upada na ziemię, błyskawicznie się odwraca i zaczyna biec w stronę płotu.

Wszyscy po kolei wybiegamy nadrogę i zaczynamy go gonić.

Na łąceza domem, w oddali widzę Pawła, który pochylony próbuje pochwycić umykające króliki.

W srebrnej poświacie księżyca wyglądają jak białe pociski pędzące na oślep w kierunku jasno oświetlonej autostrady.

Biegniemy wszyscy z nimi.

- Tam jest siatka - słyszę zdyszany głos Piotrka, który jak się okazuje, biegnie zaraz za mną.

- Nie przejdą.

Wyłapiemy je pod siatką.

Króliki dobiegają do drucianego parkanu, kłębią się pod nim jak oszalałe.

Paweł jest tuż za nimi, biegnie pochylony.

Kiedy jest tuż-tuż za nimi, zwierzęta znajdują w siatce pęknięcie i białą falą przeciskają się przez otwór.

Paweł rzuca się na ziemię, próbuje pochwycić ostatniego, który pozostał po naszej stronie parkanu, jednak mu się to nie udaje.

Króliki wspinają się po nasypie autostrady, dobiegają do pobocza.

- Nie patrz!

- mama łapie mnie mocno ramionami zasłania mi oczy.

Nie próbuję się wyrwać.

Przez bardzo długą chwilę stoimy wszyscy w milczeniu, kilkanaście metrów od siatkowego ogrodzenia.

Mama wreszcie rozluźnia uchwyt.

Paweł powoli podnosi się z ziemi i staje na nogi.

Kiedy odwracam się w naszą stronę, w świetle księżyca dostrzegam błyszczące ślady łez na jego policzkach.

- No, to w Młynach nie ma już i królików - odzywa się Babka.

- Czy ktoś zrobi wreszcie z tym wszystkim porządek?

39.

- Ale dlaczego?

Dlaczego pobiegły na autostradę?

-pyta Nataalka i zaczyna głośno płakać.

- Chyba bieglydoświatła - wyjaśnia pan Szymański.

Zobaczyły światła samochodów.

Mama Nataalki obejmuje ją ramieniami mówi:

- Nie płacz.

Niektórym na pewno udało się przebiec,Są teraz po drugiej stronie drogi i budują sobie mańenorki, w których będą mieszkały.

Spoglądam na nią z ukosa.

Miło byłobyw touwierzyć,ale nie potrafię.

Przecież wbiegły na autostradę pełnąrozpędzonych aut.

Poza tymto białedomowe królikiz czerwonymi oczami.

Całżycie mieszkały w klatkach.

Skąd mogą wiedzieć, jak się buduje norki?

Nataalka jednak rozjaśnia się niecoi pyta:

- Naprawdę?

Jest niewiele młodsza ode mnie, aleczasem strasznyz niej dzieciak.

Odwracam się,spoglądam w stronędomów, a potemdalej - w ciemność za nimi.

Teraz wyraźniej słyszę dobiegające stamtąd miarowe skrzypienie.

I myślę sobie, że te króliki wcale nie biegly do autostrady.

One uciekały.

Uciekały od tego skrzypienia.

Uciekały od CzarnegoMłyna.

Idziemy powoli w stronę drogi.

Przy domu Pawłastoijego ciotka.

Załamuje ręce, a gdy Paweł do niej podbiega,zrozpaczonym głosem mówi:

- Biedne,biedne, biedne króle.

Przez sekundę wstrzymuję oddech, a potem głośnowciągam powietrze.
Przecież dokładnie te same słowapowiedziała dziś po południu na łące Mela!
Ale jak tomożliwe?

Nagle przychodzi mi do głowy, że być możemy wyjątkowa siostrawcalenie ma "nie po kolei", a to,co mówiła, choć pozornie pozbawione sensu, mogło cośoznaczać.
Być może próbowała namcoś powiedzieć,coś, co wiedziała tylko ona, ale my nie potrafiliśmy jejsłuchać.

Moim zdaniem jest taka sama jak zawsze - stwierdza Piotrek, z powątpiewaniem spoglądając na Melkę.

Siedzimy na skrzyniach i beczkach w starej stodole Babki, bo na dworze pada. Szerokie wrota są otwarte naprzestrzała zobu stron - i te prowadzą na podwórko, i te, którymi wychodzi się na łąkę za naszym gospodarstwem.

Rześkie powietrze pachnie mokrą trawą i ziemią.

Melka przygląda nam się rozbawionym wzrokiem.

Siedzi w starym, podartym fotelu Babki ustawionym na samym środku.

- Wcale nie mówię, że jest inna - odzywam się zniecierpliwionym głosem.

- Chodzi mi o to, co powiedziała wczoraj.

- Powiedziała, że odleci - Natałka ma zapuchnięte, czerwone oczy, widać, że dużo w nocy płakała.

Chyba sama doszła do wniosku, że bajka o królikach budujących sobie norki po drugiej stronie autostrady, którą wymyśliła jej mama, jest raczej mało prawdopodobna.

- Tak.

Jak dmuchawiec - zgadza się Justa.

- Ale później - kręcę głową.

- Później co powiedziała.

- Chyba już nic - Paweł wzrusza ramionami.

- Powiedziała: biedne, biedne, biedne króle!

Jak możesz nie pamiętać?

- spoglądam mu prosto w oczy, ale odwraca twarz,

Oczywiście, że pamięta.

Wszyscy pamiętają.

- Chcesz powiedzieć, że ona wiedziała o tym, co się stanie, zanim to się stało, tak?

- pyta spokojnie Justa.

To niemożliwe.

-Jak niemożliwe?

- wykrzykuje Karol.

-Jak niemożliwe?

Widać, że nie czytałaś X-Menów.

Ona pewnie jest mutantem!

Ma niezwykłą moc i potrafi odczytywać przyszłość!

I kto wie, co jeszcze!

Przez środek stodoły przelatuje roztrzepotany żółty motyl.

Melka śmieje się zachwycona i wyciąga w jego stronę rączkę.

Nagle odbija jej się głośno.

Wpatrujemy się w nią jak sroki w gnat.

- No, nie wiem- Justa nie wydaje się przekonana.

To mógł być przypadek.

- To nie był przypadek - odzywa się Natałka.

Jamyśle, żeto był znak.

Ostrzeżenie dla nas, ale się nieorientowaliśmy.

Może to anioł przez nią przemówił?

Melkawytrzeszcza przez chwilę oczy i nagle dostajeczkawki.

Idę do domu i przynoszę jej kubeksoku jabłkowego.

- Zauważyłeś, żeby coś takiego już kiedyś się wydarzyło?

Znaczy, wiesz, no żebycoś przepowiedziała- pyta Piotrek, kiedy Mela kończy pić i odstawiam kubek na skrzynkę.

- Myślałem o tym - mówię.

- Ale niemogę sobieprzypomnieć.

Wiesz, jak toz nią jest - są dni, kiedy prawiezupełnie normalnie odpowiada, satakie, kiedy wcalesię nie odzywa, a w jeszcze inne mówi zupełnie bez sensu.

Nie pamiętam, żebykiedyś powiedziała o czymś, cowydarzyło się później.

- Tomoże ją zapytamy?

- proponuje Karol i zwraca siędo mojej siostry: - Melunia, co będzie u nas dziś na obiad?

- Nie, to głupie!

- protestuje Justa.

-Ja mam lepsze!

Mela, czy będę bardzo bogata i sławna, kiedy dorosnę?

Karol pukasię palcem wczolo.

-I co?

Jak coś teraz powie, to przezsto lat będziemy siedzieli i czekali, żeby sprawdzić, czy przepowiedziałaprawdę, czy nie?

- Jak jesteś taki mądry.

- zaczyna rozzłoszczonym tonem Justa, ale nie kończy, bo Mela odzywa się nagle:

-Woda!

Wpatrujemy się w nią wszyscy zupełnie zbaranieli.

- Co powiedziała?

- pyta wreszcie Natałka.

- Przecież słyszałaś - mówię.

- Woda.

- Woda?

- pyta Paweł.

-I co to niby znaczy?

- Nie wiem.

Ale wczoraj też nie wiedzieliśmy, oco jejchodzi z tymi królami.

, - Może pićjej się chce?

- pyta Justa rzeczowym tonem.

-A może przepowiada potop?

- odzywa się natchnionym głosem Karol.

-Jak myślicie?

Możebędzie wielkakatastrofa?

Z północy nadciągnie ściana wody wysoka nakilkadziesiąt metrów i zaleje Młyny!

Będzie tsunami!

- O, matko!

Jakie tsunami?

- Paweł wywraca oczy.

-Skąd niby ci tu nadciągnieściana wody?

Od moczarów?

Tamw najgłębszym miejscu jest z pół metra.

- Tomoże ulewa?

- rozmyśla na głos Karol.

-Będziepadało, padało i padało, ażnas całkowicie zaleje.

Trzebabudować tratwy.

Arkę!

Mimo woli spoglądamy przez wrotastodoły na ledwo mżący letni deszczyk.

Moim zdaniem ulewa,któramiałaby spowodować potop, powinna wyglądać zupełnie

inaczej.

Zresztą po kilku minutach przestaje padać, choćniebo nadal jest zasnuwane chmurami.

Siedzimy w stodole jeszcze przez prawie godzinę i zastanawiamy się głośno nad tym, czy rzeczywiście moja siostra ma dar jasnowidzenia i co może znaczyć to, co nam powiedziała.

Mela nie odzywa się ani razu, a po pewnym czasie zasypia w fotelu, pochrapując leciutko.

Wreszcie Justa z Karolem idą do domu, razem z nimi zabiera się Natalka.

- Dobra, ja też idę. Paweł podnosi się z beczki wkrótce po ich wyjściu i przeciąga, aż mu strzelają stawy.

- Muszę sprawdzić, co z ciotką, całą noc przebieczała.

- Słuchaj - mówię do niego.

- A w ogóle jak te wasze króliki wylazły z klatek?

Przecież były druciane, znaczy klatki.

Zamykaną skoble.

Można je było otworzyć tylko z zewnątrz.

- Nie wiem - Paweł wzrusza ramionami.

- Drzwiczki wyglądają na wypchnięte od środka.

Zupełnie jakby króliki tak długo się ciskały na siatkę, aż wygięły się metalowe oczka, w których osadzone były skoble.

- Niemożliwe - protestuje Piotrek.

- Króliki tak nierobią.

Są za głupie.

- Może nasze zmądrzały?

Może były mutantami?

Superinteligentne Króliki z Młynów!

Przeczuwające przyszłość i obdarzone nadnaturalną siłą, tam-daradam!

Tylko skoro były takie inteligentne, dlaczego pobiegły prosto na autostradę?

- z przekąsem odpowiadamu Paweł.

Zaciska mocnowargi i dodaje po chwili cicho: -Widzieliście?

Nikt się nawet niezatrzymał.

Z chmurnąminą odwraca się na pięcie i idzie wstronę wyjścia.

Przystaje w progu i rzuca przez ramię:

-Jak dobrze pójdzie,po wakacjachrodzice zabiorąmniedo siebie, do Niemiec.

Niemogę się doczekać!

Cześć.

Wybiega ze stodoły na podwórko i po chwili znika zabramą prowadzącą na drogę.

Kiedy wieczorem pokolacji kładę siędo łóżka, przypominamsobie, że miałem im jeszcze powiedziećo CzarnymMłynie, o tym, co powiedziała mama.

Alewłaściwie dziś padałoprawieprzez cały dzień, więc i takbyśmy tam niepojechali.

Wyberzemy się jutro, myślę.

Potem czytam przez jakiś czas książkę z biblioteki,tę o historii Norwegii.

O groźnych wikingach, którzyswoichszybkich drakkarach podbijali przybrzeżnekrólestwa jedno za drugim.

Byli bezlitośni, mieli jasne

włosy i hełmy z krowimi rogami po bokach.

Drakkarto statek.

W książce ma obrazków, więc nie wiem dokładnie, jak wygląda, ale umiem go sobie wyobrazić - musi budzić grozę i postrach swoim wyglądem, więc na wysokim, strzelistym dziobie ma zamocowane girlandy trupich czaszek, a jego burty są wyłożone puszczelami i żebrami.

Żagle pozszywane z ludzkiej skóry, zabarwionej na kolor krwi, popychają go do przodu pospiewanych, czarnych falach, a gdy wiatr ustaje, jeńcy chwytają za wiosła. Być może tata jest jednym z nich.

Dopadli go.

A możesz stać się okrutnym, nieczułym, bezlitosnym wikingiem?

Zasypiam iśni mi się tata.

Stoi nad dziobem czarnego, błyszczącego jak lód drakkara.

Na głowie ma hełm z rogami, w ręku miecz.

Odpywa ode mnie, a ja zostaję skalistym, pustym brzegu.

Wołam, ale nawet nie ogląda się w moją stronę.

W tym śnie wiem, że to dlatego, że jego serce zamieniło się w bryłę lodu.

Wikingowie mają serca zamrożone na kamień, dlatego są tak okrutni i pozbawieni uczuć.

Bo w Norwegii jest bardzo, bardzo zimno.

Rano budzi mnie krzyk Babki.

Woda!

- woła Babka z dołu.

Nie ma wody!

Iwo, idź, nanieś ze studni!

Zrywam się nagle, z mocno bijącym sercem przez chwilę mogę zebrać myśli.

Woda?

Wciąż mam przed oczami moją tatę na dziobie lodowego drakkara i niemogę

siępołapać, czy jeszcze śpię, czy już nie.

Woda!

Przecież Mela wczoraj.

Wyskakuję z łóżka i szybko wciągam dres.

Jest bardzo zimno, zbyt zimno jak na letni poranek, ale nie zastanawiam się nad tym.

Biegnę do pokoju mamy.

Już pojechała do pracy.

Ostatnio wzięła dodatkowe zmiany w restauracji i codziennie wychodzi z domu przed świtem.

Mela siedzi w swoim łóżku już ubrana - mama codziennie przed wyjściem ubiera ją i karmi.

- Hej, Melciu - mówię do niej.

- Jak tam?

Wszystko dobrze?

Patrzy na mnie z poważną miną, zupełnie jakby chciała mi coś powiedzieć, ale się nie odzywa.

Zazwyczaj też nie mówi, kiedy witam ją rano, ale zawsze, no, prawie zawsze, śmieje się do mnie.

- Iwo!

Słyszysz mnie?

Wody niema!

Do studni idź!

Zbiegam w dół schodami.

Babka stoi w progu kuchni w swoim kwiecistym fartuchu, który jest śliski i nieprzyjemny w dotyku.

Podpiera się rękami pod boki i patrzy na mnie złym wzrokiem.

- Ile cię można wołać?

- pyta gderliwie.

- Jak to nie ma wody?

- odpowiadam pytaniem.

- Nie ma.

Z kranu nic nie leci.

Masz - podaje mi stare ocynkowane wiadro z długim sznurem przywiązany do uchwyty.

- Tylko mi gonie puść do studni!

Mówi to tak, jakbym nic nie robił, tylko topił wiadra w studni!

A jeszcze nigdy coś takiego mi się nie zdarzyło.

Chwytam wiadro i wychodzę na podwórko.

W Młynach jest studnia głębinowa i nieduża przepompownia wody niedaleko dawnego kombinatu - pozostałość po czasach, gdy jeszcze działał.

Małeńki budynek ocalał przed pożarem, bo od ogrodzenia spółdzielni dzieli go droga i rów, więc ogień się nie przedostał.

Przepompownia zasilana jest na prądzie jeszcze nigdy się nie zepsu-

ła. Raz w roku przyjeżdża do następnik z Konina, który sprawdza, czy wszystko jest w porządku.

Przepompownię zbudowano do obsługi całego kombinatu, więc dla naszych młyńskich domów wystarcza aż nadto- mówił mi tymtata.

Jednak u nas i w kilku innych gospodarstwach zostawiono nawszelki wypadek stare studnie.

Po kilku krokach stoję jak wryty i patrzę na porastającą podwórko trawę, która nieprzyjemnie chrzęści pod moimi adidasami.

Część kępek, tych rosnących po stronie podwórka, na którą pada cień domu, jest oszroniona!

Jak to możliwe?

Mamy przecież początek lipca!

Kucami dotykam trawy.

Jej źdźbła kruszą się w moich palcach.

Kilka metrów dalej, tam gdzie cień już nie sięga, szron całkowicie się rozpuścił i trawa wygląda normalnie.

Dziwne, nie słyszałem, żeby w lipcu zdarzały się nocne przymrozki.

Podchodzę do betonowego obramowania studni z wysiłkiem podnoszę drewnianą pokrywę.

Głęboko w dole widzę odbijające się w tafli wody kółeczko błękitnego nieba i cień swojej głowy.

Opieram się o krawędź i pochylam niżej.

Moje odbicie ma teraz kształt dziurki od klucza pod klamką.

Odrywam się od obramowania i ostrożnie opuszczam wiadro do studni.

- Babcia, dlaczego nie ma wody?

Jak myślisz?

- pytam, jedząc śniadanie.

Babka zrobiła mijajecznice, mocno ścięta, tak jak lubię, a do niej podała chrupiące bułki z masłem.

Upiekłaje wczoraj.

Bardzo dobrze gotuje, jeśli jej się chce.

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- odzywa się gderliwie, szorując patelnię po jajecznicę wlewając napelnioną wodą ze studni.

- Wszystko tu się rozpada, całe Młyny idą na zmarnowanie.

- Ale przecież przepompownia.

zaczynam, jednak nie udaje mi się dokończyć, bo Babka spogląda przez ramie na Melkę siedzącą obok mnie przy stole w dzieciennym krzeselku z poprzeczką i wykrzykuje:

- Patrz, co ona wyprawia!

Melka nie wiadomo kiedy ściągnęła z mojego talerza połówkę bułki posmarowanej masłem i uderza nią o błądzie stołu, zostawiając tłuste plamy.

Zaśmiewam się przy tym, zachwycona zabawą.

Mimo woli uśmiecham się lekko i wyjmuję bułkę z jej rąk.

- No i jak to teraz wygląda?

- biadoli Babka.

- Skaraniez wami!

Idź po wodę, muszę sprzątnąć.

Człowiek chwili spokoju nie ma.

52

Przynoszę kolejne wiadro wody.

Potem następnej jeszcze następnej.

Mam wrażenie, że Babka specjalnie wymyśla takie roboty, przy których potrzebna

jest woda, akurat gdy jej nie ma!

Po co na przykład myć dywan podłogę w sieni?

Ale mam na tyle rozumu w głowie, żeby z nią nie dyskutować.

Na podwórko zaglądnę Piotrek z Karolem i Justą, ale na widok miny Babki, która spogląda na nich z otwartego okna kuchni, zmykają bez słowa.

Dopiero grubo po dwunastej Babka

mówi:

- I co?

Cały dzień będziecie w domu siedzieć, kiedy taka ładna pogoda na dworze?

Ja tam nigdy tylko w domu nie siedziałam, jak byłam mała.

Tylko mi się pod nogami pętacie.

Ciekawe, jak ja mogę jej się pętać pod nogami, skoro sięgam jej prawie do ramienia?

Musiałbym chyba na czworakach chodzić!

Że nie wspomnę o Melce, która przez cały czas siedzi w foteliku przy stole.

Babka zachowuje się tak, jakby specjalnie nie wychodził z domu, żeby zrobić jej na złość!

A kto mnie od rana ganiał do studni?

Zakładam krótkie dzinsy, biorę koc i bluzę z kapturem dla Melki.

Sadzam ją w wózku i wyprowadzam na

53.

drogę.

Przystaję za bramą, zastanawiając się, gdzie może być Piotrek i reszta.

Już mam ruszyć w stronę łąki przyautostradzie, gdy słyszę śmiech Justy dobiegający z przeciwnej strony, od środka wsi.

Justa ma taki śmiech, że słychać go nawet z pięciu kilometrów, nie znamnikogoinnego, kto by się tak śmiał.

Jak hiena - to słowa Babki.

- O, idą - woła na nasz widok Piotrek, kiedy docieramy do połowy wsi.

On, Justa, Karol i Natalka bawią się w zdziczałym ogródku na starych drzwiach przyciągniętych spodopuszczonej stodoły z dziurawym dachem.

Pawła niema.

Pewnie siedzi usiebie nad jakimś rozbebeszonym radiem, które nawet gdyby działało, i tak nie wyłapie żadnej stacji.

Radia, podobnie jak telewizory i komórki, nie działają w Młynach.

- Uważaj!

- woła Natalka.

- Rekin!

- Jaki rekin?

- pytam.

- Za tobą!

Jest coraz bliżej!

Szybko!

Blokuje dyszel wózka Melki między kamieniami i podchodzi do nich.

- Co to?

- pytam wskazując stare drzwi.

- Tratwa - wyjaśnia Karol.

- Jest potop.

Zalało Młyny całą Polskę.

Uważaj, wszędzie pełno ośmiornic, piranii

i rekinów!

Stoisz po szyję w wodzie.

Lepiej wlaź, bobędzie po tobie.

Przez chwilę zastanawiam się, czy się do nich nie przyłączyć, bo zabawa w potop może być całkiem fajna.

Ale po namyśle wydymam wargi i mówię z lekką pogardą:

- E tam.

Togłupie.

- Wcale, że nie!

- protestuje Justa.

- Skąd niby ten potop?

- pytam.

- Nawet w kranach wody nie ma.

- Fakt - mówi po krótkim namyśle Piotrek, wstaje i schodzi z drzwi.

- U następnego nie ma.

- I u nas - przytakuje Karol.

- Wszyscy poszli doprzepompować, zobaczyć, co się stało.

Też chcieliśmy iść, ale czekaliśmy na ciebie.

Justa trąca go lekko w bok i kiwa głową w stronę Melki.

- To znaczy na was - poprawia się Karol.

- Idziemy?

Kiwa głową na zgodę.

Karol też schodzi z drzwi.

Justa przygląda się przez krótką chwilę krzyczy

nagle:

- Piranie!

Tuż przy tobie!

Karol przez ułamek sekundy z wystraszoną miną spogląda pod nogi, a potem prostuje się i puka w czoło

pod adresem Justy, która zanosi się przeraźliwym chichotem.

Łapiemy z Piotrkim za dyszel wózka i ruszamy w stronę końca wsi.

Droga jest pełna wybojów, wózek podskakuje, a Melka śmieje się w głos.

- Wio!

- woła niespodziewanie.

-Wio!

Rzucam Piotrkowi szybkie spojrzenie.

Po krótkiej chwili milczenia Natalka odzywa się śpiewnym głosem:

-I oto rzekła wyrocznia: wio!

- No, to wio - mówię i zaczynam biec.

Wózek przyspiesza, Melka podskakuje w nim mocniej, chichocząc coraz głośniej.

Zaczynamy jej wtórować.

Śmiejąc się w głos, pędzimy przez Młyny jak stado bizonów.

Domy się kończą, po obu stronach zaoranej drogi ciągną się dzikie łąki, które kiedyś były polami.

W oddali po prawej stronie widać sięgający nieba gąszcz stalowych wież trakcyjnych.

Zwalniamy, bo wózek grzęźnie w skibach gliny.

Cał szczęście, że dziś jest sucho, bo inaczej byłoby tu jednogrzędzawisko.

- Gonia nas!

- krzyczy Karol.

-Szybciej!

- Kto nas goni?

- pytam, próbując przyspieszyć odruchowo.

56

- Obcy!

Namierzyli nas!

Podróżujemy kosmiczną arką do odległej galaktyki w poszukiwaniu planety, którą

będzie można zasiedlić, i natknęliśmy się na ichstatek zwiadowczy!

To wyjątkowo wredna i krwiożerczasawojowników.

Szybko, musimy się kryć!

- Eeee tam - prychadzyszana Justa.

- Nudne.

- To wymyśl coś lepszego - odpowiada leciutko obrażonym tonem Karol.

-A wymyślę.

- To wymyśl.

-Wymyślę!

- No to wymyśl!

-Przestańcie - uspokajamich, dysząc ze zmęczenia,i zwalniam, bo w oddali widać nareszcie przepompownię.

Nad czubkamidrzew, których kępa wyrasta za niewielkim budynkiem, sterczapogięte skrzydłaCzarnegoMłyna.

A raczej nie sterczą, tylko.

- Obracają się - Piotrek przystaje tak raptownie, żeuchwył dyszla wymyka mi się z rąk.

- Widzicie?

- Uważaj - mówię do niego, sprawdzając,co z Melką.

-Prawie wypadła!

- Ale skrzydła!

Skrzydła się ruszają, nie widzisz?

57.

- Widzę.

Wiem, że się ruszają.

Mama mi mówiła.

- Ale jakim cudem?

Przecież to ruina odżywa sięJusta ze zdumieniem.

- Ledwo trzyma sięw jednymkawałku.

Jak to możliwe?

- Nie wiem.

Zaraz się dowiemy.

- Obiecałam mamie, że nie będę tam chodziła.

-z wahaniem w głosiemówiNatałka.

-Jateż.

Nie wejdziemydo środka.

Popatrzymy tylkoprzez płot - tłumaczę.

-Ale.

- Oj, nie marudź.

Idziemy - Piotrek rusza przed siebie.

SkrzydłaCzarnego Młyna obracają się powoli w oddali.

Nad wierzchołkami drzew pojawia się i znikajedno, drugie, trzecie, czwarte i piąte.

Potem chwila przerwy, boszóste ramię oderwało się podczas pożaru,i pojawiają sięznowu po kolei.

Skrzypienie zardzewiałych trybów i osimłyna jest coraz wyraźniejsze.

W miarowym,powolnym ruchu strzaskanych skrzydeł iw jęklwym poskrzypywaniu jest coś przerażająco złowieszczego.

Z tej odległościwygląda to trochę tak,jakby sponaddrzew machała donas powoli olbrzymia, czarna, szponiasta łapa.

- To jest takie jakieś.

Sama niewiem.

Wstrętne?

- mówi Justa.

58

Z trudem odrywam wzrok od czarnych skrzydeł patrząc na przepompownię. Obok budynku stoi grupka dorosłych, nawet z tej odległości widać, że się kłócą.

Pokilku minutach docieramy na miejsce.

- Trzeba wezwać policję, sama pani wiesz - mówi pan Szymański.

- Wiem - odpowiada pani Palikowa, nasz sołtys.

- Pojadę z mężem popołudniu do Siej.

Próbowałam się dozwonić, ale dziś nic z tego.

W czterech domach w Młynach są stacjonarne telefony, to nasza jedyna łączność ze światem na wypadek jakichś kłopotów.

Tyle tylko, że nawet kiedy działy - bo najczęściej zamiast sygnału słychać w nich jedynie szmer i buczenie - trudno się z kimś dogadać, takie są zakłócenia.

Podobno to przez transformatory na słupach wysokiego napięcia.

- Ktoś powinien coś zrobić!

- pokrzykuje pani Michniewska.

Pani Michniewska mieszka w samym środku wsi i jej dom jest otoczony opuszczonymi gospodarstwami.

Syn pani Michniewskiej jest lekarzem, mieszka w Kutnie.

Babka kiedyś bardzo się z nią przyjaźniła, ale właśnie przez tego syna lekarza okropnie się pokłóciły dwa lata

59.

temu i od tego czasu ze sobą nie rozmawiają.

Na początku zupełnie nie mogłem zrozumieć, o co poszło.

Babka wróciła od Michniewskiej zła jak osi z całej siły trzasnęła drzwiami wejściowymi.

Pamiętam, to była jesień ciągle padało.

Droga tak rozmokła, że przez dwadzieścia autobus z Siej dojeżdżał tylko do kombinatu.

My z kolein nie mogliśmy się przez tę naszagrząską drogę do kombinatu dostać, więc nie jeździliśmy do szkoły.

Babka jak gradowa chmura weszła do kuchni, gdzie siedzieliśmy z mamą Melką.

Taty wtedy nie było.

Babka najpierw nie odzywała, tylko ze złości trząsała garnkami i talerzami.

W końcu nie wytrzymała i zaczęła mówić sama do siebie różne rzeczy na temat pani Michniewskiej i jej syna.

Dopiero później poukładałem sobie wszystko w głowie i zrozumiałem, że Babka tak naprawdę była zła o to, że syn sąsiadki jest lekarzem, a nasz tata - przecież tak jakby syn Babki - nie jest.

Babka była zazdrosna.

Przestała rozmawiać z panią Michniewską, a przy tym tak to jeszcze urządziła, że wyszło, że to wina tamtej.

Dla mnie jest to trochę dziwne.

Może i rzeczywiście nasz tata nie jest ważnym lekarzem, tylko kierowcą, ale za to mieszkał z Babką przez tyle lat i zajmował się nią, kiedy było trzeba.

A syn pani Michniewskiej nie

60

przyjechał do niej nawet na wigilię w zeszłym roku, chociaż z Kutna do nas wcale nie jest bardzo daleko.

Pani Michniewska sama siedziała przez święta w swoim domu otoczonym pustymi, ciemnymi obejściami i sama jadła kolację wigilijną.

Było mi jej szkoda.

- Co się stało?

- pytam, kiedy stajemy obok dorosłych.

- A co wy tu robicie?

- pyta pan Szymański surowym tonem.

- To nie jest miejsce dla dzieci!

- Chcemy wiedzieć, co się stało - odpowiada wcale nie przestraszony Piotrek.

- Jak, co się stało?

- wykrzykuje pani Michniewska.

- Okradli nas!

Ukradli pompę!

- Gdzie tam okradli!

- odpowiada pani Szymańska natychmiast.

- Wybuch był!

Wszystko wywaliło przezścianę!

Co pani, oczu nie ma?

- Kto nas okradł?

Jaki wybuch?

- pyta Justa, ale nikt jej nie odpowiada, bo dorośli znowu zaczynają się kłócić.

Karol wzrusza ramionami i kiwa głową w stronę pompowni.

Podchodzimy do drzwi.

Są zamknięte nakłódkę, do której klucz ma pani Palikowa.

Dlaczego jej nie otworzyła?

Ustawiam bezpiecznie wózek z Melką obok wejścia do budynku i obchodzimy go w piątkę

dookoła.

Po chwili już wiem, że otwieranie kłódki było zupełnie niepotrzebne.

W tylnej ścianie, tej od strony kombinatu Czarnego Młyna, widać szeroką wyrwę, przez którą bez problemu można wejść do środka.

Pokruszone cegły są rozrzucone dookoła, niektóre kawałki leżą prawie dziesięć metrów od budynku.

Rzeczywiście wyglądało tak, jakby w środku coś wybuchło.

Zaglądamy do środka, żeby zobaczyć, co zostało z pompy, i po chwili już wiemy Nic. Absolutnie nic.

Cała pompa i elektryczny silnik, który ją napędzał, zniknęły bez śladu.

W podłodze jest głęboka, ciemna wyrwa, z której sterczą resztki połamanych rur, a pozrywane kable doprowadzające prąd do urządzenia zwisają tuż przy suficie, wyprute spod tylnku.

- Co tu się stało?

- Natalka odzywa się pierwsza.

- Rozsadziło ją - stwierdza Karol.

- Takie rzeczy się zdarzają.

- Jakie rzeczy się zdarzają?

- pyta Justa.

- Gdzie ty widziałeś takie rzeczy?

- Widziałem.

- Akurat!

- prycha Justa.

Nie włączam się do rozmowy i dokładnie oglądam wyrwę, a potem patrzę na cegły rozrzucone za budyn-

62

kiem.

Przypominami się to, co Paweł mówił o królikach, o tym, jak wydostał się z klatek.

"Drzwiczki wyglądają tak, jakby zostały wypchnięte od środka.

Zupełnie jakby króliki ciskały się na siatkę".

Tak samowyląda to tutaj.

Zupełnie jakby coś walnęło w ścianę i wypchnęło ją do środka.

Gdyby pompa wybuchła, drzwi wyleciałyby z zawiasów!

W ogóle cały budynek rozleciałby się na wszystkie strony.

Atu wygląda to tak, jakby coś rozbiło ścianę w tym jednym miejscu, jakby chciało wyrwać się na zewnątrz.

Tylko co?

Przecież nie pompa!

Króliki to żywe istoty, a urządzenie to.

no, urządzenie!

I nagle przypominam mi się jeszcze, że króliki uciekały w drugą stronę - w stronę autostrady, a tutaj jest odwrotnie.

Coś, co wyrwało się z przepompowni, poszło (pobiegło?) poleciało?

) prosto w stronę kombinatu.

W stronę Czarnego Młyna.

Justa nadal sprzecza się z Karolem.

Trącam łokciem Piotrka i idziemy po Mełę, a po chwili wracamy z wózkiem.

- Idziemy - mówię.

- Trzeba sprawdzić.

- Dokąd chcesz iść?

- pyta Natałka.

- Do Czarnego Młyna.

- Niech jej usta wyginają się w podkówkę.

63.

- W takim razie zostań, pójdziemy sami i zaraz wrócimy.

PopilnujMelki,dobrze?

Natalka niepewnie kiwa głową, ale kiedy odchodzi kilka kroków, woła za nami:

- Nie, poczekajcie, jateż idę!

Podbiega do nas z wózkiem.

Przechodzimy zmozołem przez ostatni odcinek zaoranej głównej drogi, a potem skręcamy pomiędzy drzewa na stary dojazd do kombinatu.

Wydaje się dłuższy niż zapamiętałem.

No, ale byliśmy tu ostatni raz ponad rok temu, mogłem zapomnieć.

Ze żwiru, którym kiedyś wysypany był dojazd, niemal nic już nie zostało.

Porosły go chwasty i pokrzywy.

Jednak środkiem alejki biegnie nierówny, głęboki ślad - zupełnie jakby całkiem niedawno ciągnięto tędy duży, ciężki przedmiot.

W oddali widać już metalowe skrzydła bramy, od lat zamknięte na głuchoi spięte grubymi łańcuchami z dwiema potężnymi, zardzewiałymi kłódkami.

Nawet z tej odległości widzę, że łańcuchy zostały rozerwane, a powyginane skrzydła bramy stoją otworem.

Mieliśmy nie wchodzić - przypomina Natalka, kiedy przystajemy przed bramą.

- Przecież nie wchodzimy.

Przyglądamy się tylko - odpowiadam.

Wcale, ale to wcale nie mam ochoty przejść przez bramę, za którą rozciąga się najeżony zardzewiałym żelastwem dziedziniec kombinatu.

Kiedy przychodziliśmy tu wcześniej, teren wydawał się po prostu brzydki, ale teraz.

Teraz to gruzowisko w nieprzyjemny sposób kojarzy mi się z opuszczonymi, zdewastowanymi ruinami, ileż cmentarzem.

Z rozkopanym cmentarzem.

Nigdy, co prawda, nie widziałem czegoś podobnego, ale wydaje mi się, że wrażenie

byłoby podobne.

Spomiędzy okopconych smolistą sadzą, rozkruszonych kawałków muru wyciągają się w naszą stronę drapieżnie zakrzywione kikuty prętów zbrojeniowych, a fragmenty

65.

zardzewiałych blach szczerzą się niczym ostre jak brzytwa zęby.

Wszystkie kierują się w naszą stronę.

Nie rośnie tu anijeden krzaczek, ani jedna kępkatrawy.

Aletojeszcze nic - najgorszy jest Czarny Młyn.

Olbrzymi, betonowy walec, ciemny jak bezksiężycowa noc, wyrastający z niemal bezkresnego pola żelastwai kamieni, sprawia wrażenie, jakby się nad nami pochylał.

Jakby to on się nam przyglądał, a nie my jemu.

Koślaweramionaobracają się powoli przy wtórze okropnego,rozdzierającego jęku.

Kiedy na nie patrzę, wydaje mi się, że wyciągają się w naszym kierunku niczym koszmarneszponykrwiożerczego olbrzymia.

Wejście do wiatraka,szerokootwarte i najeżone odłamkami cegieł, wyglądaJak rozdziawiony pysk drapieżnego dinozaura, którego widziałem kiedyśw Parku Jurajskim na DVD.

Małeńkie okna, nierównomiernie rozmieszczone w ścianachmłyna, są niczym plamki jeszcze bardziej czarnej czerniw połyskującej tłustawo powierzchni budynku.

Kiedyw nie spoglądam, w każdymdostrzegam tłącąsię drobną, czerwoną iskierkę - blady poblask wypełniającej budowlę łuny żaru.

Zupełnie jakby pożar,który przed latystrawił wewnątrz młyna, wciąż trwał.

Nieświadomie głośno wciągam powietrze, jakbyzabrakłomi tchu.

I wtedy

66

uświadamiam sobie, że opróczkłującego uszy skrzypienia obracających się ramionCzarnego Młynadobiegaz niegojeszcze inny,dziwniejszy dźwięk: niepokojąconierytmiczne, powolne, ciche dudnienie - niczym bicieogromnego, chorego serca.

- Ktoś powinien coś ztym zrobić - odzywa się cienkim głosem Justa.

- Musimy powiedzieć.

Urywa bezradnie.

Bo komu mamy powiedzieć?

Naszym mamom?

Babce?

Pani Palikowej?

Co oni mogą zrobić?

Wydajemy się, że te słowa pojawiają się tylko w moich myślach, ale okazuje się, że nieświadomie wypowiadam je głośno.

-Trzeba wezwać kogoś.

Z miasta.

Specjalistów albo naukowców - niepewnie odpowiada Karol.

- Policję czy straż pożarną.

Nie wiem.

Piotrek milczy, ze zmarszczonymi brwiami wpatrując się w górującego nad nami kolosa, i od razu wiem, co powie.

- Trzeba to sprawdzić - mówi.

-Nie!

- wykrzykuje natychmiast Natalka.

Dopiero teraz widzę, jak bardzo jest przerażona.

- Nie!

Nie wolno nam!

Obiecaliście mi, że tam nie wejdziemy!

Ja tamnie wejdę!

I powiem o wszystkim rodzicom!

No to mów, już się boję!

- wrusza ramionami Piotrek i szybkim krokiem przekracza rozbitą bramę.

-Stój!

- wołam za nim.

Ale mój głos niknie w niespodziewanym krzyku Melki, która w chwili, kiedy Piotrek wchodzi na teren kombinatu, rozdziera się jak syrena alarmowa.

Nie miałem pojęcia, że potrafi wydobyć z siebie taki dźwięk.

Jej zawodzący krzyk ciągnie się niemal bezkońca, zagłuszając przeraźliwe skrzypienie ramion młyna, a nawet głucho dudniące dochodzące z jego wnętrza.

Serce zamierami na moment, ale po sekundzie wyrywam się z osłupienia i dopadam do wózka.

- Mela!

- wołam, chwytając ją za małe, wykrecone ramiona.

-Wszystko dobrze!

Słyszysz?

Piotrek zawraca na pięcie i pędzi do nas.

Kiedy przebiega przez bramę, Melka przestaje krzyczeć równie nagle, jak przed chwilą zaczęła.

- Ja!

- mówi głośno i wyraźnie, po czym spogląda w górę na nasze pobladłe, przestraszone twarze, zaśmiewa się cicho i dodaje: - Wio!

Gapimy się na nią przez długą chwilę zbaraniałym wzrokiem.

Wio!

- powtarza.

- No, to wio - mówi Piotrek, chwytając drążek przydyszlu wózka.

-Wio - powtarzam i łapię drugi koniec uchwytu.

Zawracamy i odjeżdżamy spod bramy kombinatu.

Droga powrotna do przepompowni zajmuje nam mniej czasu.

Może dlatego, że idziemy znacznie prędzej.

Prawie biegniemy - na tyle, na ile pozwala rozorana nawierzchnia.

Doganiamy dorosłych w połowiedrogi do Młyna.

- Proszę pani - Justa dotyka łokciem pani Palikowej.

- W Czarnym Młynie coś się dzieje.

Coś dziwnego.

- Nie wolno wam tam chodzić!

- fuka na nią naszapani sołtys.

- Jeszcze tego brakuje, żebyście tam sobiekarki poskręcali!

Rodzice ci nie mówili?

- Mówili, ale.

- zaczyna Justa, jednak pani Palikowa daje jej dojść do głosu.

- To ich słuchaj!

Dzieciom nie wolno tam chodzić!

Mało macie miejsc do zabawy?

- Ale chodzi o to, że tam się dzieje coś złego!

- przychodzi na pomoc Juście Karol.

- Coś bardzo złego!

- Coś bardzo złego to cię w domu spotka, jak ojciec powiem, że łaziłeś do kombinatu - odzywa się zły tonem pan Szymański.

- Zmykajcie.

69.

- Ale tam naprawdę coś się dzieje!

wykrzykuje Piotrek.

- Skrzydłami obracają, w środku.

- Nie zwracaj teraz głowy.

Nie mam czasu na słuchanie waszych bajdurzeń - pani Palikowa potrząsa głową.

Dorośli odchodzą w stronę Młynów, a my zostajemy na środku drogi z bezradnymi minami.

- Obiad jest!

Ile można na was czekać?

- woła Babka z okna, gdy wprowadzam wózek z Melą na podwórko.

Skaranie z wami.

Biorę Melkę na ręce i wchodzę do domu.

- Jaki obiad?

- pytam.

- A mama?

Babka rzadko daje nam obiad - najczęściej dostajemy od niej tylko kanapki w ciągu dnia, a główny posiłek jemy z mamą, która przywozi go z restauracji.

- Mama wraca jutro - odburkuje Babka.

- Ręce idźmyć.

Jej też.

- Dlaczego jutro?

- dopytuję się.

- Bo tak!

A co ja jestem, encyklopedia?

Siadajcie, bo mistygnie wszystko - gdera Babka, a lena widok mojej miny dodaje po krótkiej chwili: - Wzięła drugą

70

zmianę.

Zostaje na noc w restauracji.

Wakacje się kończą, to będziesz potrzebował nowych książek do szkoły i ubrań.

Na drzewach nie rosną, musi nanie zarobić.

Siadaj, jedz.

Akurat dziś mamanie wraca!

A tak chciałem porozmawiać z nią o tym, co widzieliśmy za ogrodzeniem kombinatu.

Poobiedzie Babka bierze się do zmywania, muszę więc znowu przynieść wody ze studni.

Dwa wiadra.

Zastanawiam się, jak ludzie mogli kiedyś tak żyć?

Ni tylko wodę nosili.

Jedno, co mnie pociesza, to fakt, że jeśli będę przez kilka dni dźwigał takie ciężkie wiadra, to na pewno mięśnie mi urosną i może będę taki silny jak Piotrek.

Wieczorem Babka pomaga mi umyć Melkę, a potem razem kładziemy ją do łóżka.

Muszę dziś spać w pokoju rodziców, bo moja siostra nie potrafi zasnąć, jeśli kogoś przy niej niema.

Zakładam piżamę i rozkładam kanapę mamy.

Wskakuję pod kołdrę i otwieram książkę o wikingach.

Mela siedzi w swoim łóżeczku z wysokimi bokami, zaciska palce na drewnianych szczebelkach.

Patrzy na mnie.

- Połóż się - mówię do niej.

- Śpij.

71.

Dalej przygląda mi się z poważną miną.

Próbuję czytać, ale cały czas czuję na sobie jej spojrzenie.

Wreszcie odkładam książkę z ciężkim westchnieniem i pytam:

- No, co?

Co chcesz?

Cisza.

W pokoju zrobiło się chłodno.

Podchodzę dookna.

Jest już prawie zupełnie ciemno, tylko daleko na zachodzie widać

ciemnopomarańczowy odblask słońca, które skryło się za autostradą, polami i lasami.

Wydaję się, że panuje zupełna cisza.

Choć właściwie przecieźnie jest cicho - słychać szum aut jadących autostradą, dalekie buczenie transformatorów na liniach wysokiego napięcia, a kiedy wsłuchuję się uważniej - odległe, jęklive poskrzypywanie obracających się skrzydeł

Czarnego Młyna.

Ale czegoś brakuje.

Dostaję gęsiej skórki na ramionach i ze zmarszczonymi brwiami wsłuchuję się w ciemność, a po chwili już wiem.

Wiem, czego brakuje w tej szumiącej nocnej ciszy - nie słychać żab kumkających od czasu do czasu na mokradłach, nie słychać żadnych owadów ani nawet wiatru szumiącego w koronach drzew.

Zupełnie jakby na świecie istniały tylko samochody, linie wysokiego napięcia i Czarny Młyn.

Przenikamnie lodowaty dreszcz i szybko zamykam okno.

Melkanadał wpatruje się we mnie poważnym wzrokiem.

72

- No, co?

- pytam znowu.

- Chcesz pić?

Mela przygląda mi się, lekko przechylając głowę.

Zawijam się w kołdrę, biorę książkę i siadam w fotelu,
który stoi obok jej łóżka.

- To książka o Norwegii - mówię, pokazując jej okładkę.

- Muszę wiedzieć wszystko o Norwegii.

Jak będę starszy, nauczę się norweskiego, odłożę pieniądze i pojedę tam po tatę.

Może za rok.

Mam już prawie trzydzieści złotych, schowałem je.

Myślę, że uwięzili go wikingowie, ale ja go odnajdę i wrócimy razem do Młynów.

Do mamy.

Mela nieco opuszcza głowę i dalej się we mnie wpatruje.

- Jak będziesz chciała, też możesz jechać zemną - dodaję po chwili.

- Zrobię ci lepszy wózek.

Pojedziemy razem, chcesz?

Mela puszcza szczelki i kładzie się na poduszce obok, przodem do mnie.

- Ja - mówi nagle.

- Tak, ty - kiwam głową.

- Pojedziemy oboje, ja i ty.

A teraz śpij.

Mela nadal na mnie patrzy, więc otwieram książkę i zaczynam czytać jej na głos
rozdział o wyprawach

morskich, podczas których wikingowie ścigali swoimi superszybkimi, niepokonanymi drakkarami statki kupieckie, łupili je, a ocalałą załogę brali w niewolę.

Wiem, że tak było kiedyś, bardzo dawno temu.

Wiem, że teraz jest inaczej.

Ale czy aby na pewno?

Przecież nie znam nikogo, kto byłby w Norwegii i widziałby na własne oczy, jak teraz wszystko tam wygląda.

Mela w końcu zasypia, więc cichutko odkładam książkę, poprawiam jej pościel i na palcach wracam do swojego łóżka.

Gaszę światło, owijam się dokładnie kołdrą i po chwili także zapadam w drzemkę.

Budzi mnie chłód, a właściwie dojmujące zimno.

Mam lodowaty nos i cały się trzęsę.

W północy próbuję ciszej owinąć się kołdrą, choć jestem już w nią zawinięty jak naleśnik z dżemem.

Co to?

Mam wrażenie, że w pokoju coś się rusza.

Otwieram szeroko oczy i ostatnie resztki snu pierzchają.

Nie zdawało mi się, naprawdę coś szura pod dywanem!

Błyskawicznie sięgam do włącznika lampki stojącej na szafce nocnej, szukam gopomacku, ale nie mogę znaleźć.

Siadam na łóżku, wytrzeszczając oczy, ale w pokoju jest tak ciemno, że dostrzegam tylko niewyraźne zarysy sprzętów.

Szczękając zębami z zimna i strachu, wsłuchuję

się w cichy szmer.

Wreszcie dochodzę do wniosku, że albo coś zrobię, albo zacznę wrzeszczeć z przerażenia.

Nabieram tchu, wyskakuję z łóżka i biegnę do drzwi, przy których znajduję się włącznik górnego światła.

Naciskam go szybko, pokójzalewastry blaski przez moment mnioślepia.
Przyklejam się do ściany mrużąc łzawiące oczy, patrzę na podłogę.
Po dywaniew stronę otwartego okna sunie powoli.
suszarka włosów mamy!
Plastikowa, niewielka pomarańczowasuszarka z czarną rączką, która przypomina
kosmicznypistolet i którąnie tak dawno bawiłem się z Karolemw Kosmiczne Wojny.
Ja byłem uzbrojony w suszarkę,a on w lutownicę swojego taty, która.
Rany, o czymja terazmyślę?
Suszarka do włosów pełźnie SAMApodywanie!
Mimowolnie wydaję z siebiekrótki,przeraźliwy krzyk.
Jak to możliwe, żeby przedmiot samsię poruszał?
Czarny, długi kabel ciągnie się za suszarką, wtyczka zahaczao próg i po ułamku
sekundykonujez lekkim podskokiem.
Krzyczęznouw,wytrzeszczającoczyi podkurczając palce bosych stóp.
Suszarka dociera do ściany, wspina się na nią,suniewgórę doparapetui po chwili znika
za oknem.
Kabel ciągnie się za nią, aż wreszciwtyczka z kolejnym

lekkim podskokiem pokonuje krawędź parapetu i giniew mroku.

Stoję przez kilkasekund jak słup soli i nagle przypominam sobie o Meli.

Siedzi w swoim łóżeczku, małe piąstki zaciska na szczebelkach i patrzy na mnie swoim poważnym, nieruchomym spojrzeniem.

- Wszystko dobrze?

- pytam ochrypłym głosem.

Jestem już duży, nie powinna widzieć, że się boję.

Mam się nią opiekować, tak obiecałem mamie.

Melkamilczy.

Podchodzę ostrożnie do okna i wyglądam nazewnątrz.

Niebo jest pogodne, błyszcząca gwiazdy.

Księżyc świeci za domem, a jego delikatne, srebrne światło padana nieocienioną dachem część podwórka i na drogę biegnącą za parkanem.

Brama jest szeroko otwarta.

Głośno posapując przez nos, wychylam się okna.

Suszarka pełznie w stronę wyjazdu, a za naszym płotem coś się porusza.

Wychylam się niecomocnie marszcząc brwi, wpatruję się w drogę.

Wyboiste mikoleinami suną jakieś przedmioty, nie widzę dokładnie.

Jest zimno, każdy mój oddech zmienia się w nikły obłoczek pary.

- Zostaniesz na chwilę sama - mówię do Melki, chwytając spodnie od dresu i wciągając je na piżamę.

Dobrze?

76

Nie czekając, czy coś odpowie, wybiegam z pokoju.

Tupię bosymi stopami po schodach.

W sieni zakładam idasy i chwytam starą kurtkę taty wiszącą na haku przy drzwiach.

Owijam się nią szczelnie, odblokowuję zasuwę i wypadam na podwórko.

Trawa jest srebrna odszronu i tak śliska, że kiedy zeskakuję z trzech betonowych stopni ganku, wpadam w poślizg, tracę równowagę i z rozmachem siadam na ziemi.

Natychmiast się podrywam i biegnę w stronę bramy.

Przy ogrodzeniu staje jak wryty.

Nie wierzę własnym oczom!

Drogą suną rzeczy.

Zwykle, domowe urządzenia - toster, stara frytkownica poplamiona lepкими plamami oleju, radiobudzik, pilot DVD, a zanim odtwarzacz.

Czyjaś pralka automatyczna szoruje boki empo żwirze, obok niej pełnie odkurzaczy maszyna do szycia.

Widzę też wybebeszone przedpotopowe radio, które od kilku miesięcy Paweł próbował naprawić.

Z odbiornika wypadają części, wysypują się na drogę, ale po ułamku sekundy pospiesznie ruszają za ebonitową obudową.

Jedną z kolein sunie kosiarka do trawy, zauważam też wiertarkę i kilka narzędzi elektrycznych należących do taty Natalki.

A na końcu za tym wszystkim z głośnym hurgotem ciągnie stare, zdewastowane cinquecento bez kół i szyb, które do tej

pory stało w jednym z opuszczonych obejść niedaleko autostrady.

Bawiliśmy się w nim jeszcze późną wiosną.

Samochód szoruje podwoziem po ziemi, popsuta klapa silnika podskakuje w górę i w dół, co wygląda tak, jakby samochód, kłapiąc żarłocznie paszczą, gonił pozostałe przedmioty sunące drogą.

Auto mija mnie powoli przy wtórze zgrzytów i skrzypienia zardzewiałej, zdezelowanej karoserii.

Nie słyhać silnika, ale dziwniejsze byłoby chyba, gdyby pracował.

Z silnika w tym aucie zostały jedynie resztki, wiem dobrze, bo widziałem, jak Paweł wymontowywał z niego różne elementy.

Wychodzę powoli na drogę i oniemiały spoglądam za samochodem zamykającym przedziwną kawalkadę pełną różnych urządzeń.

Wcale nie muszę się zastanawiać, dokąd tak ciągną.

Zmierzają tam, gdzie wczoraj poszybowała nasza młyńska pompa wodna i silnik elektryczny, który ją napędzał - w stronę szeroko otwartej bramy wypalonego kombinatu.

W stronę Czarnego Młyna.

Po prostu to wiem.

Nie wiem tylko, dlaczego tak się dzieje.

Szaleju się objadłeś?

- pyta Babka złym głosem, gdy wreszcie udaje mi się ją dobudzić.

- Czyś ty całkiem na głowę upadł?

Jest druga w nocy!

Przed dobrych kilka minut dobijałem się do drzwi, jej pokoju.

Nie wiadomo, po co zamyka się w nim nakłucz, zwłaszcza że jest prawie głucha.

Sam nie wiem, czy jestem bardziej przestraszony tym, co widziałem, czy bardziej zły na nią, że tak długo nie otwierała.

- Wszystko uciekło!

- wykrzykuję.

-Co?

- Różne urządzenia poszły do młyna - wołam.

-Znaczy.

Sam nie wiem, jakich słówużyć.

Jak opisać to, co widziałem przedchwilą?

- Obudziłem się, bo było strasznie zimno.

Ciągle jest zimno, przecież babcia chyba czuje, nie?

I zobaczyłem,

79.

jak suszarka mamy.

No, jak pełźnie po podłodze dookna, a potem wyskakuje na podwórko.

A drogajuzprzesuwały się inne rzeczy,same elektryczne.

Pralkai wiertarka.

I starecinquecento, to znaczywrak.

I...

DVD też.

Z pilotem.

Kończę nieskładnie imilknę, bo kiedy słyszę własnesłowa, mam wrażenie, że mówię od rzeczy.

Ale przecieźto widziałem!

-Jaksię babcia pospieszy, to może jeszcze zdążymy jedogonić!

Musimybiec!

- podejmuję kolejną rozpaczliwąpróbę.

-Sama babcia zobaczy!

- Co zobacze?

- odzywa się Babka podejrzenie spokojnymtonem.

- Suszarkę dowłosów!

I radio zbudzikiem!

Pełznądo Czarnego Młyna.

Byliśmy tam dziś.

Tam siedzieje coś..

- Słuchaj, jeżeli zaraz nie znajdziesz się w swoim łóżku, to ja ci zrobiętaki młyn, że pożałujesz!

- wykrzykujeBabka.

-Natychmiast spać!

Mało zawału przez ciebie nie dostałam.

Czekaj no, jak się ciebie takie żarty trzymają, to już ja ztobą jutro pożartuję!

Niech no tylkomatka wróci, a popamiętasz!

- Ale babcia nie rozumie.

- A czy ty rozumiesz, co ja do ciebie mówię?

- groźnym głosem wpada mi Babka w słowo.

- Marsz mi do łóżka!

Babka z furją trzaska drzwiami tuż przed moim nosem.

Co mogę zrobić?

Gdyby mama była w domu.

Powoli wchodzę napiętro i idę do pokoju.

Gdybym był większy, Babka nigdyby tak na mnie nie krzyczała.

Gdyby tata nie wyjechał, gdyby nieporwaligo wikingowie, wszystko byłoby dobrze.

Zrobiłby z tym wszystkim porządek.

I z Babką też!

Melka siedzi w łóżeczku w tej samej pozycji, w której ją zostawiłem.

Zaciska mocno piąstki na szczebelkach i wpatruje się we mnie.

- Co tak patrzysz?

Nic nie mogłem zrobić!

krzyczę do niej, ale zaraz robi mi się wstyd i dodaję: - Przepraszam.

Idź spać.

Zamykam okno i kładę na wszelki wypadek koc na jej kołdrze, żeby nie zmarzła.

Siadam na łóżku poturecku, zawijam się w swoją kołdrę.

Trochę chcę mi się płakać, ale nie dlatego, że się boję czy coś.

Chcę mi się płakać dlatego, że nic nie mogę zrobić.

Mogę tylko spać.

Ale jutro Babka sama się przekona.

Sam zobaczy!

- Śrubokręty - odzywa się nagle Melka głośno.

- Pamiętaj o śrubokrętach.

W ciszy panującej w pokoju jej głos rozlega się tak niespodziewanie, że podskakuję przestraszony.

-Co? - pytam szybko.

- Co powiedziałaś?

Melkanie odpowiada.

Kiedy podchodzę do jej łóżka, widzę, że zasnęła.

-W życiu nie słyszałam podobnych głupot- oświadcza Justa spokojnie, kiedy kończę opowiadać wszystkim o tym, co widziałem minionej nocy.

-Tak było -wzruszam ramionami i staram się nie dać po sobie poznać, że mnie rozzłościła.

Widziałem.

-Widziałeś, jak suszarka twojej mamy wyfrunęła przez okno?

- sceptycznym tonem pyta Piotrek.

- Nie wyfrunęła, tylko wypełzła!

mimowoli podnoszę głos.

- Jak dżdżownica?

- pyta Natalka.

-Czy jak wąż?

,

- Wypełzła!

Co za różnica, czy jak wąż, czy jak dżdżownica?

- Tylko pytam -wzrusza ramionami Natalka.

Próbuję sobie to wyobrazić.

Nie o to chodzi jak!

- wykrzykuję, bo tracę do reszty cierpliwość.

-Chodzi o to, że wszystkie rzeczy poszły do młyna, rozumiecie?

Tak samo jak pompa!

Młyn przyciąga do siebie różne urządzenia, zjada je!

Albo.

no nie wiem, robisz nich coś?

Są muw każdym razie potrzebne.

Przecież sami widzieliście, co tam się dzieje.

Tak czy nie?

Na chwilę zapada cisza.

Siedzimy w stodole, ubrani w swetry, a Justa i Karol nawet w kurtki.

Jest początek lipca, a na termometrze za oknem rano było tylko dziesięć stopni ciepła, chociaż na niebie nie ma ani jednej chmurki i świeci jasne słońce.

Karmel łypie na nasze swojej budy - jemu pewnie też jest zimno, bo niewyszedł dziś z niej chyba ani razu.

Miska z jedzeniem, które wyniosła murano Babka, stoi pełna.

- Nie mam swojego karaoke - odzywa się wreszcie Justa.

- Tego kolorowego, wiecie.

Pewnie, że wiemy.

Tylko Justa miała coś takiego w Młynach mały plastikowy magnetofon z niebieskim mikrofonem na długim kablu.

Puszczano się przez niego taśmę z muzyką i śpiewało do mikrofonu.

Głos wydobywał się z głośników i brzmiało to zupełnie tak, jakby został nagrany razem z muzyką na taśmie.

W gruncie rzeczy była to zabawka dla małych dzieci, ale czasem się jeszcze z nią wygłupialiśmy, i to nawet całkiem niedawno.

- Stało naregale przy książkach.

Kiedysię obudziłam rano, od razu zauważyłam, że go nie ma - ciągnie Justa.

- Myślałam, że to Karol mi je podwędził, ale on sam przez cały poranek szukał discmana.

- To prawda - przytakuje Karol.

- A moja mama rano się strasznie zdenerwowała, bo nigdzie nie mogła znaleźć młynka do kawy - mówi Piotrek.

- Tata zawsze z niejsię naśmiewał, że nie kupujemy mielonej kawy, tylko taką w ziarnach, ale ona uważa, że taka jest najlepsza.

Zawsze rano mieli kawę w elektrycznym młynku.

Dziś go nie było w kuchni.

- U nas zniknął zegar z wyświetlaczem, który stał naregale.

I opiekacz do tostów wodzi się po chwili Natalka, a potem dodaje jeszcze niechętnie: I lodówka.

- Lodówka?

- pyta Piotrek.

- No tak, lodówka.

Z kuchni.

Nie było jej rano.

Mama powiedziała, że pewnie tata ją zabrał do naprawy, bo miał dziś jechać do Siej skoro świt, ale widziałam, że sama wcale nie jest przekonana.

Poza tym jak tata wyniosłby tę lodówkę w pojedynkę, i to tak

cicho, że nikt by się nie obudził?

Zresztą wcale nie był ażepsuta, a potem okazało się, że tata nigdzie nie wyjechał.

Wszyscy spoglądamy na Pawła, który siedzi na wielkiej drewnianej skrzyni, gdzie Babka trzyma jakieś, ogrodnicze, nieużywane od lat graty.

Chyba zupełnie nas nie słucha.

Z zamyśloną miną, z lekko przechyloną głową i zamglonymi oczami sprawia wrażenie, jakby wsłuchiwał się w coś, co dochodzi z zewnątrz.

W jakąś grającą w oddali muzykę.

- Paweł?

- mówię do niego.

- A u ciebie?

- Co u mnie?

- odpowiada pytaniem po kilku sekundach, spoglądając na mnie niezbyt przytomnym wzrokiem.

- No, czy u ciebie w domu też zniknęły jakieś urządzenia?

- A tak - odpowiadanie uważnie.

- Jakie?

- pyta Karol.

- Jakie?

A, wszystkie.

- Co?

- wołamy z Piotrkim równocześnie.

Paweł, który dałby się pokroić dla byle tranzystora, niedziałającego magnetofonu czy czegokolwiek, co przyciski i kable, teraz najspokojniej oświadcza nam, że

zniknęły wszystkie jego zbiory, i wcale, ale to wcale niewydaje się tym przejęty?

- Ciotkapewnie schowała.

Całkiem jej odbiło potych królikach.

Siedzi całymi dniami na krześle przystole wkuchni i tylko się gapiw okno - wzrusza ramionami Paweł.

- Jak to schowała?

Nibygdzie?

- pyta zdumionymgłosem Piotrek.

-Przecież miałaś całą szopę wypchanągratami!

W życiu nie dałaby rady tego nawet wynieść, nie mówiąc już o chowaniu.

- Nie wiem -odpowiada obojętnym tonem Paweł, a jego oczy znowu robią się szklane.

Patrzy nanas, alezupełnie jakby nas nie widział.

Patrzyprzez nas -jakprzezszybę.

- Co mu jest?

- pytapółgłosemNatalka.

- Nie wiem.

Możewpadł w szok po tym, jak zniknęłały ten jegozłom - odpowiada Karol.

- Bywały takieprzypadki.

- Gdzie?

- odzywasię natychmiast Justa.

-Gdziebywały takie przypadki?

- Wszędzie.

-Akurat.

- Bywały.

Czytałem o tym.

- Gdzie czytałeś?

W komiksach?

z politowaniem w głosie pyta Justa.

Oni już tacy są - kłócą się bez przerwy, ale jedno zadrugie wskoczyłoby w ogień.

- Dobrze się czujesz?

- pytam Pawła, który nadal patrzy na nastak, jakby nas nie było.

Nie odpowiada.

Zapinam suwak swetra pod samą brodę i okrywam dokładniej Melkę, która siedzi obok nas wózku.

Uśmiecha się tym swoim nieobecny uśmiechem, a policzki ma czerwone jak dwa jabłuszka.

Chucham, żeby sprawdzić, czy mój oddech zmienia się w parę, ale nie jest aż tak zimno.

- Musimy pójść do kogoś dorosłego.

Kogoś, z kim dasię porozmawiać - mówię.

- Do kogo?

- rzeczowo pyta Piotrek.

Wczoraj już próbowaliśmy.

- Do pani Palikowej.

Ona jest u nas najważniejsza.

- Wczoraj już próbowaliśmy - powtarza Piotrek.

- To spróbujmy znowu - proponuję.

- Zresztą miała pojechać wczoraj do Siej, żeby zawiadomić policję.

Zobaczymy, czy coś działała.

Justa kiwa głową nazgodę.

Po chwili wyprowadzamy wózek na drogę, choć zanim nam się to udaje, trzy

razy musimy wołać do Pawła, żeby się ruszył i poszedł z nami.

Wychodzi wreszcie za bramę i bez słowa rusza w stronę swojego domu.

- Odbiło mu czy co?

- pyta ze zdumieniem w głosie Piotrek.

- Nawet słowa nie powiedział na pożegnanie!

Justa wzrusza ramionami i wymownym gestem puka się w czoło.

- Niech idzie- mówi.

- Sami sobie poradzimy.

Ciągniemy z Piotrkim wózek Melki i idziemy przez Młyny, które dziś wydają się jeszcze spokojniejsze i cichsze niż zazwyczaj.

- Zupełnie jakby cała wieś wymarła- stwierdza nagle Karol, czytając w moich myślach.

-E, tam - wzrusza ramionami Justa, chociaż i ona ma trochę niewyraźną minę.

Po kilku minutach docieramy do domu, w którym mieszkają Palikowie.

Brama prowadząca na podwórkę jest otwarta.

Doprowadzamy wózek do samego ganku, biorę Melkę na ręce i wchodzimy po stopniach pod drzwi.

- No - kiwam na Piotrka.

- Pukaj.

Czekamy długo, ale nikt nam nie otwiera.

Piotrek puka jeszcze raz, tym razem głośniejsze.

- Przecież ona zawsze jest w domu - dziwi się Natalka.

- Moja mama mówiła, że właśnie dlatego wybrali Palikową nasą soltysa, bo ona zawsze siedzi w domu.

- Tym razem chyba wyszła- wzrusza ramionami Justa, odwraca się na pięcie i dodaje: - Idziemy.

Piotrek rzuca jej przeciągłe spojrzenie, po czym naciska klamkę.

Drzwi otwierają się na oścież z cichym skrzypnięciem.

Gapimy się na nie, jakby były z czarowane, sam nie wiem dlaczego.

Przecież w Młynach, kiedy ktoś do kogoś przychodzi, po prostu puka i wchodzi do domu, nie ma w tym nic niezwykłego.

Ale dziś jest jakoś inaczej.

- Lepiej tam nie wchodzić - odzywa się Natalka.

- Niko go nie ma w domu.

- Otwarte jest - stwierdza Piotrek, przechodzi przez próg i znika w mrocznej sieni.

Po krótkiej chwili wahania ruszamy za nim.

Dom Palikówa urządzone jest trochę inaczej niż pozostałe domy w Młynach.

Pani Palikowa przyjechała do naszej wsi dawno, dawno temu, gdy była jeszcze młoda.

Wcześniej mieszkała w mieście i skończyła liceum plastyczne, bo chciała być malarką.

Ale poznała pana Palikę, wyszła za niego i przyjechała do Młynów.

Nie została malarką, tylko hodowała kury i kaczki, dopóki jeszcze dało się je w Młynach hodować, a potem przeszła na rentę.

Większość dorosłych w Młynach jest na emeryturze lub na rencie.

Jednak nasza pani sołtyś bardzo podkreśla to, że kiedyś miała zostać malarką, i mówi, że ma artystyczną duszę.

W jej domu stoi dużo najróżniejszych dziwnych rupieci, a na ścianach wisi mnóstwo obrazów, które sama namalowała.

Zawsze lubiłem przychodzić tu z mamą i je oglądać, bo są zupełnie niesamowite.

Niby widać na nich to, co widzimy codziennie dookoła domu - nasz awionos, trakcje elektryczne, autostradę i łąki.

Wszystko jest niby takie samo, ale jednak inne.

Kolory są zbyt ostre, jedne rzeczy są większe niż w rzeczywistości, a inne zbyt małe.

Na przykład na jednym z obrazów nasz awionos jest mały, widać ją trochę z góry - małe kiedomy, ludzi jak przecinki - a dookoła wyrasta las pokrzywionych, olbrzymich stalowych kratownic słupów wysokiego napięcia.

Linie przewodów krzyżują się i płaczą nad wioską, biegną w kółko od jednego słupa do drugiego.

Wyglądają jak sieć jakiegoś olbrzymiego pajaka.

Na innym obrazie widać autostradę, którą jedzie tylko jeden bardzo, bardzo długi samochód - ciągnie się od

90

jednego brzegu obrazu do drugiego i wcale nie wiadomo, gdzie ma początek, a gdzie koniec.

Samochód ma dziesiątki kół, taka samochodowa stonoga.

W oknach nie widać ludzi, tylko inne długie samochody, które są wewnątrz tego wielkiego.

Kiedyś pani Palikowa pokazała ten obraz mojej mamie i zapytała, co mama o nim sądzi.

Mama długo się przyglądała, a potem powiedziała, że obraz jest bardzo ciekawy, ale

kiedy przyszedliśmy do domu, słyszałem, jak mówi do taty, że pani Palikowama chorą wyobraźnię.

Ja wcale tak nie myślę.

Uważam, że ona umie namalować wszystko w taki sposób, żeby było widać, jakie jest w naszych myślach i uczuciach, a nie naprawdę.

Kiedy patrzę na auta pędzące autostradą, wiem przecież, że w każdym z nich siedzi jakiś człowiek, i to on prowadzi samochód.

A jednak wcale tego nie czuję.

Mam wrażenie, że samochody są całością sam w sobie, że jadą same, mijają nas, zupełnie zwracając na nic uwagi nawet gdyby ktoś lub coś (na przykład królik) wybiegł na drogę, przejechałyby po nim i nawet tego nie zauważyły.

Moim zdaniem ten obraz mówi prawdę o autostradzie, tyle tylko że nie umiem tego dobrze wytłumaczyć słowami.

91.

Obrazy pani Palikowej zawsze wydawały mi się fajne, ale dziś robi mi się nieswojo, gdy patrzę na nie wiszące na ścianach tego pustego, zimnego domu.

- Nikogo nie ma - powtarza Natałka.

- Nie powinniśmy tu być.

- Alety marudzisz - wzdycha Piotrek i wchodzi do kuchni, która u Palików jest zarazem głównym pokojem w domu.

Na stole stoi kubek do połowy wypełniony zimną kawą, obok leży gazeta, a na blacie kuchennego kredensu przy zlewie piętrzą się brudne talerze, na których zaschły resztki po jedzeniu.

To dziwne, bo pani Palikowa bardzo dba o porządek.

Mama mówi, że u niej można by odsunąć lodówkę, położyć na podłodze kotleta, a potem go zjeść bez strachu, że przy okazji połkniesz jakieś śmieci czy kurz.

Nie bardzo wiem, pociąłby ktoś robić coś tak dziwnego, choć kiedy sobie tę sytuację wyobrażam, dochodzę do wniosku, że chętnie zobaczyłbym ją na własne oczy.

Pewnie trzeba by kucnął albo położyć się na brzuchu.

Ale oczywiście wiem, o co tak naprawdę chodzi mamie - o to, że pani Palikowa sprząta wszędzie bardzo dokładnie i w każdym kącie jest u niej czysto.

92

- Towczorajszy obiad - mówi Justa ze zmarszczonymi brwiami, przyglądając się z bliska naczyniom na kredensie.

- Może nie, może to po śniadaniu odzywa się Karol.

- Mogą być po śniadaniu, prawda?

Wiem, dlaczego Karol wolałby myśleć, że te naczynia były używane dziś rano, a nie wczoraj po południu.

Bo jeśli one stoją tu od wczoraj, to znaczy, że Palikowie niewrócili z Siej, dokąd mieli jechać wieczorem po pomoc.

Oczywiście nigdzie nie jest powiedziane, że nie mogliby w Siejach zostać na noc, choćby w tym małym motelu obok stacji benzynowej zapoczą.

Tylko że jeśli ktoś wyjeżdża z domu nocą, raczej nie zostawia w kuchni brudnych naczyń.

A już na pewno nie zostawia otwartych drzwi.

- Co się mogło stać?

pyta Justa.

Może samochód mi się zepsuł?

- Telefon!

- woła Karol, wskazując na stojący pod oknem aparat.

- Przecież on ma telefon, możemy zadzwonić!

Karol szybko podchodzi do komody i sięga po słuchawkę.

- Jaki numer wybrać?

- pyta.

93.

- Policję - natychmiast odpowiada Justa.

-- Dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem.

Karol przytyka słuchawkę do ucha, sięga w stronę klawiszy, ale nagle ręka opada mu bezwładnie, a jego twarz robi się biała jak papier.

- No, co?

- pyta niecierpliwie Justa.

- Nie ma sygnału?

Karol bez słowa wyciąga słuchawkę w stronę Justy.

- Co jest?

- pyta dziewczyna.

- Zaniemówiłeś?

- Sama posłuchaj - ochryplym głosem mówi Karol.

Justa już ma wzięć od niego słuchawkę, ale Piotrek jest szybszy.

Bierze ją i przykłada do ucha.

Wysłuchujesz przez chwilę i widzisz, że jego oczy robią się okrągłe.

- To.

To przecież jest.

- zaczyna mówić.

- No co?

Co słyszeć?

- zdenerwowanym głosem dopytuje się Natałka.

Justa wzdiera mu słuchawkę, a po chwili podaje ją mnie.

Obejmuję Mełemocniej lewą ręką i z ociąganiem biorę szary przedmiot.

Podnoszę go do ucha niechętnie i nasłuchuję przez moment.

W telefonie słyszeć.

Czarny Młyn.

Jęgliwe skrzywienie stalowych, obracających się skrzydeł, a za nim nieregularne, niskie dudnienie.

Co kilka sekund dźwięki znikają w narastającej falitrzaskówi powracają po

chwilicyste i wyraźne.

- Co tam jest?

prawie histerycznie wykrzykuje Nataalka.

- Powiecie mi w końcu czy nie?

- Sama posłuchaj- podaję jej słuchawkę, ale Nataalka błyskawicznie chowa ręce za siebie.

-Nie chcę!

Wy mi powiedzcie!

Cosłyszać w telefonie?

- Zakłócenia- odpowiada Justa, siląc się naspokój.

-Dziwne zakłócenia, to wszystko.

- Może - kiwa głową Piotrek, ale nie patrzy na nią, tylko na drugą ścianę kuchni, pod którą stoi wersalka przykryta kolorową, robioną na szydełku narzutą, od której można dostać oczopląsu - pani Palikowa użyła doniej chyba wszystkich istniejących kolorów włóczki.

Spoglądam w tym samym kierunku.

Słuchawka wysuwa się z mojej ręki i uderza o podłogę.

Głośno wciągam powietrze.

Jednak wcale nie na widok pstrokatej kanapy, tylko obrazu, który nad nią wisi.

Nie widziałem go jeszcze, musiał zostać namalowany niedawno.

To chyba największy obraz, jaki pani Palikowa stworzyła kiedykolwiek- sięga od oparcia kanapy aż do sufitu.

Na obrazie widać Czarny Młyn.

Obraz jest bardzo ciemny, nie ma na nim nawet skrawka zieleni.

Szarobrazowe, zasypane odłamkami

kamieni i stertami żelastwa pustkowie ciągnie się pohoryzont i daleko, daleko zlewa z niebem w kolorzepopiołu.

Na samymśrodku obrazu z gruzowiska wyrasta Czarny Młyn.

Jego ramiona mają kształt czarnychposzarpanych błyskawic, rozciągają się nadpustkowie, sięgają stalowoszarych chmur.

Młynwydaje siejeszcze większy niż w rzeczywistości jego dziurawydach niknie w obłokach.

Jest jednolicie czarny.

PaniPalikowa musiała chyba zużyć mnóstwo farby na jegonamalowanie, bofakturaobrazu jest kostropata i gruba - budowla aż odstaje od płótna, przez co sprawiawrażenie trójwymiarowej.

Okienka młyna połyskujajądowitym, kłującym wzrok pomarańczem - to jedyne kolorowe elementy w całymmalowidle.

Wyglądająjak rozwścieczone, przekrwione maleńkieoczy jakiejśbestii.

- Nasza mama prędzej chyba by umarła, niż powiesiłaćoś takiego w domu - odzywa sięJusta z niesmakiem.

-Horror.

Czasami myślę sobie, że Justy nic nie rusza.

Gdyby któregoś dnia wyskoczył na nią z krzaków ryczącytyranozaur, powiedziałaaby pewnie: "no wiecie co" albocoś w tymstyłu.

Czasami jej zazdrozczę bardziejniż

96

Piotrkowi.

Piotrek jest odważny, ale jego odwaga bierze się z tego, że on umie pokonać swój strach.

Boi się, a mimo to cośrobi- na przykład wchodzi na strychjednego z opuszczonych domów albo podchodzi bardzo blisko budy Kunusia, najgroźniejszego w Młynachpsa, drażni go i ucieka w ostatniej chwili, kiedy Kunuśjest tuż przy jego łydce.

Ja się boję, ale nie umiemtegolęku pokonać i trochę mi z tego powodu wstyd.

Nigdywżyciu nie wszedłbym sam na strych opuszczonegodomui nigdy nie podszedłbym do budy Kunusia.

Bojęsię nawet wspiąć po drabiniepod dach naszej stodoły.

Mama mówiła mi, że tojest lęk wysokości, coś, naconie ma rady, inie powinienem się tym martwić, bo wieleosób to ma.

Niewiem, może.

Ale lęk to przecież strach.

Czyli żejednak się boję.

Natomiast Justa strachu nieczuje.

Przyglądasię różnym okropieństwom chłodnymokiem i wzrusza ramionami.

Gdyby chciała, bez wahania weszłaby na strych -nie robi tego tylko dlatego, że niewidzi w tym sensu.

Jeszcze mocniejprzytulam dosiebie Melkęi odwracam wzrok od obrazu.

- Chodźmy stąd - mówię.

- Powinniśmy już wracaćdo domu.

Babka pewnieczeka z obiadem.

97.

- Tak, my też już musimy iść ochoczo zgadza się Karol.

- Pewnie wróćą popołudniu, to znaczy Palikowie.

Przyjdziemy tu jutro.

Albo porozmawiamy z kimś innym.

Z rodzicami.

 To dobra myśl.

Mama wróci wieczorem, wszystko jej powiem.

Ona na pewno mnie wysłucha i coś wymyśli.

Ona będzie wiedziała, co zrobić, bo przecież zawsze wie, co trzeba zrobić, kiedy są kłopoty.

Robi mi się trochę różnie, choć w głębi duszy wiem, że nawet mama nie poradziła urzędniczkom pełną nocą drogą do Czarnego Młyna ani na to, co dzieje się za płotem kombinatu.

 Kiedy jesteśmy już przy drzwiach, Mela nagle odwraca się w moich ramionach i wyciąga rączkę w stronę obrazu.

 - Worteks mówi głośno wyraźnie.

 -Co? - pyta Piotrek.

- Co ona powiedziała?

 - Froteks- niepewnym tonem odpowiada Natałka.

- Tak mi się zdaje.

Chyba chodziło jej o ręcznik.

Ale toby było frotte.

 - Nie - kręcę głową, bo bardzo dobrze usłyszałem to słowo.

- Powiedziała worteks.

 - Nie ma takiego słowa - stwierdza Justa.

 -Jest- natychmiast mówi Karol.

- Gdzieś je już słyszałem albo czytałem.

Chyba w którymś komiksie, nie pamiętam.

Ale jest na pewno.

- Akurat - Justa wzrusza ramionami i pierwsza wychodzi z domu Palików.

Ruszamy zanią, ale na ganku stajemy jak wryci, niewierząc własnym oczom.

Z nieba sypią się na ziemiedrobne płatki śniegu.

Śnieg nie jest gęsty.

Białe drobinki spływają powoli z bezchmurnego nieba, upadają na ziemię, po czym prawie natychmiast rozpuszczają się wsiąkają w grunt.

Ale to jednak śnieg.

W lipcu!

- No wiecie co- mówi z oburzeniem Justa.

Właśnie.

To by była na tyle, jeśli idzie o Justę.

- Przecież toniemożliwe -odzywasię Natałka.

-Śnieg nie pada latem.

- W tym roku mamy, zdaje się, wyjątkowe lato - odpowiada po długiej chwili

Piotrek.

Schodzimy po stopniach ganku i podchodzimy do wózka Melki.

Sadzam ją ostrożnie i opatulam kocem, który z wierzchu trochę zawilgotniał od śniegu, ale pod spodem jest zupełnie suchy.

Idziemy w stronę naszych domów przez opustoszałe Młyny.

Gdyby chociaż dym się snuł z kominów, zrobilibyśmy się różnie, ale w naszej

100

wsi tylko w kilku gospodarstwach są jeszcze kuchnie opalane drewnem, i to tylko na wszelki wypadek, bo i tak wszyscy używają prądu.

Mimo to wiem przecież, że nie jesteśmy sami, że w tych domach są ludzie.

Są dorośli.

Przed podwórkiem Justy i Karola zatrzymuję się na moment.

- Poszukam tego słowa - mówi Karol.

- A kiedy je znajdę, dam ci znać.

Worteks.

Na pewno gdzieś to już czytałem.

- I porozmawiamy z rodzicami - dodaje Justa.

- Raczej nie uwierzą w prakimaserujące rzędem drogą do Czarnego Młyna, ale śnieg

w lipcu chyba da im domyślenia.

Kiedy wchodzimy do domu, Babka siedzi przy stolew kuchni i wpatruje się w śnieg padający za oknem.

- Babcia - mówię do niej głośno, sadzając Melkę nakrześlei zdejmującej kurtkę.

W Młynach dziejesię coś złego.

Słyszysz?

- Koniec świata po długiej chwili milczenia mamrocze podnosem, jakby mnie nie słyszała.

- Śnieg w lecie.

Wszystko do góry nogami.

101.

- Babcia!

- krzyczę do niej.

-Coś złego się dzieje wewsi!

Trzeba cośzrobić.

Byliśmy u Palikowej.

- Czego się drzesz?

- Babka odrywa wzrok od okna i spogląda na mnie ze złością.

-Głuchanie jestem.

Myjręce, zaraz będzie jedzenie.

- Ale w CzarnymMłynie dzieje się coś złego!

- wykrzykuję z rozpaczą.

- Nie zwracaj mi głowy - odburkuje Babka, podchodząc do kuchenki.

Oczy zaczynająmię piec, ale na.

pewno się przy niejnie rozplączę.

Nigdy!

- Gdyby tata był, toby coś zrobił!

- wołam.

-Zrobiłby porządek.

Poszedłbydo Czarnego Młyna i.

i by gowylączył!

Rozwaliłby go w drobny mak!

Babka ze złościściska pokrywka garnka i odwraca siędomnie jak rażona prądem.

- Aletaty nie ma!

- mówi podniesionym głosem.

-Przezwas!

Pojechał na koniec świata, żeby na was zarobić,i mi przepadł!

Tyle z tegomam!

Skończ wreszcie z tymi bzdurami i siadaj do stołu.

Już!

Z otwartymi ustami stoję na środku kuchni jak rażony gromem i czuję, że po policzku spływa mi jedna łza, a za nią następna i następna.

Zaciskam dłonie wpięści,

102

wypadam z kuchni i biegnę na piętro, do swojego pokoju.

Z całej siły trzaskam za sobą drzwiami i rzucam się na łóżko, chowając twarz w poduszcze.

To nieprawda, że tata wyjechał przez nas!

Nieprawda!

Pojechał do pracy, żeby nam wszystkim było lepiej, jemu też.

Sam mi mówił!

To nienasza wina, że tam są wikingowie, noc trwa dwa razy dłużej niż dzień jest tak strasznie, strasznie zimno.

Tonie nasza wina, że jego serce zamarzło tamna kamień!

Szlocham z twarzą wciśniętą w poduszkę, jakbym był małym dzieciakiem, inawet nie słyszę, kiedy otwierają się drzwi.

Dopiero kiedy czuję czyjąś rękę na swoich plecach, podrywam się gwałtownie.

Obok łóżka stoi Babka.

Szybko cofa dłoń i chowają dokieszeni swojego kwiecistego fartucha.

Przyglądam jej się przez chwilę bez słowa, Babka kiwa się parę razy w tył i w przód napiętach i wreszcie mówi:

- No, no.

Już dobrze.

- Wcale nie przez nas tata wyjechał!

- odkrzykuję zezłością.

- I wcale nie jest dobrze!

Babka milczy, zwija usta w dzióbek, który mruśzazprawej nalewo, aż wreszcie wzdycha i siada na krześle przy moim biurku.

103.

- Wiem mówi.

- Aleco poradzisz?

Nic.

Milczę, wpatrując się w nią złym wzrokiem.

- No przecież wiesz, jaka jestem.

Zawsze prędzejpowiem, niż pomyślę.

Pewno, że to nie przezwas tatawyjechał.

Dalej się nieodzywam.

Babka spogląda w okno, zaktórym sypie dziwny, trochę przerażający lipcowy śnieg.

- Jesteś taki sam jak on.

Wykapany ojciec- odzywasię wreszcie.

- Czasami jak naciebie patrzę, to aż mi się serce ściska.

- Dlaczego?

- pytam, bo tego nie rozumiem.

- Dlaczego, dlaczego.

- mamrocze Babka pod nosem.

- A kto może wiedzieć dlaczego?

Jak miał tyle latco ty teraz, myślałam, że będzie kimś!

Doktoremalboksięgowym.

Naukowcem!

A on poznał twoją matkęi tylez tego było.

Potem ty się urodziłeś, a potem.

ona.

A mógłbyć kimś!

Też był taki bystry jaki ty.

Czasamito jaw głowę zachodziłam, skąd się u takiego małego dzieciaka biorą te różne myśli i skąd on wie to wszystko.

Gadał i gadał, gęba mu się nie zamykała, całkiem jaki tobie.

- Tata jest kimś!

- mówię doniej głośno i wyraźnie.

Jest moim tatą.

Babka nieodpowiada, spogląda na mnie z ukosa bezuśmiechu, a potem uderza sięgłównodłomipoudachi wstaje zkrzesła.

- Ano, tak.

Jest.

No, koniec już tego mazgajenia.

Chodź do stołu - mówi i wychodzi z pokoju.

Siedzę jeszcze przez chwilę na łóżku, a potem idę do łazienki, żeby umyć ręce.

Gapię się bezmyślnie na odkręcony kran, z którego nie wypływa ani jedna kropla.

No tak, przecież niema wody.

Patrzę na siebie w lustrze, przyglądam włosy, wycieram twarz ręcznikiem i schodzę do kuchni.

Na obiad są kluski z serem i dżemem truskawkowym.

Po południu śnieg zaczyna sypać gęściej.

Nadal szybko roztapia się na ziemi, jednak w kątach podwórka, pod stodołą i z boku, przy szopie tworzą się już cieniutkie warstwy.

Na termometrze za oknem jest tylko pięć stopni ciepła.

Przyniosłem Babcetrzy wiadrawody ze studni, a po namyśle poszedłem jeszcze poczwarte, które zaniósłem do naszej łazienki na górze.

Jeśli temperatura spadnie bardziej, studnia zamarźnie.

To wydaje się niemożliwe, ale kto wie.

Kiedyś

105.

był w obejściu specjalny drąg, którym zimą kruszyło się lodową tafłę, żeby móc nabrać wody, tata mi o tym opowiadał.

Tobył bardzo mocny, długi na prawie trzy metry drąg zakończoną okuta stalą, pamiętam go nawet, bo stał przez kilka lat w kącie stodoły.

Ale nie wiem, gdzie teraz jest.

Pewnie ktoś go wyrzucił, choć Babka raczej rzadko coś wyrzuca.

Wszystko może się przydać, tak mówi.

- Kiedy mama przyjedzie?

pytam głośno, przyklejając nos do szyby.

- Po pracy - odpowiada gderliwym tonem.

Znowu jest taka jak zawsze.

Nic jej nie pasuje.

- Ale o której?

- nie odpuszczam.

- A coby nie wiesz, o której matka zmianę kończy?

Koło dziesiątej.

Jak zwykle.

Chciałbym, żeby już była dziesiąta.

- Jak babcia myśli, dlaczego pada śnieg?

W lipcu?

-pytam po chwili.

Babka milczy.

Odwracam się i spoglądam nanią.

Siedzi w starym fotelu stojącym obok kuchennego kredensu i obszywa kuchenną ścierkę.

Igła błyska raz za razem, chyba maszyna nie szyłaby szybciej.

Dopiero teraz dostrzegam, że Babka jest bardzo zdenerwowana.

Zaciska

mocno wargi, ana wysuszonych policzkach ma dwarzumieńce.

Okulary zjeżdżają jej na czubek nosa, szybko podsuwa je wskazującym palcem, cmokając przy tym z irytacją, i szyje dalej.

Chyba lepiej jej teraz o nic nie pytać, bo kiedy Babka jest zła albo zdenerwowana, to jedyne, czego się można od niej spodziewać, to porcja krzyków.

Idę na górę sprawdzić, co z Melą.

Siedzi w swoim łóżeczku i bawi się żółtym pluszowym krokodylem.

A raczej nie tyle się nim bawi, co go do siebie przytula.

Ten krokodyl był kiedyś mój.

Mama przywiozła go kiedyś z Konina, kiedy pojechała tam na kilkadziesiąt dni z Melą do szpitala.

Moja siostra śmieje się na mój widok i pokazuje mi krokodyla.

Mimowolnie odpowiadam uśmiechem, bo trudno się nie uśmiechnąć.

Moja siostra ma w sobie coś takiego, że każdy musi się do niej uśmiechnąć.

No, może poza Babką.

Ona się do Meli nie uśmiecha.

Schodzę powrotem do kuchni i stoję przy oknie akurat w chwili, gdy na podwórko wchodzi Karol z Justą.

Oboje mają na sobie czerwone wełniane czapki i puchowe kurtki.

Karol niesie pod pachą jakąś płaską paczkę.

Widzą mnie w oknie i machają na powitanie.

- Piotrek zaraz przyjdzie - oznajmia Karol, gdy otwieram im drzwi.

- Byliśmy też po Natalkę, ale mama jej nie puściła.

Kazała tylko zapytać, czy tata Natalka może przyjść do was z wiadrem po wodę ze studni.

Dowaszej ma bliżej niż do nas.

Studnia u Natalki została zasypana, podobnie zresztą jak studnia Piotrka, który teraz też przychodzi do nas po wodę.

- Pewnie, że może - wzruszam ramionami.

Idziemy na górę do pokoju mamy, bo tam jest więcej miejsca niż u mnie.

Karol rzuca kurtkę na podłogę, ale Justa z kwaśną miną podnosi ją i razem ze swoją wieszana oparciu krzesła.

- Sprawdziłem - mówi Karol triumfalnie.

- Wiedziałem, że znam to słowo!

No więc.

- Iwo!

- krzyczy Babka z dołu.

- Piotrek przyszedł.

Po chwili jesteśmy w komplecie.

Prawie.

- A Paweł?

- pytam.

- Nie powinniśmy poniego iść?

- Nie wiem - odpowiada Piotrek.

- Jakiś dziwny był dzisiaj.

Myślę, że możemy sobie darować.

- Czy wy mnie słuchacie, czy nie?

- pyta lekko obrażonym tonem Karol.

- No słuchamy, słuchamy - mówię.

- Znalazłem worteks w trzech Karol z powagą rozkładana podłódzeswoje komiksy.

Przechowuje je w specjalnych biurowych koszulkach, jakby były nie wiadomo jak cenne, a przecież większość nich kupił w kiosku obok przystanku autobusowego Siejach albo powymieniał się na nie z chłopakami zeszkoły. Justa przygląda mu się spod oka z lekkim rozbawieniem, ale nic nie mówi.

- Raz jest wspomniany w Spawnie, drugi raz w Aquamanie, a trzeci - oczywiście w X-M.

ena.ch.

- Dlaczego oczywiście?

- pyta Piotrek.

Karol patrzy na niego z politowaniem i wyjaśnia takim tonem, jakby mówił do dziecka:

- Bo to najlepsza ze wszystkich serii.

- Aa! Chyba, że tak - kiwa głową Piotrek, zachowując kamienną powagę.

- W każdym przypadku chodzi o obszar anomalii - objaśnia z przejęciem Karol trochę przemądrzałym tonem.

- Czyli miejsce, w którym dzieją się różne dziwne rzeczy.

WX-Menach jako worteks określony jest obszar, w którym Magneto dokonał nieudanego eksperymentu i wszystko tak się namagnesowało, że przestały działać kompasy i zegarki.

W Spawnie jest to część miasta,

w której też nic nie działa jak należy.

Nie wiadomo dlaczego.

Może wyjaśnili to w drugim numerze, ale gonie mam.

A w Aquamanie słowem "wortex" określa się Trójkąt Bermudzki.

Generalnie chodzi więc o to, że vortex jest miejscem, w którym wszystko działa na opak i wszystko nieźle się pokręciło.

- Czyli dokładnie tak jak u nas stwierdza Piotrek.

- Właśnie!

Widzicie, mówiłem, że wiem!

W komiksach jest wszystko, tylko trzeba poszukać.

Siedziałem nad nimi ze trzy godziny, ale znalazłem!

Spoglądam na Melkę, która dalej bawi się swoim krokodylem w łóżeczku, i zastanawiam się, skąd ona mogła znać to słowo?

Skąd mogła wiedzieć?

- Już?

- pyta Justa.

- Co już?

- odpowiada Karol.

- Skończyłeś?

- Skończyłem.

A co?

- A nic.

Bo ja też sprawdziłam, co to jest vortex.

- Gdzie sprawdziłaś?

- pytając z dumieniem Karoli mina mu rzednie.

- W słowniku angielsko-polskim wyjaśnia Justa słodkim tonem.

- To się pisze przez v i przez x.

Vortex.

Odszukanie i sprawdzenie zajęło mi pół minuty.

110

No, i co?

"-Co: i co?

;- No, co to znaczy?

W tym słowniku?

Justa milczy przez moment, napawając się chwilą swojego triumfu, i wreszcie mówi:

-Wir.

-Wir?

Wir.

- Jaki wir?

-pyta Piotrek.

- No wir.

Normalny.

- Taki jak na przykład w wannie, kiedy wyciągniesz korek i woda ucieka?

-Taki też.

-I jaki jeszcze?

pytam.

-O, matko!

-Justa rozkłada ręce.

- Nie wiem.

Każdy.

Trąba powietrzna też chyba jest wir, tyle tylko że powietrza.

W słowniku było napisane tylko: vortex, myślnik, wir.

Zastanawiamy się przez kilka sekund w milczeniu, wreszcie odzywa się Piotrek:

-Wyjaśnienie Karola bardziej pasuje.

- Bardzo mi przykro - z przekąsem odpowiada Justa.

-Widocznie słownik jest głupszy od komiksu.

111.

- Nie o to chodzi - kręci głową Piotrek.

- Chodzi o to, że wyjaśnienie z komiksu bardziej pasuje do naszej sytuacji.

Nie mamy tu trąby powietrznej, tylko wszystkosię pokręciło.

- Jeszczeniemy - stwierdza Justa.

- Ale może będziemy mieć.

Milkniemy wszyscy i jednocześnie spoglądamy na Mełę, która właśnie próbuje połknąć ogon swojego pluszowego krokodyla.

- Chcesz powiedzieć - mówi Karol ze zmarszczonym czołem - że ona prze-powie-dzia-ła trąbę powietrzną w Młynach?

Tak samo jak to z królikami?

- Nie wiem.

Może.

- W Polsce nie ma trąb powietrznych - z przekonaniem stwierdza Piotrek.

- Tak samo jak śniegu w lipcu?

- słodziutko pyta Justa.

- Tak!

To znaczy nie.

Nie wiem - płacze się chłopak.

- Jak to nie ma trąb powietrznych?

- wtrąca Karol.

- Oczywiście, że są!

I to wcale nie jest u nas rzadkość!

- Poczekajcie - uspokajam ich, bo myślę, że mi się w głowie i próbuję je uporządkować.

- Wydaje mi się.

To znaczy myślę, że chyba owa wyjaśnienia są dobre.

Po pierwsze - rzeczywiście w Młynach wszystko nie jest tak, jak być powinno. Inie chodzi tu nawet o ten śnieg, ale o telefony, komputery, telewizory i radia, które u

nas w ogóle nie działają.

O to, że zwierzęta niechętnie mieszkać - poza trzema psami, ale dla nich przecież najważniejsi są ludzie, a nie miejsca.

Więc określenie worteksu jako miejsca, w którym wszystko jest pokręcone, pasuje jak najbardziej.

Jak Karol powiedział?

Obszar anomalii?

Właśnie takie są Młyny - zamknięte przez autostradę, las trakcji elektrycznych, mokradła z toksycznymi odpadami i wreszcie - przez wypalony kombinat i Czarny Młyn.

A teraz po drugie - wir.

Wirtworzysię wtedy, gdy coś się kręci.

Woda lub powietrze.

Co obraca powietrze?

Wiatrak!

Wiatrak obraca powietrze i tworzy wir!

A przecież Czarny Młyn jest wiatrakiem i jego skrzydła zaczęły się obracać!

Obracają się, prawda zbyt wolno, żeby mógł powstać powietrzny wir podobny do trąby powietrznej, ale to nie może być przypadek!

Próbuję jasno wyłożyć pozostałej trójce wszystko, co przyszło mi do głowy.

- Hmm - mruczy Justa, gdy kończę swoją nieskładną przemowę.

- Coś w tym może być.

113.

- Czyli uważasz, że ten cały worteks robi się przez Czarny Młyn?

- pyta Piotrek z namysłem.

- Nie wiem.

Może.

A może jest tylko jego elementem.

Efektem.

- Coś podobnego!

wykrzykuje Karol z rozjaśnioną twarzą.

- To lepsze niż X-Meni! Zupełnie jakbyśmy żyli w komiksie!

Super, nie?

Spoglądamy na niego, a brwi Piotrka unoszą się tak wysoko, że prawie stykają się z włosami nad jego czołem.

- Co jest super?

- pyta Piotrek.

- No, że to wszystko jest takie niesamowite!

- tłumaczy Karol.

- Jak w filmie!

- Mam głupiego brata - stwierdza po krótkiej chwili Justa.

- Sama jesteś głupia!

- Czy naprawdę uważasz, że wszystko, co się dzieje teraz w naszej wsi, jest takie świetne?

To, co się stało z królikami Pawła?

Pompa?

Czarny Młyn, który połyka nasze pralki, suszarki i miksery?

Śnieg sypiący w środku lata?

- pyta ze zdumieniem w głosie Justa.

- No, nie.

Nie o to mi chodzi - protestuje Karol.

Przecież wiecie!

Chodzi mi o to, żedzieje się unas cośniezwykłego!

W naszej zapomnianej przez wszystkich,

nieważnejmałej wioscedziejesię coś totalnie odjechanego!

- Aha - Piotrek spogląda na Karolajak na wariata.

-Wieszco?

To ja już wolałbym chyba, żeby było taksamonudno i nijako jak zawsze.

Karol otwiera usta,żeby coś powiedzieć, ale zamyka jepo chwili.

Bezradnie opuszcza ramionai pochyła głowę.

; - W sumie masz rację - mówi cicho.

-Ja bym tylko chciał, żeby.

no,nie wiem.

Żebyśmy byli ważni.

Tak samo ważni jak ci z Siej albo z innych miejscowości czy miast.

Żebym, kiedy mówię komuś, żejestem z Młynów, nie musiał tłumaczyć, gdziejest.

- Wiem - kiwagłową Justa isprawdza zegarek.

Któragodzina?

U mnie jest cały czas piąta, chyba przestał działać.

- Nie mam zegarka- mówi Piotrek.

-Tu stoi,czekaj - podnoszę się z podłogi i odwracamw naszą stronę
elektroniczny budzik mamy stojący obokwersalki, a który o dziwo nie zniknął z
innymi urządzeniami poprzedniej nocy.

Na wyświetlaczu, na którymzawszepokazująsięczerwone cyfry,teraz świecą się
wszystkie kreski.

Jest88:88.

115.

- Chyba się zepsuł - mówię.

- Poczekajcie.

Idę do swojego pokoju i sprawdzam budzik z elektronicznym wyświetlaczem.

Ekranik jest szary.

Sprawdzam jeszcze nawszelki wypadek, czy bateria się nieobluzowała, ale siedzi mocno.

Mama zmieniała jądawno.

- No i?

- pyta Justa, gdy wracam do pokoju mamy.

- Która?

- Nie wiem - odpowiadam.

- Mój też nie działa.

- Myślisz, że.

- zaczyna Piotrek i nie kończy.

Wiem, o co chciał spytać - o to, czy to znaczy, że wszystkie zegary w Młynach przestały działać.

Niewiem tego, ale mam dziwnie silne przeczucie, że właśnie tak się stało.

- Musimy iść - Justa szybko podnosi się z podłogi i sięga po kurtki.

- Ubieraj się.

Mamy jeszcze zajrzeć do Natalki.

Karol bez słowa wciąga na siebie puchówkę i wbija na głowę wełnianą czapkę.

- Ja też lepiej pójdę - Piotrek wstaje.

- Dasz sobieradę?

- Pewnie - mówię, choć w gardle rośnie migula.

- Mama przyjeżdżenie długo.

116

Wychodzą, a ja sprawdzam jeszcze zegar w kuchni.

To stary, wiszący zegar, który Babka ma chyba od stulata.

Dostała go podobno od swojej matki w prezencie ślubnym.

Nakręcasięgo specjalnym kluczem raznatydzień i Babka bardzo tego pilnuje.

Teraz jednakzegar stoi,a jego wskazówki zatrzymały się na godziniepiątej.

- Zegar stanął - mówię doBabki, która wciąż jeszcze siedzi w fotelu, pracowicie obszywając kolejną ścierkękuchenną.

Posyła mi szybkie, krótkie spojrzenieznad okularów.

Usta ma zaciśniętetak mocno, że przypominają białąkreskę.

Czyto możliwe, żeby lipcowyśnieg aż tak bardzo wyprowadziłją z równowagi?

Zapadazmrok.

Białe płatki sypią się nieprzerwanie,zaspy przy stodole i obokszopy są już całkiem spore.

Nanasze podwórko wchodzi tata Natalki i szybko napełniawiadra wodą ze studni.

Macham do niego z okna istukam w szybę,ale niezwraca na mnie uwagi.

Przecieżmusi mniewidzieć!

Biegnę do sieni, zakładam kurtkętaty i otwieram drzwi.

- Proszę pana!

- wołamdo niego.

-Panie Władku!

Nie wiepan, która godzina?

117.

Objuczony wiadrami zmierza w stronę bramy, nawet.
się nie ogląda w moją stronę.

Zeskakuję ze stopni i podbiegam do niego.

- Panie Władku, słyszy pan?

- pytam, chwytając go za rękaw.

-Pytałem, która godzina, nasze zegary niechodzą.

Mama ma przyjechać koło dziesiątej, aja niewiem.

Urywam nagle, bo ojciec Natalki odwraca twarz w moją stronę.

Ma rumieńce, a płatki śniegu osiadają mu na włosach i brwiach.

Spogląda na mnie, ale tak, jakby patrzył przez mnie.

To samo spojrzenie miał dziś rano Paweł.

Jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Panie Władku!

Słyszysz mnie pan?

- pytam głośno.

- Idź do domu.

Zimno jest - odzywa się wreszcie.

- Ale ja pytałem, która godzina.

Nasze zegary nie działają, może pan.

- Idź do domu - odwraca się i wychodzi na drogę.

Stoję przez długą chwilę na środku podwórka i czuję, jak zaczynają mnie szczypać uszy.

Wracam do domu i sprawdzam termometr za oknem.

Są zaledwie trzysta stopni powyżej zera.

Przecież toniemożliwe!

Babka robi kanapki, jemy kolację i kładę Melkę do łóżka.

Nie możemy jej normalnie wykąpać, bo jest za

mało wody - musiałbym przynieść z pięćwiader dodatkowo, a potem trzeba by

grzać je na kuchence.

Nieskończylibyśmy do rana.

Babka myje więc Melibuzię rękaw misce, a potem zamyka się w swoim pokoju.

Czyli musi być koło dziewiątej.

Babka zawsze chodzi spać o dziewiątej wieczorem, zawsze.

Jeszcze godzinai przyjedzie mama.

Siadam w fotelu obok łóżka Meli i czytam jej kawałek książko wikingach.

O tym, jak wędrowali przez śniegi i mrozy, przez nieprzebytegóry oddzielające Norwegię od Szwecji, by podbić mieszkające tam ludy.

By zagarnąć ich dobytek i pojmać niewolników, których potem wywozili swoimi drakkarami do dalekich krajówi sprzedawali.

Czytam bardzo długo, śnieg za oknem sypie i sypie.

Mela dawno już usnęła, czytam więc tylko dla siebie, po cichu, choć klejami się oczy.

Opuszczamna chwilę powieki, akiedy je unoszę, za oknem jest jasno.

Przespalem w fotelu całą noc!

Zrywam się narównie nogi.

- Mama?

- wołam.

Wersalka jest pusta.

Biegnę na wszelki wypadek do swojego pokoju, bo może mama spała w moim łóżku, może wróciła późno i nie chciała nas budzić.

Jednak

119.

mój tapczan także jest pusty.

Wyglądam przez okno, żeby sprawdzić, czy na podwórku stoi maluch taty, ale widzę tylko śnieżne zasy.

Mama niewróciła.

Zbiegamna dół do kuchni, w domu jest bardzo zimno.

Naciskam przełącznik światła w sieni, ale lampa pod sufitem pozostaje ciemna.

Nie ma prądu.

Alenajgorsze, że nie mamamy.

 Nie wiem, która może być godzina.

Nadworze jest już jasno, ale przecież latem słońce wschodzi bardzo wcześnie.

Babka w każdym razie jeszcze żyje.

Dlaczego mama nie wróciła?

Coś się musiało stać.

Może maluch nie odpalił?

Może nie mająk przyjechać do domu?

Przecież nie może nawet nas zawiadomić.

Napewno nic się nie stało - myślę, opierając się o parapet kuchennego okna i wyglądając na podwórko.

Na termometrze jest około dwóch stopni, ale przez noc napadało tyle śniegu, że zasy pod drzwiami stodoły urosła prawie do pół metra.

Gdybym w niej stanął, sięgałaby mi zakolana.

Nic się nie mogło stać, mama jest w restauracji przy autostradzie, pewnie spała w tym małym pokoju na zapleczu.

Stoi tam wersalka, na której sypia czasami kelnerki podczas nocnej zmiany, jeśli niema klientów.

Z całej siły zaciskam dłonie na krawędzi parapetu, a mój

oddech tworzy na szybie mleczny okrąg pary.

Opieram o niego czoło i nos, a gdy odsuwam głowę, w kręgu pary zostaje odcisnięty owalny ślad, od którego biegnie', w dół krótka kreska.

Może to być mapa.

Albo chmuraw kształcie grzybapowstała po wybuchu bomby atomowej.

Albo dymek w komiksie.

Gdybym miał porządny rower, mógłbym pojechać do restauracji, chociaż to ponad osiemdziesiąt kilometrów.

Jechałbym pewnie cały dzień.

Mogę pożyczyć rower od Piotrka, on ma górala.

Ale jak jechać rowerem w takim śniegu?

Mogę pójść do autostrady, przejść przez siatkę, stanąć na poboczu i machać do samochodów.

Może ktoś się zatrzyma, zawiezie mnie do mamy?

Ale na autostradzie nikt nigdy się nie zatrzymuje.

Nawet jeśli najezdnię coś (królik) wbiegnie.

Odklejam się od parapetu i staję na środku kuchni.

Co jeszcze mogę zrobić?

Mój wzrok zatrzymuje się na zegarze Babki zamkniętym w prostokątnej drewnianej skrzyneczce z niedużym okienkiem z przodu.

Na czubku ma rzeźbione zawijasy.

Gdy się go nakręci, wystarczy popchnąć wahadło, które wisi pod tarczą zegara w środku skrzynki.

Wchodzi na fotel Babki i staję na poręczach.

Przód skrzynki otwiera się jak szafka - z boku

122

jest haczyk, który trzeba podnieść.

A potem popchnę wahadło i.

Otwieram drzwiczki i okrągłymi jak spodki oczami wpatruję się w odsłonięty

mechanizm.

Wahadło stoi w miejscu.

Ale wcale niepionowo.

Jest wychylone w prawą stronę, bardzo mocno, także niemal dotykając bocznej ścianki skrzynki.

Przełykam ślinę powoli dotykam go palcem.

Tkwi nieruchomo, jakby było przyklejone.

Jakby stanowiło całość z białą tarczą.

Nie mogę go ruszyć, choć naciskam z całej siły.

Cofam rękę i wpatruję się w zegar jak zaczarowany.

Babka musiała to widzieć.

Trzęsie się zawsze nad tym zegarem, jakby był nie wiem jak ważny.

Kiedy przestał chodzić, na pewno próbowała go uruchomić i jej się udało.

Dlatego była taka zdenerwowana wczoraj, siedziała z czerwonymi rumieńcami na policzkach, z ustami zaciśniętymi w białą kreskę i obszywała ścierką jedną za drugą, jakby od tego zależało jej życie.

Śnieg w lipcu to niezwykła sprawa, ale przecież nie jest niemożliwy.

Natomiast jeśli coś, co normalnie swobodnie sobie wisi niczym kamień uwiązany na sznurku, nagle zatrzymuje się odchylone w bok, to tego nie da się wytłumaczyć w żaden sposób.

Odchylone w bok.

W stronę.

Oczywiście!

W stronę Czarnego Młyna!

Jakby było przez coś przyciągane, jakby coś (wir) jewciagało.

Oblizuję wyschniętewargi.

Mama musi przejechać obok Czarnego Młyna.

Niema innej drogi.

A maluch to samochód.

Samochód to urządzenie.

Jeśli Czarny Młyn przyciągnął do siebie starego gruchota, który stał na ceglach w drugim końcu wsi, to co dopiero sprawne auto przejeżdżające przed samą bramą kombinatu.

Auto, którym moja mama mogła wracać (wracała) do domu w nocy.

Albo inne, którym Palikowie próbowali wcześniej dostać się do Siej, żeby wezwać pomoc.

Moja mama jest w Czarnym Młynie.

I inni dorośli też.

I w tym momencie, w ułamku sekundy, przejmującym jak gwałtowny podmuch lodowego wiatru, coś sobie uświadamiam.

Planowałem, że pojedę do Norwegii, odnajdę tatę i uwolnię go zniewoli u wikingów.

Czytałem książki i wyobrażałem sobie, co może się tam z nim dziać.

Myślałem o tym, że gdyby wrócił, byłoby lepiej, i wszystko wydawało mi się beznadziejne tylko dlatego, że go nie ma.

A mama - po prostu była.

Była tu cały czas, więc zupełnie się nad nią niezastanawiałem, bo to było normalne, że mama po prostu jest.

To, że wstaje o czwartej nad ranem, że jeździ niemal dzień

w dzień rozpadającym się maluchem dalekiej restauracji, w której siedzi za kasą przez osiem, a czasami sześć godzin, jeśli weźmie dwie zmiany - to było normalne.

To, że przy tym wszystkim dbała o Mełę, kąpała ją, karmiła, wozila do szpitala w

Koninie, zносиła humory i przykre uwagi Babki i jeszcze znajdowała czas, żeby porozmawiać ze mną o różnych rzeczach czy sprawdzić moje szkolne zeszyty - to było normalne.

Zupełnie się nad tym nie zastanawiałem, bo było normalne, że mama jest.

Tata zniknął, mama jest, a jak coś jest stale, na co dzień, to się tego nie zauważa.

Oczywiście kocham mamę i ona o tym wie.

Wie napewno.

Jednak nigdy się nie zastanawiałem nad tym, co i ile robi, bo po prostu robiła.

A co wymaga więcej odwagi: zapakowanie walizki na podróż na koniec świata w nieznane, nawet między wikingów, żeby coś zdobyć, czy pozostanie na miejscu i staranie się z całych sił, dzień w dzień, noc w noc - nawet wtedy, gdy się wie, że niczego się nie zmieni, że można, co najwyżej, wszystko podtrzymać, ale niczego się nie popchnie do przodu?

Nie wiem tego.

Ale chyba wiem, która z tych rzeczy jest trudniejsza i która wymaga więcej siły.

Trudniej jest zostać i troszczyć się o kilkoro bliskich, niż wyjechać

i troszczyć się tylko o siebie.

Szczególnie jeśli ci bliscy to mała, niesprawna, niedorozwinięta dziewczynka, jedenastoletni chłopak i stara, głucha Babka, która ma "Ciężki charakter i mówi prędzej, niż myśli.

Przez cały czas myślałem tylko o tacie - o tym, że jest mu trudno, że toczy zamorzem bohaterskie potyczki z groźnymi wikingami - a zupełnie nie zwracałem uwagi na mamę, która tuż obok walczyła z całym światem, żebyśmy mogli normalnie żyć.

Wiem, że nie mogę wyruszyć na pomoc mojemu ojcu przez wikingów tacie.

Ale mogę - i chcę

wyruszyć na pomoc mojej porwanej przez Czarny Młyn mamie.

I że zrobię to jeszcze dziś.

Nawet całkiem sam - jeśli nikt nie będzie chciał iść tam ze mną.

Idę na górę, zakładam gruby sweter i wyjmuję z szafy zimową kurtkę.

Zaglądam do Meli, która oczywiście

już nie śpi.

- Melcia, dzieje się coś bardzo złego - mówię do niej.

Mama niewróciła, nic nie działa.

Myślę, że ona jest w Czarnym Młynie, że ją wciągnął.

Muszę po nią iść.

Zostaniesz z Babką, dobrze?

Mela pochyla swoją zbyt dużą głowę i przygląda mi się spod brwi.

- Muszę iść.

Powiem Babce, żeby do ciebie zajrzała i dała ci jeść - powtarzam i już mam się odwrócić, żeby wyjść z pokoju, gdy niespodziewanie moja siostra mówi:

- Łatwiej iść czy zostać?

Zastygam bez ruchu jak skamieniały i wlepiam w nią oczy.

Przecież brzmi to prawie jak moja myśl sprzed kilku minut!

- Co ty po.

powiedziałaś?

- pytam, jękając się.

Melka nieodpowiada.

Przenosi wzrok na swojego żółtego krokodyla, który leży obok jej poduszki.

Sięga po niego, podnosi i mocno przyciska do siebie.

- Mela?

- pytam jeszcze raz.

- Jutro - mówi do mnie, a może do krokodyla, niewiem.

- Będziemy gotowi jutro.

- Kto będzie gotowy?

Jacymy?

- pytam, podchodząc do łóżeczka i nachylając się nad nią.

-Kto będzie gotowy jutro?

Ty i krokodyl?

Ty i ja?

Wszystkie dzieci z Młynów?

Kto?

Co ty wiesz?

I skąd?

Skąd ty wiesz' to wszystko?

Krzyczę na nią.

Wbrew sobie, bo wiem, że bardzo tego nie lubi - pewnie przez Babkę, bo ona często się

wydziera, szczególnie gdy jest zła.

Czyli prawie zawsze.

Melka patrzy na mnie okrągłymioczami, które natychmiast wypełniają się łzami, a potem zaciska mocnopoewieki.

Wygina ustaw podkówkę i zaczyna głośnopłakać.

Robi mi się wstyd.

Wyjmują zółeczka iprzytulam mocno.

Ma bardzozimne rączki i lodowaty nos.

Dlaczego o tym nie pomyślałem?

Przecież ona marzniebardziej niżja, jest taka malutka.

Szłocha w moich objęciach, ale po chwilisię uspokaja.

Ubieramjawn ciepłubrانيا wyjęte zkomody, a później opatuloną w swetryznoszę nadół, do kuchni.

Babka jeszcze nie wstała.

Która może być godzina?

Przychodzimi do głowy, że powinienem napalićw kuchni, bo inaczej pozamarzamy.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktośpalil w tej kuchni -odkąd się urodziłem, wszystkojest u nas na prąd.

Czego jak czego,aleprądu w Młynach nigdy nam nie brakowało - przytych wszystkich trakcjach i transformatorach.

Podchodzę do obłożonej białymi, popękanyimi kaflami kuchni stojącej w rogu pomieszczenia.

Na żelaznejpłytcie leży drewniany blat - Babka używa go do krojeniawarzywi mięsa.

Obok stoi zwyczajna kuchenka z piekarnikiem na prąd, teraz zimna i zupełnie niepotrzebna.

Zdejmuję zblatu emaliowany chlebak, czajnik,pojemnikiz cukrem i kaszą, a potem na próbę podnoszę brzegdrewnianej płyty.

Odrywa się z lekkim cmoknięciem, alejest bardzo ciężka.

Gdy pokilku minutach udaje mi się ją zdjąć, jestem spocony jak mysz.

Podspodem w żeliwnej płycie kuchennej są cztery okrągłe otwory przykryte płaskimi, idealnie do siebie przylegającymi żeliwnymi obręczami.

To fajerki.

Zaglądam przez małe drzwi z przodu kuchni.

Kiedy je otwieram, czuję podmuch zimnego powietrza.

Tu wkłada się drewno i papier na rozpałkę - wiem, bo ciotka Pawła ma taką samą kuchnię i raz widziałem, jak w niej paliła, kiedy odłączyli jej prąd, bo nie zapłaciła rachunku.

Idę do komórki po drewno, które leży tu ułożone w niedużą stertę.

Na podwórku przystaję i przez chwilę nasłuchuję dobiegającego z oddali szmerliwego skrzypienia ramion Czarnego Młyna.

Brzmi prawie jak jednostajny jękliwy pisk - skrzydła muszą obracać się znacznie prędzej niż wczoraj.

Uświadamiam sobie, że to skrzypienie jest teraz jedynym dźwiękiem, jaki rozlega się w Młynach - nie słychać ani buczenia transformatorów, ani nawet szumu samochodów pędzących autostradą.

Owijam się ściślej kurtką i oddycham głęboko - powietrze

jest lodowate, ale pomimo śniegu suche.
Ma metalicznyposmak, trochę jakw pociągu.
Z nieba wolno sypią siędrobne, białe płatki.
Wystawiam dłoń.
Roztapiają się namojej skórze,ale nie wszystkie.
Przyglądamsię im uważnie, rozcieram je palcami.
To drobiny jasnego popiołu.
Z nieba sypie się śnieg i popiół!
O co tu chodzi?

Wracam do kuchni z naręczem starych, poszarzałychi sypiących trocinami
drew.

Wybieramkilka najcieńszychkawałków i wrzucam podpłyte, dokładam zmiętą gazetę.
Kiedy przytykam zapalke, papier natychmiastzajmuje sięogniem, apo chwili pali się
także drewno.

Kuchnię szybko zaczyna wypełniaćszary dym, kaszlemyoboje z Melką.
Drzwi do pokoju Babkiotwierająsię błyskawicznie.

- Co ty wyprawiasz?

-Napaliłem w kuchni.

Nie ma prądu - wyjaśniam, mrugając, bo dym szczypie mniew oczy.

Babka przyglądami się znad zsuniętych na czubeknosaokularów.

Nie wygląda najlepiej.

Podoczami masińce, a siwewłosy, które zawsze ciasno zaczesuje w kok,sterczą jej na
wszystkie strony.

Przenosi wzrok na kuchnię, podchodzi do niej szybko i sięga dowystającego ześciany
uchwyty naścierki.

130

-Szyber trzeba wyciągnąć - gdera, pociągając za gałkę, która wyjeżdża ze
ściany nakilka centymetrów.

- Nawsi chowany, a pojęcia o-wsiowych rzeczachnie ma.

Nie wiedziałem, że ten uchwyt się wysuwa.

Dym natychmiast przestaje się wydobywać ze szczelin między fajerkami, a po kilkunastu minutach w pomieszczeniu dajesz się normalnie oddychać.

- Ciągnie jak trzeba mówi Babka, przyglądając się kuchni z zadowoleniem.

Teraz już takich nie stawiają.

Patrz, tyle lat stała nieużywana i nic.

Dobrze, żeptaki już do Młynów nie przylatują.

Kiedyś kawki ciągle niazda w kominie zakładały.

Ożywia się, krząta przy kuchni, trzaska patelnią, dzwoni talerzami.

Wyciąga z kredensu stary, emaliowany czajnik, napełnia go wodą i stawia na fajerkach.

- Widzisz ty?

Patrz, jak się szybko rozgrzewa - gadado siebie.

- Babcia - odzywam się mama nie wróciła.

- Zawsze mówiłam, żeby tej kuchni nie rozbierać.

Stała, to niech se stoi.

I co z tego, że lepsza elektryczna?

Prąd wyłączy, to będzie jak znalazł!

A Michniewska swoją zaraz kazała rozebrać na drugi dzień, jak jej syn elektryczną postawił.

A ja jej mówiłam, żeby nie rozbierała, bo się

jeszcze przyda, to mi się w nos śmiała.

I kto miał rację?

Jamiałam!

Ja się będę teraz śmiała, nie kto inny!

- Babcia - mówię głośniej.

- Mama nie wróciła z restauracji!

Nie ma prądu i jest prawie zero stopni nad morze!

W Czarnym Młynie.

Babka odwraca się w moją stronę, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, oblizuje szybko wargi i przerywa mi w pół słowa:

- Kuchnia działa, tożle nie będzie!

Zaraz zrobię śniadanie.

Jajka będą, jak lubisz.

I herbatę zrobię!

Drewnianes jeszcze, nanieś drew!

Chwyta puszkę z herbatą i dopiero teraz widzę, jak bardzo jej się trzęsą ręce.

Babkowie jeszcze mniej odemnie!

Nie ma pojęcia, co robić, i jest śmiertelnie przerażona.

Na kuchni się zna.

Wie, jak dokładać drew do ognia, co zrobić, żeby dobrze działała.

Może usmażyć jajka.

Łapie się więc tej roboty, tak jakbym ja się złapał deski dryfującej na falach, gdybym się topił.

I Babka nic innego nie robi.

Nie pójdzie do młyna z uniesionym nad głowę tłuczkiem do mięsa, nie rozbije muru i nie przyprowadzi mamy.

Babka nie sprowadzi pomocy.

Babkanie pomoże.

To ja będę musiał się zająć i Melką, i nią, całkiem sam, a nie ona nami.

Babkazrobiherbatę.

132

Nieświadomie szybkim ruchem podnoszę ręce do twarzy i zakrywam oczy.

Nie będę płakał.

Niebędę płakał!

Nie będę.

- Iwo!

Iwo!

- słyszę głosy za oknem.

-Wpuść nas!

Oddycham z ulgą.

To Justa i Karol!

Nie jestemsam!

Przecież w Młynach są jeszcze inne dzieci i ich rodzice.

Dorośli!

Oni są moją deską, moim kołem ratunkowym.

Biegnę do sieni i otwieram drzwi.

Na gankustoją Karol, Justa, Piotrek i Natalka.

Tupią głośno, otrzepując mokry śnieg z butów.

Uśmiecham się szeroko, ale mój uśmiech szybko znika na widok ich min.

Karol i Piotrek są bladzi, nawet Justa ma przestraszoną minę, a Natalka płacze.

Brodajej się trzęsie i łzy spływają po policzkach.

Widać, że ostatkiem siły powstrzymuje się od rozpaczliwego szlochania.

- Nie ma ich - mówi Justa bez wstępów, przygląda mi się krótko i przeciska obok mnie do sieni.

- Bczaleś?

- Kogo nie ma?

- pytam, starannie ignorując pytanie.

- Nie ma naszej mamy - rzuca Karol niewyraźnie przez zbiele wargi.

- I moich rodziców.

Isąsiadów.

Nie ma nikogo z dorosłych - dodaje Piotrek.

Natalkazaczynaszlochać.

Czyli i jej rodzice.

133.

-Jak to ich nie ma?

pytam idiotycznie, próbując zebrać myśli.

- A gdzie są?

- A gdzie są?

- przedrzeźnia mnie Justa, unosząc brwii spoglądając znacząco w moje oczy.

-No, powiedz mi.

Gdzie oni są?

Zamykam drzwi stoję w mroku niedoświetlonej sieni z bezradnie opuszczonymi ramionami.

- U ciebie jest cieplej - stwierdza Piotrek, rozpinając kurtkę.

-Napaliliśmy w kuchni -wyjaśniam.

- Babka robi śniadanie.

Przyglądają mi się przez chwilę bezsłowa.

Natalka przestaje szlochać.

- Babka?

- pyta wreszcie Karol.

-Twoja Babka jest?

Przecież wszyscy dorośli z Młynów zniknęli.

- Ale nie Babka - mówię.

Miny całej czwórki rozjaśniają się nieco, nawet Natalka, wycierając nos w rękaw kurtki, oddycha z ulgą.

Wiem, dlaczego się uspokoili.

Wprawdzie rodzice i inni mieszkańcy Młynów zniknęli, ale Babka została.

Babka jest przecież kimś dorosłym.

A dorośli wiedzą, co robić.

Justa, Natalka, Karol i nawet Piotrek chwytają się więc myśli o Babce.

Tak samo jak ja chwyciłem się

przed chwilą myśli o nich.

Tak samo jak Babka chwyciła się swojej przedpotopowej, opalanej drewnem kuchni.

Błędne koło.

Wir.

Worteks.

Tak czy siak będziemy musieli zrobić coś sami.

Wzdycham ciężko i wprowadzam ich do kuchni.

Babka łypie okiem znad patelni.

- Tylko nogi wytrzyjcie!

- gdera.

- Żebyście mi tubłota nie nanieśli.

Jakby brudna podłoga miała teraz jakiegokolwiek znaczenie.

Ale dobra - mówi Karol z ustami pełnymi jajeczniczy.

W kuchni zrobił się już bardzo ciepło.

Szyby okienne zaparowały i niewidać, co się dzieje na zewnątrz.

Łatwo byłoby uwierzyć, że za oknem wszystko jest takie samo jak zazwyczaj.

Babka nowu ma starannie uczesane włosy, krząta się energicznie między kredensem, kuchnią a stołem.

Tylko Melka ze swoim żółtym krokodylem pod pachą spokojnie i z powagą przygląda się zaparowanym oknom.

Nagle przychodzi mi do głowy, że ona jedna wie, co tak naprawdę dzieje się w Młynach.

Ale nie umie nam powiedzieć.

Albomy nie umiemy się tego od niej dowiedzieć.

Odsuwam talerz z niedojedzonym śniadaniem.

- Opowiedzcie, co się stało - żądam.

Pierwsza odzywa się Justa:

136

- Wczoraj było normalnie.

No, w miarę.

Mama zrobiła jedzenie i nam podała, ale podczas kolacji siedziała przystole w kuchni, wcale się nie odzywała i była jakaś dziwna.

Zachowywała się tak, jakby czegoś nasłuchiwała i zupełnie nie zwracała na nas uwagi.

- Dokładnie tak samo było u mnie - potwierdza Piotrek.

- Mama przez cały wieczór siedziała na krześle z przechyloną głową, jakby czegoś nasłuchiwała.

I nic nie mówiła.

Spoglądamyna Natalkę, która przez moment unika naszego wzroku i wreszcie kiwa głową.

- Mój tata przyniósł wody - mówi cicho - i już nawet nie zdjął kurtki.

Siedział w kurtce przez cały wieczór bez ruchu, aż poszłam spać.

Nawet nie powiedziałyśmy dobranoc, a on zawsze.
zawsze.

Przerywa i oddech głęboko.

Po chwili ciągnie dalej:

- Kiedy się obudziłam rano, nie było ich.

Mama zwykle mnie budzi, ale dziś obudziłam się sama.

Wstałam, zeszłam do kuchni.

Było zimno i pusto.

Nawet nie wiem, kiedy wyszli.

I dokąd.

- Wiesz - mówi spokojnym tonem.

Wiesz, dokąd poszli.

Są w Czarnym Młynie.

Jak wszyscy.

Usta Natalki wyginają się podkówkę i widzę, że zaraz znowu zaczną płakać.

137.

- Daj spokój - uspokajam ją.

-To nic nieda.

Nictonam nie pomoże, jeśli będziemy siedzieć i ryczeć.

- No, a ona?

- szepcze Piotrek, machając widelcem w stronę Babki.

-Dlaczego ona została?

- Nie wiem.

Może dlatego, że jest taka stara?

- odpowiadam półgłosem, żeby Babka nie dosłyszała.

-I niemusiż tak szeptać.

Jest głucha jak pień.

Trzeba się nieźle wydzierać, żeby coś usłyszeć.

Urywam nagle i zastygam na chwilę z otwartymi ustami.

Coś mi się przypomniało.

Była przecież tak bajka.

Kiedy ja ją czytałem?

Strasznie dawno temu.

O chłopaku, który miał flet, a kiedy grał na tym flecie, biegły do niego.

myszki czy coś.

Nie pamiętam.

W każdym razie jakieś zwierzęta.

A myśliwi polują na kaczki?

Mają specjalne gwizdki, którymi przywabiają zwierzyne!

Może Czarny Młyn też ma jakiś inny, specjalny rodzaj gwizdawki, na którym

wygrywa melodię, która działa na ludzi?

To znaczy na dorosłych, bo przecież my jej nie słyszymy.

Ale usłyszeli ją nasi rodzice!

A jeśli tak jest, to ten dźwięk może nie działać na Babkę, bo ona.

- Ona nie słyszy za dobrze - mówię.

- Dlatego została!

Sami mówicie, że wasi rodzice zachowywali się

tak, jakby wsłuchiwalis się w jakiś daleki odgłos.

W dobiegającą z oddali muzykę.

Paweł wczoraj też.

Paweł!

Powinniśmy iść po niego.

- Chcieliśmy iść z tobą wyjaśnia Justa.

- Mieszkaś bliżej, dlatego przyszliśmy najpierw tu.

Dobra, powiedzmy, że naszych rodziców przyciągał jakiś dźwięk.

Ale dlaczego my gonieśyszmy?

- Może dlatego, że jesteśmy jeszcze za mali?

myślęna głos.

- A Paweł?

- Paweł jest już prawie dorosły.

- Czy lion też.

- Nie wiem - wzruszam ramionami.

- No, to corobimy?

Cztery, nie - pięć paroczku wpatrujesię we mnie z uwagą.

Melka też.

Ja mam powiedzieć, co zrobić?

Ja?

- A skąd mogę wiedzieć?

- pytam ze zdumieniem.

Zapytajcie Piotrka!

- Dlaczego mnie?

- dziwi się Piotrek.

- Bo jesteś najodważniejszy.

Zawsze cię słuchamy!

Mówisz nam, czy idziemy na łąkę, czy doopuszczonych domów.

Mówisz, gdzie będziemy się bawili.

I w comamy się bawić!

No, i jesteś z nas najstarszy.

139.

Justa rzuca szybkie spojrzenie na Piotrka, który gapię na mnie jak sroka w gnat, i odzywa się zdziwionym tonem:

- Przecież to ty wymyślasz najlepsze zabawy!

-Ja?!

- pytam.

- No, tak.

A nie?

-bąka Karol podnosem.

- Ktowymyślił Kosmiczne Wojny I grę w upiory na mokradłach?

I młyńskich Robinsonów?

I to, że stara restauracja jest Ulem z PendentEviR Przecież ty.

- Ale ja.

No, to były tylko takie pomysły!

Wszyscy przecież oglądaliśmy ten film na DVD u was w domu!

- Tak, ale nikt z nas nie wpadł na myśl, że by się potem w to bawić.

To była najfajniejsza zabawa wiosną.

- No, nie wiem - mruży Natałka, która wtedy najszybciej ze wszystkich została zombii długonie mogłanikogo dogonić.

-Nie gadaj - protestuje Justa.

- Wżyciu tak dobrze się nie bawiliśmy.

- Mówisz tak, bo byłaś Alice!

Gdybyś była zombi, wcale byś nie sikała z zachwyty.

-To była tylko zabawa!

- wykrzykuję na cały głos, aż stojąca przy kuchni Babka nerwowo ogląda się w naszą stronę.

-Dobra, powiedzmy, że powymyślałem wszyst-

kie te głupoty, chociaż wydaje mi się, że wymyślaliśmy je razem.

Ale teraz to już nie jest zabawa!

Skąd ja mogę wiedzieć, co mamy robić?

- Bo to ty jesteś najmądrzejszy.

Wiesz najwięcej - stwierdza Justa.

- Przeczytałaś prawie wszystkie książki w bibliotece, sama słyszałam, jak bibliotekarka mówiła o tym naszej pani.

No i piszesz zawsze najlepsze wypracowania.

- Ale.

Ale.

- Jąkam się bezradnie.

- Ty przecie żeż jesteś mądra.

- Jestem - stwierdza, wzruszając ramionami.

- Dużo wiem i dobrze się uczę.

Ale sam powiedziałaś kiedyś, że nie mam wyobraźni.

No, nie mam, fakt.

Nie umiałam się domyślić, co się dzieje w Młynach, inaczej tego nie rozumiem.

Dopiero kiedy ty wytłumaczyłaś mi całą sprawę z worteksem, zaczęło mi być ciężko.

- A Karol?

- pytam słabym głosem.

- Karol - mówi natychmiast Justa, zanim jej brat zdążył otworzyć buzię.

- Karol wyobraża sobie za dużo.

Zmyśla różne bzdury, a potem w nie wierzy.

W zeszłym tygodniu przeczytał w komiksie o jakimś człowieku ośmiornicy i był przekonany, że ten stwór wprowadził

się pod jego łóżko.

Darł się w nocy tak, że mama niemogła go uspokoić.

- Alety jesteś wredna!

wykrzykuje Karol z urazą.

Miałaś nie mówić!

-No to Piotrek - próbuję dalej szukać lepszego kandydata.

-Ja? Żartujesz.

Mam w szkole najgorsze oceny.

Byłem zagrożony z polaka na półrocze- wzruszaramionami.

- Dobrze wiesz, że gdyby nie ty, byłbym zwyczajnym łobuzem.

Ityle.

-Gdyby nie ja?

- A co?

Może nie?

Pomagasz mi w lekcjach, a jak wpadam na jakieś głupie pomysły, umiesz mi je wybić głowy.

Mama ciągle mi powtarza, jakie to szczęście dla mnie, że się kumplujemy.

Milczymy przez długą chwilę.

- Kiedy ty jesteś, to się mniej boję.

Tak jak teraz

- mówi cicho Natałka.

- Wszystko umiesz wytłumaczyć.

I opiekujesz się Mełą.

Chciałabym mieć takiego brata.

Spoglądam odruchowo na Mełę, która wpatruje się we mnie z powagą swoimi staro-młodymi oczami.

Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że on tak

o mnie myśla!

Moje oczy robią się dziwnie wilgotne, więc szybko mrugam parę razy powiekami.

- Ale przecież.

przecież.

- zająkuję się i zaczynam wyrzucać z siebie słowa: - Przecież ja wszystkiego się boję!

Jestem leniwy!

Byłem niedobry dla mamy i ciągle się kłóczę z Babką!

Często jestem zły na Mełę, że muszę się nią zajmować i nie mogę sobie biegać, gdzie mi się podoba!

Zazdroszczę wam różnych rzeczy!

Ja nie.

- Chcesz jeszcze herbaty, Iwo?

- woła Babka z nadkuchni.

- Zaraz ci dam.

I jedz.

Musisz być silny.

Muszę być silny.

Wzdycham ciężko i opuszczam ramiona.

miona.

- No, to co robimy?

- pyta Piotrek, jakby nie słyszał tego wszystkiego, co właśnie powiedziałem.

- Idziemy po Pawła.

Ale za chwilę - mówię przyciągam do siebie talerz jajecznicy.

Młyny nigdy nie wydawały mi się bardziej puste niż dziś.

Nie ma najmniejszego choćby wiatru.

W martwej ciszy spływają z nieba płatki śniegu wymieszane z drobinami popiołu.

Domy stoją ciemne i ciche - niesposób odróżnić tych, w których mieszkają ludzie,

od dawno opuszczonych.

Woddaliskrzypią osieskrzydeł Czarnego Młyna, przy nas - ośki kół wózka Meli.

- Skąd ten popiół?

- pyta Karol, strzepując drobnepłatkiz rękawa kurtki.

- Z pożaru - mówię.

- Z Czarnego Młyna.

- Przecież Czarny Młyn palił się ponad dziesięć lattemu!

Deszcz gougasił - zauważa Piotrek.

- Może nie ugasił wszystkiego.

Gdzieś głęboko podziemią, w fundamentach kombinatu ogień wciąż się tlił- mówi Karol.

- Tlił tlił, zarzył w najniżej położonych piwnicach, pełzał pod kamieniami, pod torfem.

O,matko.

-Tak?

-Justa spogląda na niego sceptycznie.

-I dlaczego akuratteraz zaczął się palić na całego?

- Nie wiem -wzrusza ramionami Karol.

- Może dlatego, że lato zrobiło się wyjątkowo gorące.

Amoże poprostu przyszedł jego czas.

- Zimąmama sypie popiół na śnieg na podwórku -odzywa się Natalka.

- Żeby nie byłoślisko.

- Może lepiej było zostawić ją wdomu?

- pyta cichoJusta, kiwającgłową w stronę siedzącej w wózkuMeli.

-Nie.

Powinna być z nami.

Myszę, że onawie więcej od nas.

W każdej chwili może coś powiedzieć.

Cośważnego.

Jak to o worteksie.

- Myślałem o tym - mówi Piotrek.

- Bo nibytenworteks towir, nie?

To znaczy, ramiona wiatraka sięobracają,poruszający wciągając powietrze.

Dlaczegowięc powietrze tutaj się nie rusza?

Czy nie powinnolecieć w stronę kombinatu?

Wiałobyprzecież, gdyby tobył wir, nie?

- Nie wiem - wzruszam ramionami.

,Możeto oko cyklonu -odzywa się Justa.

-Co?

- Oko cyklonu.

Kiedy powstaje cyklon, trąba powietrzna, w środku jest zupełnie spokojnie i powietrzestoi nieruchomo.

Było o tym w szkole.

- Myślisz,żeto jednak jakiś rodzaj trąbypowietrznej?

-zastanawiam się.

- Ale nie w pionie, tylko wpoziomie?

Może.

Docieramy doobejściaciotkiPawła.

Okna są ciemne,z komina nie snuje się dym.

U Pawłanie ma ganku, dosieni wchodzi się prosto z podwórka.

Pukamy.

- Nie ma go- nie wiadomo dlaczego szepczeKarol.

i Jego też wessało.

Piotrek chwyta za klamkę i otwiera drzwi.

Dziewczyny zostają na zewnątrz z Melką, a my trzej wchodzimy do środka.

Dom jest pusty.

Kiedy jesteśmy na piętrze,

" dobiega nas wołanie Justy:

„::: , - Chodźcie!

Jest tutaj!

Wypadamy na podwórko.

Justa z Natalką stoją przy drzwiach szopy, w której Paweł urządził swój warsztat gdzie gromadził swoje znaleziska.

Teraz szopa jest niemal pusta.

To znaczy na półkach pozostało mnóstwo różnych rupieci i narzędzi, ale zniknęły wszystkie urządzenia: wielki, przedpotopowy telewizor, wybebeszone radiodbiorniki, stary motor, który chłopak odkilku miesięcy naprawiał bez powodzenia.

Na środku, na dużej skrzynce narzędziowej siedzi Paweł.

Patrzy przed siebie szklistym wzrokiem, lekko przechylając bok głowy.

Dłonie opiera na kolanach.

Ma na sobie roboczą bluzę od dresu, dziurawą i poplamioną smarem.

- Paweł?

pytam przez ściśnięte gardło.

- Paweł, słyszysz mnie?

Długo niereaguje, ale w końcu bardzo powoli obraca twarz w moim kierunku, choć nadal mam wrażenie, że mnie wcale nie dostrzega.

- Przecież on zamarznie - mówi Justa i wchodzi do szopy.

- Uważaj!

woła Karol.

- On jest jakiś dziwny.

- Przecież to Paweł!

Pawła się będe bała?

- wzruszaramionami Justa.

Podnosi z kąta szopy stary kraciasty koc i zarzuca gonaramionaPawła.

- Nie powinieneś tu siedzieć - mówi.

- Jest bardzo zimno.

Chodź, pójdziemy do Iwa.

Jego babcia da ciśniadanie.

Pawełspogląda przez Justę i milczy.

- Nie możemy go tu zostawić- odzywa się cichoNatalka.

- Bosię rozchoruje.

Zobaczcie, jakie ma czerwone uszy.

- Paweł!

- mówię doniego głośno.

-Idziemy!

Słyszysz?

Idziemy do mnie!

Nadal nie reaguje, ale kiedy podchodzimy do niegoz Piotrkiem i chwytamy go pod łokcie, nie stawiaoporui pozwala się postawić na nogi.

Całaszczęście, bonawetod Piotrka jest wyższy prawie o głowę.

Nie dalibyśmyrady go nieść.

Ruszamy w stronę wyjścia.

Przez szerokootwarte drzwi widzestojący na środku podwórka wózek z Melą icoś mi się przypomina.

- Śrubokręty!
- mówię, przystając.
- Paweł, gdzie trzymasz śrubokręty?
 - A po co ci jego śrubokręty?
- pyta zdumionym głosem Karol.
 - Musimy je wziąć.
 - Dlaczego?
 - Melka kazała.
 - Kiedy?
 - Wczoraj.

Przedwczoraj.

Nie pamiętam!

Ale kazała.

Weź śrubokręty, jakoś tak powiedziała.

A kto manajwięcej śrubokrętów w Młynach?

Paweł.

Nikt już o nic więcej nie pyta.

Justa i Karol rozglądają się po półkach, przekładają nerwowo rozmaite rupiecie.

Karol niechętnie przewraca wysoki słój, z którego srebrną kaskadą sypią się na klepisko szopy setki nakrętek, śrubi śrubek.

Metaliczny hałas sprawia, że Paweł nachwilę wybudza się z transu i rozgląda nieco przytomniej szym spojrzeniem.

- Co się.
- pyta ochryple.
 - Śrubokręty!
- mówię.
- Gdzie masz śrubokręty?

Paweł powoli podnosi rękę i wskazuje potężny stół stolarski pod oknem.

Wzrok chłopaka znowu robi się
pusty.

-Na stole!

mówię do Justy, która stoi najbliżej.

Albo pod spodem, na półkach.

Po chwili Justa wyjmuję spod blatu dużą, płaską czerwoną walizkę
z narzędziami.

To najlepszy zestaw Pawła, pamiętam, jak kiedyś się nim przechwalał.

W środku jest kilkadziesiąt różnych śrubokrętów - od wielkich krzyżakowych, przez
płaskie, aż pomalutkie śrubokręciki zegarmistrzowskie.

Powoli wyprowadzamy Pawła z szopy.

Justa wkłada czerwoną walizeczkę do wózka Melki, a moja siostra poklepuje ją kilka
razy rączką z wyraźnym zadowoleniem.

Wracamy do domu, prowadząc ostrożnie Pawła, który porusza się jak w transie i co
chwilę potyka.

Błotnista, namoknięta roztopionym śniegiem droga zamieniła się w trzęsawisko, w
którym grzęzną nasze buty i koła wózka.

- Dlaczego on jest taki?

- pyta Piotrek, sapiąc głośno.

- Myślę, że słyszy ten dźwięk.

Tę muzykę, która ściągnęła do Czarnego Młyna wszystkich dorosłych poza Babką -
odpowiadam.

- Dlaczego w takim razie został?

- Może dlatego, że jest pomiędzy.

Nie jest już dzieckiem, ale nie jest jeszcze całkiem dorosły.

W domu sadzamy Pawła obok kuchni.

Babkanic niemówi, jakby nie dostrzegą, w jakim chłopak jest stanie, ale od razu zaczyna robić herbatę.

W największym ' garnku, jaki mamy, gotuję ziemniaki, w rondluobok
pyrkocze gulasz.

Babka zrobiła też surówkę z marchewki z jabłkiem i cukrem - całagórę.

Za dużo nawetjak dla nas wszystkich.

Ciekawe, co robi, gdy skończy nam się jedzenie.

W kuchni pachnie jednaktak smakowicie.

Jest ciepło i miło.

Na chwilę zapominam o Czarnym Młynie.

Przynosimy z Piotrkim wodę ze studni i więcej drewna.

Po drodze zabieram z komórki wszystkie świece, które mama trzyma tam w pudełku po butach.

Udaje nam się namówić Pawła, żeby zjadł trochę gulaszu, a potem prowadzimy go na górę, do mojego pokoju i kładziemy do łóżka.

Wpatrujesię w sufit pustym wzrokiem.

- Nic mu nie będzie - mówi Natalka.

- Prawda?

Nikt się nie odzywa.

Nic nie wiemy.

- Nie rozumiem tego - Justa kręci głową, gdy wracamy do kuchni.

- Przecież ktoś musiał coś zauważyć?

- Co zauważyć?

- No, choćby śnieg!

Na pewno widać go z autostrady!

Ludzie w autach mogą nie zauważać Młynów, gdy

150

przejeżdżają obok.

Mogą nie zwracać uwagi na nas.

Aleśniew lipcu?

I popiół syjący się z nieba?

Przecież to widać z drogi!

- Nie mam pojęcia - odzywam się, rozkładając bezradnie ręce.

- Może to jest tak, że kiedy jedziesz autostradą, masz w głowie tylko jej początek i koniec.

Patrzysz przed siebie, w stronę miejsca, do którego jedziesz, i nie rozglądasz się na boki.

Zresztą może z drogi nic nie widać?

Może łąki są takie jak zwykle, a Młyny to tylko biała, zamglona plama z boku, bez żadnego znaczenia.

To tylko miejsce, które się mijają, jadąc skądś dokądś.

Coś, co wypełnia nieważną przestrzeń.

- To już chyba za mądre jak dla mnie - mówi Piotrek i dodaje z lekką ironią, puszczając do mnie oko: - Profesorku.

- Tak jak w zupie?

- rzeczowym tonem pyta Justa.

- Co jak w zupie?

- pytam zdezorientowany.

- No, w normalnej zupie.

Na przykład w ogórkowej.

Są różne smaczne kawałki - ogórki, ziemniaki, mięso.

A pomiędzy nimi jest reszta, którą się połyka, czekając, aż lepszy kawałek wpadnie do łyżki.

Chodzi o to, że jesteśmy czymś pomiędzy ogórkiem, ziemniakiem a kawałkiem mięsa w zupie, tak?

- Tak jakby mamrocę pod nosem zbity z pantałyku.

-Ale zupa jest zupą właśnie dzięki temucemuś, między ogórkami, ziemniakami i mięsem.

Beztego byłaby.

.. Czymby była?

- Suchym plackiem?

- ryzykuje Natalka.

- Może - kiwa głową Justa.

-Co wybredzicie?

- pyta Karol, robiąc okrągłe oczy.

- Całkiem wam odbiło?

Babka zdążyła już pozmywać naczynia po obiedzie i pochować je w kredensie.

Zamiotła kuchnię, wytarła stół.

Przez cały dzień nie ruszyła się z domu nawet na krok.

Siedzi w fotelu pod martwym zegarem, który sto lat temu dostała w prezencie ślubnym, i czeka.

Na co?

Pewnie na kolację.

Czeka, aż znowu będzie mogła zająć się czymś bezpiecznym, czymś, na czym się zna, i nie myśleć o tym, co dzieje się w Młynach.

A my gadamy głupoty z tego samego powodu.

Gadamy o głupotach, gdy powinniśmy.

Na piętrze rozlega się jakiś łoskot i dźwięk tłuczonego szkła.

Zrywamy się na równe nogi, a Babka zaciska oczy.

- Paweł!

- wykrzykuje i biegnie do sieni, a za mną ruszają pozostali.

152

Przepychamy się na schodach i wpadamy do mojego pokoju.

Łóżko jest puste.

Przezwybite okno wpadają płatki śniegu i drobinki popiołu.

Ale na podłodze nie masz kła - jego kawałki wypadły na zewnątrz.

Okno zostało wybite od środka, taksamo jak drzewiczki klatek z królikami iściana przepompowni.

Dlaczego Paweł zrobił coś takiego?

Ale przecież to nie on.

To Czarny Młyn.

Może Paweł nie był doś dorosły, żeby od razu dać mu się porwać, ale w końcu uległ.

Czarny Młyn rośnie w siłę.

Musi rosnąć, skorowchłania w siebie te wszystkie rzeczy, przyciąga ludzi.

Przez wybite okno wyraźnie dobiegają sjękliwe zgrzyt obracających się ramion wiatraka.

Jeśli to właśnie ten dźwięk jest dla dorosłych niczym cudowna muzyka, która zaklina ich i wabi do siebie, na naszą pewność nie działa.

Przynajmniej na razie.

U mnie wywołuje tylko gęsią skórę na ramionach.

- Musimy tam iść, pokonać go i wszystkich uwolnić - mówię powoli.

- Jeśli tego nie zrobimy, w końcu sam przyjdzie po nas.

Porwie nas, a potem wchłonie Młyny, autostradę i kto wie, co jeszcze.

Może nawet cały świat.

- Tak - kiwa zapalczywie głową Piotrek.

- Pewnie tak - wzdycha Justa.

- Tyle tylko, że niemożemy.

153.

- Dlaczego?

- odwracam się do niej jak rażony prądem.

-Dlaczego nie?

Właśnie, że możemy!

Musimy!

- Wiem przecież - wzrusza ramionami Justa.

- Alenie damy rady.

Nie dotrzemy tam.

Widziałeś, jak wygląda droga we wsi?

Jedno wielkie bajoro.

A cały kawałmiędzy Młynami akombinatem jest zaorany, przygotowany do utwardzenia i wysypania żwirem.

Na pewno musiał zamienić się w bagno, skoro spadło tyle mokregośniegu.

Nie przejdziemy.

Niez wózkiem.

A już na pewno nie po ciemku.

Rzeczywiście, światła oknem z wolna ciemnieje.

- Nie musimy brać wózka - mówię cicho, choć przecież wiem, że bez Meli nie pójdziemy.

Nie mogę zostawić jej z Babką, która w każdej chwili może jednak dosłyszeć zew Czarnego Młyna izniknąć tak jak teraz Paweł.

Poza tym - tego jestem pewien- Mela musi być tam z nami.

Z Czarnym Młynem musimy zmierzyć się wszyscy razem, a ona wie o nim najwięcej.

Choć moja siostra jest mała, waży zbyt dużo, żebyśmy mogli nieść ją przez całą drogę, nawet na zmianę.

Musimy zabrać wózek.

- Tak czy siak- Piotrek odwraca się w stronę wyjścia - robi się ciemno i coraz ciemniej.

Musimy się przy-

gotowaći wszystkoobgadać.

Ale jutro.

Jutro będziemygotowi.

Jutro będziemy gotowi.

Czy nie to samo powiedziała dziś rano moja siostra?

Oczywiście!

Czuję jednak takwszechogarniające, nagłe zmęczenie, że jużnawet niemamsiły się dziwić.

- Śnieg nie zniknie do jutra i droga nie obeschnie- mówi Karol sceptycznie.

- Nawet jeśli wyruszymy o świcie, nie przedostaniemy sięprzez nią do wieczora.

Stoimy wwyżębionym pokoju, bezradnieszpoglądającna wybite okno.

Naszeoddechy zamieniają się w kłęby pary.

Zaczynają mnie szczypaćuszy, a kiedy wciążampowietrze donosa, czujęlekkie pieczenie w środku, zajęgo nasadą.

I nagle już wiem, dlaczego dopiero jutromoże nam się udać.

Schodzimy dokuchnii tam upewniam się, czy mamrację.

Na termometrze za oknem są minus trzy stopnie.

Chwył mróz, adorana temperatura na pewno spadnie jeszcze bardziej.

Droga nie wyschnie, ale błoto zamarznie nakamień.

Drogazamieni się w lodowy mostwiodący prościutko do samej bramy kombinatu.

Tak, jutro będziemygotowi.

155.

Śpimy razem w kuchni na kołdrach, kocach narzutach, które pozostawiliśmy z całego domu.

Wszyscy, to znaczy my, dzieci, bo oczywiście Babka śpi siebie.

Nie odezwała się ani słowem, kiedy układaliśmy legowiska wokół nagrzanej kuchni.

W ogóle zachowała się tak, jakby była nieobecna duchem.

Przed zaśnięciem zastanawiam się, czy to dlatego, że nie wie, co o tym wszystkim sądzić, czy też może dlatego, że usłyszała już wołanie Czarnego Młyna.

Pomyśle dochodzę do wniosku, że jest w szoku - jak ludzie w filmach, których spotykają różne katastrofy i dziwne, niespodziewane rzeczy, na przykład porwanie przez kosmitów, trzęsienie ziemi albo lewitacja.

Zresztą gdyby tu było trzęsienie ziemi, Babka pewnie prędzej wiedziałaby, jak sobie z nim poradzić.

Biadoliłaby i gderała, ale to by było coś, co się zdarza (choć nigdy

156

u nas), więc jest normalne.

Wiedziałyby, jak się zachować.

Krzyczałyby na wszystkich, że nie naprawiają dość szybko dziur w ścianach, ugotowałyby rosół nad ogniskiem rozpalonym między cegłami zburzonego domu, a potem powiedziałyby, że kiedyś takie rzeczy były niedo pomyślenia.

I że to wszystko wina Palikowej albo Michniewskiej.

Pokłóciłyby się z nimi, powrzeszczałyby na siebie i byłyby jak zawsze.

A teraz niema z kim się kłócić.

Do kogo ma mieć pretensje za śnieg i mróz w lipcu?

Zawymykające się z domu elektryczne urządzenia?

Co powiedzieć na zatrzymane w połowie ruchu wahadło zegara, na wypalone ruiny Czarnego Młyna, które wbrew wszelkiej logice po tylu latach zaczęły (żyć) działać?

Tonie jest normalne.

Nie da się tego zakrzyczeć ani zignorować.

Więc Babka wpadła w szok, to jasne.

Zanim się położyliśmy, przynieśliśmy z Piotrkowic drewna, żeby móc dokładać do kuchni w nocy.

Z niepokojem zauważyłem, że kupka drewna pod ścianą znacznie zmalała przez ten jeden dzień.

Co by było, gdybyśmy musieli palić w kuchni przez tydzień?

A potem przypomniałem sobie, że przecież jest mnóstwo drewnianych, niepotrzebnych rzeczy, które można

spalić, i odetchnąłem z ulgą.

A jeszcze później uświadomiłem sobie, że przecież to zupełnie bez znaczenia, bo jutro i tak idziemy walczyć z Czarnym Młynem.

Jeśli nam się uda, wszystko będzie jak przedtem.

A jeśli nie.

Cóż, wtedy brak opału nie będzie miał już znaczenia.

Budzę się rano pierwszy.

Ogień wygasł i w kuchni zrobiło się chłodno.

Spoglądam w okno, ale widzę tylko jasny, zamglony prostokąt.

Para, która osiadła naszybach, zamarzła, tworząc

skomplikowany, niezwykle piękny obraz wydzierganego z delikatnej koronki ogrodu.

Mróz się utrzymał, to dobrze.

Mela śpi tuż przy mnie, trzymając w objęciach swojego pluszowego krokodyla.

Kiedy na nią patrzę, otwiera oczy.

Mama mówi, że Melka zawsze budzi się równocześnie z nią, obojętne, czy dzwoni budzik, czy nie.

- Cześć mówię do niej cicho.

Uśmiecha się do mnie i mocniej obejmuje krokodyla.

- Która godzina?

- pytasz Justę, siadając na kocykach.

Jest potargana, jasne włosy sterczą jej na wszystkie strony.

Mimowolnie wrywa mi się krótki chichot, bo wygląda wyjątkowo śmiesznie.

;No co?

przytomnieje szybko.

- A skąd on ma wiedzieć, która godzina?

- odzywa się Karol z boku.

- Zegary nie działają.

Pochwili budzimy Piotrka i Natalkę, która broni się przed tymże wszystkich sił,

mamrocząc:

- Mamo, pięć minut.

Jeszcze pięć minut.

Nagle docierado niej, gdzie się znajduje, otwiera szerokooczy isiada na posłaniu.

- Która jest?

- pyta.

Wzruszam tylko ramionami.

Nigdy wcześniej niezwracałem uwagi na zegary, właściwie raczej mnie denerwowały niż pomagały.

Na nic nie starczało mi czasu, gdybyłpotrzebny, a miałem go za dużo, kiedy niebył.

"Wstawaj, już szósta!

", "Kładź się, już dziewiąta!

"albo "Dopiero jedenasta, a lekcje trwają do trzeciej", lub "Mama wraca o dziesiątej, a dopiero ósma".

Ponieważ zegarów jest wszędzie pełno dookoła i wszyscy bezprzerwy mówią ci, która godzina, czas jest czymśoczywistym.

A teraz czuję się jakby zawieszony wpróżni -nie mam pojęcia, która jest, ile mija minut międzyjednym czymś a drugim.

Równie dobrze możebyćsiódma rano, jak i dziesiąta.

Równie dobrze mogłemobudzićsię pięć minut temu, jak i dwadzieścia.

To niby

159.

nie ma znaczenia, ale jednak ma.

Ten brak możliwości mierzenia i policzenia upływających sekund ma w sobie coś groźnego, a nawet przerażającego.

Sprawia, że czuję się niepewny i zagubiony.

Nie potrafię dokładnie wyjaśnić tego wszystkiego, ale to czuję i wytrąca mnie to z równowagi.

- Kiedy nie można sprawdzić, która jest godzina, to trochę nie wiadomo, czy się jest, czy nie - stwierdza Justa.

- To okropne.

- Co ty gadasz?

- mówisz lekkim zachnięciem Piotrek, ale reaguje trochę za szybko, widać, że on też toczy.

Babka wstaje zaraz po nas.

Wchodzi do kuchni z złym wzrokiem łypie na rozłożone na podłodze kołdry.

- Ale bałagan!

Sprzątnij to, raz-raz.

Śniadanie zrobię.

Zwijamy kołdry i koce, Babka rozpala pod kuchnią, nastawia czajnik.

Kroi chleb, stawia na stole miseczkę z wodą, w której pływa masło.

Potem kroi drobno boczek i podsmaża go na patelni.

Rozbija jajka, wszystkie, jakie nam jeszcze zostały, i miesza szybko jajecznicę.

Po chwili smakowity, swojski zapach roznosi się w całej kuchni.

Łatwo byłoby pomyśleć, że to wszystko to tylko taka przygoda.

Coś jak święta, jakieś niezwykle,

160

dosyć rzadkie, ale spotykane i oczekiwane wydarzenie.

A jednak tak nie jest.

- Co powinniśmy zabrać?

- pyta Justa, smarując grubo masłem kromkę chleba.

- Śrubokręty - mówię, bo tego jestem pewien, wiem to od Meli.

- Co jeszcze?

- Noże - proponuje Karol.

- I siekiere.

- Nie mamy siekiery - mówię.

- To znaczy kiedyś była, ale nie wiem, gdzie tata ją schował.

Nie wolno mi jej dotykać.

- Ciepłe kurtki - podrzuciła Natałka.

- I czapki i szaliki.

I rękawiczki.

- Latarki - to pomysł Piotrka, całkiem dobry.

- Piłę łańcuchową!

- Wykrzykuje Karol.

- A u kogo ty widziałeś w Młynach piłę łańcuchową?

- z politowaniem pyta Justa i proponuje: - Kanapki i termos z gorącą herbatą.

Możemy wziąć z domu mamy taki duży, chiński, w kwiaty.

Ona zawsze jest taka praktyczna, a ja o tym nie pomyślałem.

Kiwam szybko głową na zgodę.

- Koce - to Piotrek.

- Zapalki - Natałka.

161.

- Karabin!

- Karol.

- Wiadro i łyżkę - odzywa się spokojnie Melka.

-I granaty!

-wykrzykuje Karol, nie zwracając na nią uwagi.

Spoglądamy na Melę w milczeniu.

- No co?

- mówi Karol.

-Granaty by się przydały!

Ktoś musieć w domu.

Może Palikowa?

W końcu jest sołtysem.

Sołtys to władza, więc musi mieć granaty i karabin, żeby wszyscy się słuchali.

Nikt z nas nie zwraca na Karola uwagi.

- Wiadro?

- pytam Melki.

-Jak to wiadro?

Nasz stare ocynkowane wiadro?

I łyżkę?

Taką do zupy?

Melka milczy, przytrzymując jedną ręką swojego żółtego krokodyla tuż pod brodą.

- Więc bierzemy wiadro i łyżkę "- odzywa się pochwili Piotrek.

-Granaty byłyby lepsze - mruczy pod nosem niezadowolony Karol.

Po śniadaniu zaczynamy się pakować.

Zwijamy koce, Justa z Karolem przynoszą z domu termos i koszyk najedzenie, a Piotrek trzy latarki - dwie od siebie z domu, a trzecią od Natalki.

Ja mam jeszcze dwie, więc razem jest pięć po jednej dla każdego.

Mela nie ma

latarki, ale chyba nie -wiedziałyby nawet, jak je użyć, chociaż mogę nie mieć racji.

Pięć laterek wystarczy.

Wszystko układamy w wózku obok miejsca dla Meli razem z czerwoną walizką pełną śrubokrętów, wiadrem, łyżką oraz nożem do chleba, bo jest największy, jaki mamy w domu, i tłuczkiem do schabowych.

Zabranie dwóch ostatnich przedmiotów jest pomysłem Karola.

Po krótkim namyśle zdejmuję z pawlacza starą torbę podróżną mamy i przekładam do niej wszystkie mniejsze przedmioty, żeby nie skakały po wózku podczas jazdy.

Staję na środku kuchni i się rozglądam.

Melka, ubrana w niebieską puchówkę, siedzi z krokodylem pod pachą w foteliku przy stole gotowa do wyjścia.

To by było na tyle.

- Babcia, idziemy do Czarnego Młyna - mówię do Babki głośno, kiedy jesteśmy już gotowi.

- Idziemy po mamę, państwa Palików, Michniewską, Pawła i innych.

Idziemy zrobić porządek, a babcia niech robi obiad czy co tam sobie babcia chce.

Wrócimy, jak będzie powszystkim.

Babka milczy przez długą chwilę, ale jednak jej charakter jest silniejszy od szoku.

Nadyma się, okulary jej błyskają i mówi:

- Żebyś ja ci nie zrobiła obiadu!

Już jaci obiad zrobię!

Będzie mi tu mówił, co ja mam robić!

Czekajno, smarku jeden, wszystko powtórzę, matka ci da!

O niczym innym nie marzę, jak tylko o tym, żeby dostać burę od mamy.

Niech tylko wróci, potem możesz sobie namnie krzyczeć, ile chce.

Biorę głęboki oddech, podchodzę do Babki, mocno obejmuję ją w pasie i przytulam się nachwilę.

Babka to Babka.

Nigdyż nią człowiek nie może dojść do ładu i składu, a najedno dobre słowo ma dziesięć złych.

Ale taka jest, odkąd pamiętam, więc kiedy teraz wydziera się na mnie z rękami opartymi na biodrach, jest właśnie taka, jaka powinna być.

A mnie od razu robi się trochę różniej, bo jak widać - nie wszystko się odmieniło.

- No, no, no.

Będzie tego - mruczy Babka, ale nagle, zupełnie niespodziewanie głaszcze mnie po głowie.

Szybko jednak cofa rękę i uwalnia się z moich objęć.

Obserwuję ją jeszcze przez chwilę, jak na chybił trafił przestawia garnki na kuchni.

Ma przy tym taką minę, jakby niewiem, jakie by było ważne to, co właśnie robi.

Wreszcie podchodzę do Melki i biorę ją na rękę.

Babka patrzy na nas.

Już mam ruszyć w kierunku drzwi, gdy nagle moja siostra odwraca się w stronę Babki i mówi najgłośniej jak umie:

- Na belkach!

Tylko tyle.

Co na belkach?

Na jakich belkach?

Informacja jest wyraźnie przeznaczona dla Babki, która nie daje po sobie poznać, czyją zrozumiała.

Nie wiem nawet, czyją usłyszała.

Wychodzimy z ciemnej sieni na podwórko zasypane chrzęszczącym pod butami śniegiem.

Przychodzi mi dogłowy, że może dobrze byłoby zabrać z nami Karmela, choć w razie czego marny byłby z niego obrońca, bo dowszystkich się łasi i macha ogonem.

Dlatego mama nazwała go Karmel - bo jest taki słodki i miły.

Karmel jednak siedzi głęboko w swojej budzie i nie wychodzi, gdy go do siebie wołam.

Zaglądam do środka i głaszczę go, a on tylko liże mnie po dłoni.

Babka na pewno o niego zadba.

Chwilę później razem z Melą usadowioną między pakunkami w wózku wyjeżdżamy przez bramę na drogę, która przez noc zamieniła się w połażowaną, twardą jak beton, lodową rzekę.

Z nieba z rzadka spadają pojedyncze drobiny popiołu, śnieg przestał padać.

Po obu stronach drogi ciągną się śnieżne pola, ale już w odległości kilkunastu metrów od nas sypią się z góry białe płatki.

Zupełnie jakbyśmy szli

ogromnym śnieżnym tunelem między murami z zamieci.

Wysoko w górze widać pas błękitnego nieba- szerszy za nami i zwężający się coraz bardziej w kierunku kombinatu.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego- odzywa się Natalka.

Obciążony wózek ślizga się po nierównym lodzie.

Trudno nim sterować, tym bardziej że niełatwo nam utrzymać równowagę.

Karol próbuje poruszać się posuwistym, łyżwiarskim ruchem, ale niemal natychmiast potyka się o jakiejś wystającej, zamrożonej skibie błota i rozciąga jak długi.

- W ten sposób będziemy szli do jutra - mówi ponurym głosem, ale niksię nie odzywa.

Jęśliwy dźwięk skrzypienia obracających się skrzydeł Czarnego Młyna niesie się w powietrzu, chwilami narasta i staje się tak wysoki, że prawie trudno go usłyszeć.

Wwierca się w uszy i przenika mnie na wskroś.

Mam wrażenie, że gdybym zaczął wsłuchiwać się w niego uważnie, rozbolełaby mnie głowa.

Mela, opatulona po czubek głowy w sweter, bluzę z kapturem i żółtą puchową kurtkę, siedzi między ogromnym termosem stojącym w wiadrze, koszem z ka-

166

napkami i starą, maminą torbą podróżną ze skaju.

Z zadartą głową patrzy się w skrawek nieba.

Oglądam się za siebie w stronę Młynów - choć mozolnie i z trudem, to jednak poruszamy się do przodu, bo ostatnie domy wsi są już daleko za nami.

- Prawie połowa drogi - mówię.

- Ojej - wzdycha Natalka, której wyraźnie najmniej nas wszystkich zależy, żeby szybko dotrzeć do celu.

- Niemusiśz wchodzić z nami do środka - odzywa się do niej Piotrek.

- Poczekasz z Melą i popilnujecie wózek przy bramie.

Natalka milczy przedłuższą chwilę, potrząsa głową i mówi:

- Tam jest moja mama.

I tata też.

- Czujecie?

- pyta Justa, przystając i spoglądając w dół na zamarzną drogę.

- Co?

- pyta Karol.

Justa nie odpowiada.

Kuca opiera na lodzie rękę w czerwonej wełnianej rękawiczce z jednym palcem.

Zatrzymujemy się wszyscy.

Skupiony naniesterywnym, wyciekającym się z rąk wózku nie zwróciłem nato uwagi, ale teraz słyszę.

I czuję.

Niskie, głębokie dudnienie, niczym jakieś łomotanie ogromnego, chorego serca

167.

przebijają się przez zawroty głowy.

Gdy stoję bez ruchu, czuję stopami drżenie ziemi - zupełnie jakbym stał na nieopodal torów, po których pędzi nieskończone długi pociąg.

- Coto?

- pyta przerażona Natałka.

- Nie wiem - odpowiada Justa.

- Jakaś maszyna?

- Maszyna pracuje równo - mówię.

- A to dudnienie jest nieregularne.

Idziemy.

Po kilku, kilkunastu, a może kilkudziesięciu minutach mijamy przepompownię.

Przed nami widać drzewa rosnące dookoła kombinatu.

Wyglądają niesamowicie, bo śnieg zamienił je w gigantyczne, białe grzyby.

Zastanawiam się dlaczego, bo drzewa zimą wyglądają zupełnie inaczej.

Przecież nieraz widziałem ich czarne, nagie, ośnieżone konary odcinające się od zimowego nieba.

Racja, nagie!

Drzewa zimą nie mają liści!

A teraz jest lipiec i nawet pomimo nagłego mrozu liście jeszcze nie opadły, zatrzymując cały śnieg, który na nie spadł.

Wpatruję się w niej jak urzeczony, nie patrząc pod nogi, gdy nagle Piotrek przystaje.

- A to co nowu?

- pyta.

- Co?

- spoglądam na niego, a potem przenoszę wzrok tam, gdzie patrzy, i marszczę brwi.

168

Na drodze leżą ciemne, grube, poskręcane liny.

Wiją się po nawierzchni, skręcają w prawo, odcinają od zaśnieżonych łąk za rowem i dalej znikają w białej zamieci.

Przezłamek sekundy wydaje mi się, że to korzenie drzew, które w jakiś sposób wyrwały się pod ziemi, ale potem spoglądam w górę i dostrzegam majaczące w zadymce strzeliste, ciemne kształty - wysokie kratownice, jakieś słupy.

Zaraz, przecież to słupy linii wysokiego napięcia!

A to, co wije się drogą łąkami w ich stronę, to.

-Kable -mówię, przelękając ślinę.

- Dlatego niema prądu.

Czarny Młyn kradnie naszą elektryczność.

Podchodzimy bliżej, powoli i ostrożnie, przyglądając się leżącym na ziemi poskręcanym linom.

Są tu zarówno grube przewody w czarnych plastikowych osłonach, jakie zazwyczaj biegną od słupów do domów, jak i zwykłe kable i kabelki od lamp, żelazek czy odkurzaczy.

W niektórych miejscach izolacja jest stopiona, na boki sterczą niepotrzebne wtyczki do gniazdek.

Nagie, miedziane druty powiązane są w supły.

Wiązki kabli muszą być bardzo gorące, w niektórych miejscach sypią się z nich niebieskie, trzaskające iskry.

Wzdłuż kabli ziemia nie jest zamarznięta i unoszą się z niej delikatne smużki parycy dymu.

W powietrzu czuć swąd spalonego plastiku.

- Po co mu tyle prądu?

pyta Justa.

- Niewiem - wżruszam ramionami.

- Wózek nie przejedzie - stwierdza Piotrek.

- Musimy go przenieść.

Napróbę chwytamy wszyscy za spód platformy, ale jest dla nas zbyt ciężka. Jednak gdy Justa bierze Melę naręce, a Natalka wyjmuje walizeczkę ze śrubokrętami, torbę skajową i wiadro z termosem, we trzech z Piotrkami Karolem jesteśmy w stanie podnieść wózek.

Justa idzie pierwsza, bardzo ostrożnie stawiając stopy między wiązkami kabli, zania rusza objuczona Natalka.

Gdy dziewczyny są po drugiej stronie płataniny, idziemy w ich ślady.

Pierwszy idzie Piotrek, trzymając przód wózka, a ja i Karol podtrzymujemy platformę z boków.

Wcześniej zdarzało mi się na chwilę unieść ten wózek, ale nigdy nie pomyślałem, że jest aż tak ciężki, bo przecież nie musiałem gonosić.

Czuję, jak z wysiłku pot spływa mi po plecach, ale zaciskam zęby i z pochyloną głową wypatruję pod nogami bezpiecznych miejsc, w których można postawić stopę.

Jeden krok, drugi.

Potem trzeci, trochę dłuższy i.

Nagle Karol krzyczy przeraźliwie, wózek przechyla się w jego stronę, przez ułamek sekundy próbuję go utrzymać, ale nie daję rady - platforma wali się

170

na ziemię, prosto między kable.

Metalowa siatka boku uderza w wiązkę przewodów, tryska nosp iskier.

Piotrek w ostatniej chwili przytomnie puszcza wózek i długimi susami sady przed siebie w stronę dziewczyn.

Skaczę zanim.

W powietrzu rozchodzi się swąd spalenizny.

- Karol!

- Justa krzyczy głośno.

Zatrzymuję się za kablami i oglądam w stronę Karola.

Z białą jak śnieg twarzą, szeroko otwartymi oczami patrzy na nas w milczeniu.

Stoi jak słup soli, przy wózku, w bardzo szerokim rozkroku.

Obok niego trzaskają niebieskie iskry i rozchodzi się czarny dym.

- Karol!

- krzyczy Justa.

- Karol!

Czy..

Nie, to niemożliwe!

- myślę w popłochu, zakrywając usta dłonią.

Justa z Melką w objęciach robi gwałtowny krok do przodu.

Zanim udaje mi się o tym pomyśleć, łapię ją odruchowo za kurtkę z całej siły i ciągnę do tyłu.

- Karolku!

- zawodzi Justa.

Nagle Karol głęboko wciąga powietrze, mruga kilkakrotnie, oblizuje wargi i mówi:

- Przestań się wydzierać.

Nic mi nie jest.

- Braciszku!

Karolku!

- drze się dalej Justa, ściskając z całej siły Melkę.

171.

- Uspokój się!

- odkrzykuje Karol.

-Mówię, że nicmi nie jest.

Justa milknie i mrugając, wpatruje się w niego przez kilka sekund.

Błyskawicznie dochodzi do siebie i zły mgłosem mówi:

- To czego się wygłupiasz?

-Niewygłupiam się - odpowiada Karol.

- Nie mogę się ruszyć.

-Jak nie możesz?

- Nie mogę!

Jestem prawie przedarty na pół!

- Co tygadasz?

-Justa zaczyna być naprawdę wściekła.

- Chodź tu w tej chwili!

Jaki przedarty na pół?

- Może dla ciebie zrobienie szpagatu nad kablami prądem nie jest niczym nadzwyczajnym.

- zaczyna powoli mówić Karol, nabiera tchu i krzyczy: - Ale dla mnie jest!

Nie umiem tak szeroko rozstawić nóg sam przed siebie, a potem pójść do przodu jakby nigdy nic!

Napewno coś mi pękło w środku, czuję to!

Jeżeli teraz się ruszę, wpadnę w to kłębowisko.

Pomóżcie mi, czego tak stoicie?

Piotrek rusza pierwszy.

Ostrożnie podchodzi do Karola, podaje mu rękę i wyciąga z płataniny przewodów.

Po chwili są obok nas.

Karol wyraźnie kuleje.

172

-To było najstraszliwsze przeżycie w moim życiu-oświadczam.

- Gorsze niż wybuch bomby z neutronów w czterdziestym odcinku Fiaska Gordona.

- Przecież ty jesteś ranny!

- wykrzykuje Natalka, przyglądając się nodze Karola.

Rzeczywiście.

W nogawce dżinsów, z boku łydki masporą, wypaloną dziurę, przez którą widać naga skórę z grubą, czerwoną pręgą oparzenia.

- Co?

- Karol z niedowierzaniem spogląda w dół na swoją nogę.

Znowu robi się na twarzy biały jak papier, trzęsącym się głosem wyjąkuje: - Omatko! Jestem.

Jestem ranny.

Chwieje się lekko, jego źrenice umykają ku górze, widać, że zaraz straci równowagę.

Justa, przytrzymując nabiodrze Melę, błyskawicznie zgarnia z pobocza potężną pacułę śniegu i celnym gestem rzuca mu ją w twarz.

- Zwariowałaś?

- wykrzykuje Karol, zgarniając śnieg z policzków.

Rumieńce wracają mu natychmiast.

- Nic ci nie będzie - mówi zimnym głosem Justa.

- Nie histeryzuj.

Iwo, weź ode mnie Melkę, bo mi zaraz plecy pękają.

Ona jest strasznie ciężka.

173.

Biorę na ręce moją siostrę, ajusta klęka obok Karolai uważnie ogląda czerwoną pręgę na jego nodze.

Karol pojękuje cicho.

- Zostałem ranny - mamrocze.

- Moja noga.

Aa, jak booooooooli.

- Tylko małe oparzenie.

Nie bój się, nie umrzesz od tego - Justa zgarnia więcej śniegu przykładając dodziury w nogawce.

Karol wydziera się jak opętany, gdy zimny śnieg dotyka skóry.

- Ale brat mi się trafił - kręci głową Justa.

- Powinniśmy byli wziąć apteczkę.

Dlaczego o tym nie pomyślałam?

Piotrek wpatruje się w dymiący wózek wbity w płataninę kabli.

Jedna z opon już się pali, tworząc kłęby czarnego, gęstego dymu, druga też w tym momencie stanie w ogniu.

- No to po wózku - mówi Piotrek.

- Ataki był fajny.

- Trudno - odpowiadam, poprawiając Melkę w objęciach.

- Wykombinujemy drugi.

Idziemy?

Piotrek odwraca się do nas, odbiera od Natalki torbę walizeczkę, a potem kiwa głową.

Przed nami otwiera się długina kilkasetmetrowy jazd do Czarnego Młyna.

Przypomina wąwóz między

zasypanymi śniegiem drzewami.

Napoboczach wiją się poziemi splecione wiązki kabli.

Na drodze leży więcej śniegu, bo dojazd do kombinatu nie został zaorany przez maszyny drogowe, nawierzchnia nie zmieniła się więc w błoto i nie wchłonęła

wilgoci.

Gdy ruszamy przed siebie, okazuje się, że tędy trudniej jest iść.

Głęboką na kilkanaście centymetrów warstwę śniegu pokrywa lodowa skorupa, która zapada się pod buty przy każdym kroku.

Nikt nic nie mówi, bo nie mamy na to siły.

Mróz szczytnie wpoliczki.

Przypominają mi się wikingowie.

Chyba dlatego, że tak samo jak oni wędrujemy przez śniegi i mrozy.

Może nie jest tak, jak myślałem, że wikingowie wyruszali ze swoich grodów dlatego, że im się tam nudziło i chcieli się rozzerwać.

Nieprzeprowadzali się przez góry, żeby kogoś dręczyć i podbijać z czystego okrucieństwa.

Może szli tak jak my - żeby ocalić siebie i swoje rodziny, które inaczej pozamarzałyby i poginęły z głodu w tym dziwnym kraju, w którym ciepło jest tylko przez kilka tygodni w roku, a noce są czasami dwa razy dłuższe od dni.

I być może serca wikingów wcale nie były zamrożone na kość, tylko gorące.

Gorące jak piec.

Wyruszali, choć łatwiej byłoby im pozostać w ciepłych domach, niż

skazywać się na niewygodny podróżowanie przez mroźne góry czy pokryte lodową krawędź morza.

Ale te gorące serca dawały im siłę i zagrzewały do walki o przetrwanie.

My też jesteśmy wikingami.

A jeśli i mój tata stał się wikingiem, to dobrze.

Bo na pewno do nas wróci, wikingowie zawsze wracali do swoich domów, a jeśli chcieli osiedlić się gdzieś indziej - zabierali ze sobą rodziny.

Ciężko sapiąc, zbliżamy się mozolnie do wyważonej zawiasów bramy dawnej spłodzielni.

Widzisz coś?

- pytasz Piotrek, gdy podbiegamyszyleni do bramy.

Karol z dziewczynami został kilkanaście metrów od ogrodzenia pod wielkim drzewem, pod którego koroną utworzyła się niewielka, zaciszna śniegowa grotka.

Idealne miejsce na kryjówkę.

- Nie - odszeptuję, rozglądając się uważnie pod dziedzińcu kombinatu.

Oczywiście widzę mnóstwo rzeczy, ale przecież wiadomo, że Piotrkowi chodzi o to, czy dostrzegam coś dziwnego.

Coś, co by się ruszało.

Coś lub kogoś.

Ale jedyne, co porusza się w zasięgu wzroku, to ramiona Czarnego Młyna.

Za płotem kombinatu leży znacznie mniej śniegu niż na zewnątrz, właściwie widać go tylko w kilku miejscach.

W zagłębieniach terenu połyskują cieknie kałuże.

Prawdopodobnie jest tam cieplej niż tu.

Ogrodzony teren dawnej spółdzielni składa się z trzech kręgów.

Pierwszy, najbliższy bramy, jest najmniej zawałony gruzem, z którego sterczy kilka kikutów pni spalonych drzew.

Tu kiedyś był parkingi trawniki.

Następna strefa wygląda bardziej niebezpiecznie - dawniej stały tam magazyny i jakieś niskie budynki.

Widzę ledwie rozpoznawalne w gruzowisku zarysy ramp dostawczych i fragmenty wciąż stojących murów.

Te ocalałe kawałki nie są jednak wyższe ode mnie czy od Piotrka.

Teren najezony jest powyginanymi prętami zbrojeniowymi i ostrymi kawałkami blach, które pokrywały zapewne dachy magazynów.

Trzecia strefa jest najgorsza.

Kiedyś stały tam przylegające do wiatraków budynki fabryki, z których nie pozostał kamień na kamieniu.

Osmalone pożarem gruzy wyglądają z tej odległości jak pagórki i rozwalone grobowce.

- Tam będzie najtrudniej - szepczę do Piotrka.

- Wiem - odszeptuje.

- Może nas przysypać lawina cegieł.

- Nie tylko.

Najbardziej niebezpieczne są piwnice.

Podobno pod fabryką były wielkie podziemia, z których część ocalała.

Gdy popożarze specjalna ekipa wybrała się sprawdzić stan ruin, pod strażakami w kilku miejscach

zarwał się grunt, bo runęły nadwyreżone pożarem piwniczne stropy.

Nikomiu na szczęście nic się nie stało, ale inspektorów natychmiast wycofano i ogłoszono całkowity zakaz wchodzenia na teren zakładu.

Rodzice mimowoli.

I mama, i tata mieli bardzo poważne miny, gdy opowiadaliśmy o tych piwnicach,

bo one stanowią największe zagrożenie na tym terenie - gdyby któreś z nas, bawiąc się w ruinach, wpadło przez dziurę w stropie do jednej z nich, nikt by nam nie pomógł.

Nikt nawet pewnie nieusłyszałby naszego wołania, bo piwnice fabryki mają kilka poziomów.

Dlatego pod żadnym pozorem niewolno nam było wchodzić do kombinatu.

Teraz jednak to niepiwnice są najgroźniejsze w kombinacie.

Teraz najgroźniejszy jest Czarny Młyn.

Specjalnie omijam go wzrokiem, rozglądając się po terenie, wreszcie jednak muszę się przyjrzeć budowli, ku której przez gruzowisko biegną wiązki poskręcanych przewodów.

Biorę głęboki oddech i patrzę prosto na niego.

- O, matko - szepczę przerażony.

- To przecież niemożliwe.

- Urósł - stwierdza Piotrek spokojnie.

- I ma większe skrzydła.

179.

Przedtem były to tylko osmalone, zniekształcone żarem kikuty, ale teraz są prawie dwa razy dłuższe - ichnajeżone kawałami blach końce przy każdym obrocie ocierają się o gruzy u podstawy wiatraka.

Ale to nie wszystko - w miejscu, w którym przedtem był dziura po odłamanym, szóstym ramieniu, teraz wyrasta nowe.

Jest krótsze od pozostałych i wygląda na sklecone z przypadkowo dobranych kawałków stali, niemniej jest

A przedtem gonię było.

- W jaki sposób ktoś dorobił brakujące ramię, skoro wiatrak jest w ciągłym ruchu i wciąż się obraca?

zastanawiam się głośno.

- Może na jakiś czas skrzydła się zatrzymały.

Na przykład w nocy - szepcze Piotrek.

- Zresztą to nieważne.

Popatrz, jak wyglądają mury!

Są zupełnie inne niż wtedy,

kiedy byliśmy tu ostatnio.

Rzeczywiście.

Smolista czerwono połyskuje chorobliwie

jak..

- Wyglądają te obrzydliwe, długie ślimaki bez skorupki - mówię z dreszczem odrazy.

- Wiesz, te, które

czasami znajdowaliśmy na mokradłach.

- Fakt.

Ohyda - stwierdza Piotrek i dodaje: - W środku się świeci.

Przyglądam się uważnie małym okienkom.

Bije z nich czerwona poświata.

Taki sam blask padał otworu u podstawy budynku.

Nie wiem, czy kiedyśbyło to wejście do środka, czy może jest tylko wyrwawścianie, która powstała podczas pożaru.

Wydaje mi się, że w głębi otworu coś się porusza, ale postrzępione skrzydła wiatraka co chwilego przesłaniają.

Będziemy musieli skakać- szepczę do Piotrka - żeby wejść do środka.

Trzeba będzie poczekać na odpowiedni moment i przemykać się pojedynczo w przerwach między ramionami.

To może być bardzo niebezpieczne.

Mrużę oczy, próbując dostrzec przez to wejście coś, co -jestem pewien - przed chwilą poruszyło się w młynie.

Unoszący się w powietrzu dym sprawia jednak, że oczy zaczynają mnie piec i wypełniają się łzami.

Odklejam się z Piotrkiem od bramy i pochyleni wracamy na palcach dokryjówki pod drzewem.

Naczworakach wślizgujemy się do środka.

Wewnątrz jest miło i przytulnie.

I ciepło.

Nie wiem, jak to możliwe, skoro ściany są ze śniegu.

Dziewczyny rozłożyły na ziemi koc i posadziły na nim Mełę, która opiera się plecami o potężny pień drzewa.

Justa bez słowa podaje

nam odwinięte z papieru kanapki i odkręca korek termosu z herbatą.

Piję gorący, słodki płyn i spoglądam w górę, między konary przysypanego śniegiem drzewa.

Wygląda to zupełnie nierealnie.

Śnieżna pokrywa przepuszcza nikłe, miękkie światło dnia.

Gdybym wspiał się na górę, mógłbym znaleźć wygodne miejsce w rozwidleniu gałęzi, zwinąć się tam w kłębek i zasnąć.

- No i?

- pyta Justa, starannie zakręcając termos.

- Co tam jest?

- Nie wiemy - kręcę głową.

Opowiadam otym, co widzieliśmy.

Rysuję patykami przybliżony plan terenu, na którym zaznaczam poszczególne strefy kombinatu.

- Najłatwiej będzie nam przejść przez pierwszą - mówię.

- Potem ktoś musi iść przodem i wybierać drogę, bo w drugiej jest mnóstwo gruzu i ostrych rzeczy.

- Ja - rzuca krótko Piotrek.

Wszyscy tylko kiwamy głowami nazgodę, bo oczywiście.

- Trzecia część jest najbardziej niebezpieczna.

Szkoda, że nie mamy jakiegoś sznura, bo byśmy się wszyscy z sobą powiązali.

To tam zaczynają się piwnice, poza tym sterty gruzu są bardzo wysokie i chwiejne.

Ale jeśli bę

dziemy się trzymali razem i będziemy bardzo ostrożni, powinno nam się udać i dotrzemy do Czarnego Młyna.

Potem tylko przemkniemy między ramionami, no i.

I z głowy - kończę niezręcznie.

Z głowy?

Wtedy się zacznie najgorsze, a my nawet nie mamy pojęcia, co czeka nas w środku.

Dowiemy się tego dopiero, gdy dotrzemy na miejsce.

Ale tym będę się martwić potem.

- Można by pociąć koc na pasy - odzywa się Karol - i związać końce ze sobą.

Mielibyśmy linę.

- A czym jejpotniesz?

- pytam.

- Nożem do chleba.

-Dobrze- mówię, chociaż to ulubiony koc mojej mamy i pewnie będzie zła, że go zniszczyliśmy.

Karol mozolnie drze i tnie koc na wąskie paski, a my

rozdzielamy ekwipunek.

Każdy dostaje po latarce.

Śrubokręty bierze Justa.

Karol koniecznie chce mieć przysobie tłuczek doschabowych, więc Piotrek dostaje nóż do chleba i chowa za pazuchą łyżkę do zupy.

Ja mamnieść Mełę, do tego potrzebuję obu rąk.

- Aja?

- pyta Natalka drżącym głosem.

- Ty.

- zaczynam mówić, zastanawiając się szybko.

- Ty weźmiesz termos i kanapki.

- Zostały nam tylko trzy - wtrąca się Justa.

- Najlepiej zjedźmy je od razu.

- Wy będziecie mieli narzędzia i broń, a ja tylko termos?

- pyta Natalka z nieszczęśliwą miną.

Coby jej przyszedł tłuczka albo noża?

Przecież onasie wszystko boi, jeśli coś się znacznie dzieje, pierwszą się rozpląca.

Odganiamszybko te myśli, bodochodzę downiosku, że jestem niesprawiedliwy.

Może i Natalka jest z nas najodważniejsza, ale sama chciała tu przyjść i ratować rodziców.

Nikt jej nie zmuszał.

- Weźmiesz wiadro!

- wpadam na pomysł.

-Pamiętasz, co powiedziała Mela?

Wiadro jest bardzo ważne.

Natalka rozchmurza się nieco, choć z powątpiewaniem spogląda na poobijane, szare wiadro.

Nie wiem, ile czasu zajmują nam te przygotowania.

Chyba dość długo, ale i tak wydaje mi się, że jesteście gotowi do wyjścia zbyt szybko.

Najdłużej trwa pocięcie koca i powiązanie pasków.

Lina, która powstaje w ten sposób, jest trochę za krótka, abyśmy mogli wszyscy się ze sobą powiązać, jednak jeśli każdy będzie się jej tylko trzymał, wystarczy.

Karol z dumną miną obwiązuje się lina w pasie i chowa ją pod kurtkę.

- Dobra - mówi Piotrek.

Ruszamy.

Jedno po drugim wymykamy się kryjówki, a potem zmierzamy do bramy kombinatu.

Pierwszy idzie Piotrek, potem Justa, ja z Melą na rękach, a za mną Natalka i na końcu Karol.

Gdy przekraczamy bramę kombinatu, mam wrażenie, że głębokie dudnienie dobiegające z wnętrza młyna przybiera na sile, ale może tylko tak mi się wydaje.

Powoli, uważnie spoglądając pod nogi i rozglądając się wokół, idziemy gęsiego przez pierwszy krąg w kierunku ciemnej budowli.

Nie udaje nam się przejść nawet dwudziestu metrów, gdy nagle pomiędzy kawałków cegieł i tynku wyskakuje na nas ze zgrzytaniem piskiem suszarka do włosów mojej mamy.

- Uwaga - krzyczy Piotrek z całej siły kopie urządzenie.

Pomarańczowy przedmiot szybuje w powietrzu, upada między kamienie i znów rusza w naszym kierunku.

W tej samej chwili z prawej strony, zza zardzewiałej, wgniecionej beczki wyskakuje.

-Moje karaoke.

- mówi Justa z bezbrzeżnym zdumieniem, gapiąc się na przedmiot, który wygrywając jakąś dyskotekową melodię, sunie prosto w jej stronę.

Dopiero teraz widzę, że zarówno suszarka, jak i karaoke nie są wcale takie same jak przedtem.

Z otworów wywierconych w obudowach wystają imostre kawałki drutów, a niebieski mikrofon połączony kablem z magnetofonikiem jest gęsto nabity długimi, zardzewiałymi gwoździami.

Przypomina małą maczugę najeżoną kolcami, którą posługiwali się rycerze.

Nawet pamiętam nazwę - taka maczuga nazywa się węgiera.

- Uważaj!

Czego stoisz jak słup?

- krzyczy Karol, pochylając się i waląc tłuczkiem w suszarkę, która niemal dopadła mojej nogi.

Potrzcim albo czwartym uderzeniu obudowa urządzenia pęka.

Wewnątrz jest kłębowisko kabli i jakieś żębate kółka, których na pewno nie powinno być w suszarce do włosów, a w samym środku, w wyłożonym blaszkami wgłębieniu tkwi mała, żarząca się kulka.

Wybebeszona maszynka podczołguje się w moim kierunku, Karol uderza tłuczkiem raz jeszcze i czerwono świecąca

kulka wypadaje środka.

Toczy się po ziemi i nieruchomieje.

Dopiero teraz widzę, że to po prostu kawałek gorącego kamyka, a może węgla.

Po kilku sekundach stygnie, dymiąc lekko, i okazuje się niewielkim kawałkiem gruzu, jakich pełno leży dookoła.

Niemam jednak czasu zastanawiać się nad tym, bo karaoke jest tuż-tuż.

Przystaje w odległości metra ode mnie i zaczyna się kołysać.

Kabel przynosi ruch domikrofonu, który zaczyna kreślić w powietrzu koła nadmagnetofonem coraz szybciej i szybciej.

- Toster!

- krzyczy Natałka.

Rzeczywiście, z jeszcze innej strony sunie w naszym kierunku biały toster. Ze szczelin, w które normalnie wkładasz kromki chleba, wysuwają się na przemian dwa wąskie, długie pasy zardzewiałej blachy, które wyglądają na bardzo ostre.

Za tosterem pędzi ręczny mikser do ubijania jajek - zamiast trzepaczek ma zamontowane na długich prętach pogięte, szybko obracające się kolce.

Spomiędzy cegieł wyłaniają się kolejne urządzenia, każde z nich zmienione w śmiercionośną, a przynajmniej niebezpieczną broń.

Piotrek rozdaje kopniaki na prawo i lewo, Karol wali w maszyny tłuczkiem, a Justa okłada jecieżką walizeczką ze śrubokrętami.

Ja prawie nie

mogę się bronić, trzymam Mełę, która obejmuje mniemocno za szyję i wykręca głowę, przyglądając się napastnikom.

Tuż przymojęj nodze pojawia się nagle radiobudzik, z którego wyrasta pęk kabli wijących się nawszystkie strony niczym ramiona wścieklej ośmiornicy, a z drugiej dopada mojego buta najeżona odłamkami blach lokówki.

- Piotrek!

- krzyczę, próbując kopnąć radiobudzik, który jednym z kabli boleśnie smaga mnie po łydce.

Pomóż nam!

Piotrek jest jednak zbyt daleko.

Kopię na oślep lokówkę, kabel radiobudzika ponownie uderza mnie z całej siły, tym razem tuż powyżej kolana.

Smgnięcie bolinawet przez materiał dzinsów.

Kolorowe karaoke z wirującym wściekle mikrofonem pojawia się nagle dwakroki obok.

Już po mnie!

Zaraz mnie dziabnie, przewrócę się, a wtedy wszystkie te rzeczy rzucają się namnie i.

Co będzie z Mełą?

Nagle ktoś potrąca mnie, przebiegając obok.

Natalka!

Przed sobą trzymając pałkę wiadro, ale przecież ono niewiele pomoże, jest za lekkie.

Natalka zatrzymuje się przed lokówką, która od razu rusza w jej stronę.

Dziewczynka podpira spód wiadra jedną dłonią, przechyla je

ina lokówkę leje się struga brudnej wody.

Z urządzenia dobiega głośny syk, błyszczący kształt wpada w dygot i zamiera, dymiąc lekko.

Natalka nie traci czasu, odwraca się i wylewa kolejną porcję wody na radiobudzik, potem na karaoke.

Oburządzenia zatrzymują się w kałużach, drgają lekko i iskrzą, po czym bezwładnie upadają na moką ziemię.

Natalka biegnie do wypełnionej roztopionym śniegiem wyrwy w gruzowisku nieopodal, błyskawicznie napełnia wiadro i chlapiąc na wszystkie strony wodą, wraca na pole bitwy.

Biega od jednego urządzenia do drugiego i starannie je polewa.

Nieświadomie wystawia przy tym koniuszek języka i marszczy brwi.

Wygląda to trochę zabawnie, zupełnie jakby krzątała się w ogródku, podlewając rabatki, ale jest skuteczne.

Niebawem między gruzami leżą kałużach brudnej wody same nieruchome przedmioty.

- No - mówi po wszystkim Natalka, z zadowoleniem spoglądając na pobojeznisko.

A ja jeszcze niedawno myślałem o niej, że jest skończoną ofiarą i pierwsza straci tu głowę!

Zbieramy się dookoła niej i widać, że każde z nas myśli podobnie.

Niewiemy, co powiedzieć.

- Dzięki - mówi w końcu Justa.

-Sami mówiliście, że wiadro jest ważne - wzrusza ramionami Natałka.

-Ja tylko domyśliłam się dlaczego.

Piotrek poklepuje ją po ramieniu bez słowa, Natałkarobi się lekko różowa na twarzy.

Widać, że jest z siebie bardzo dumna.

Całkiem słusznie.

- Widzieliście, co one miały w środku?

- pytam.

-Jakieś druty izębatki- odpowiada Karol.

-Tak, ale nietylko.

W suszarce do włosów był kawałek żaru, takiego jak w rozpalonym piecu.

Albo jak w ognisku, myślę.

Albo w miejscu, gdzie szaleje pożar.

-I cotoznaczy?

-pyta Justa.

- Nie wiem.

Ale pasuje jakoś do całości.

W końcu byłtu pożar, nie?

- Dobra, idziemy dalej- mówi Piotrek.

- Tylko musimy mieć oczy dookoła głowy.

Natałka, na wszelki wypadek nabierz do wiadrowy, Karol pomoże ci je nieść.

Już wiadomo, co nas tu może spotkać.

Niewiem, czy ma rację.

Jeśli już na początku pojawiło się coś takiego, dalej na pewno będzie gorzej.

Tobyła dopiero pierwsza linia obrony Czarnego Młyna.

Kiedy jedno za drugim wchodzimy powolutku do na-

190

stępnej strefy, bardzo szybko okazuje się, że miałem rację.

Hałdy gruzu są tu nieco wyższe, znacznie ostrożniej musimy wybierać drogę między nimi, bo nieuwważny krok grozi utknięciem w plątaninie połamanych prętów zbrojeniowych i ostrej blachy.

Piotrek starannie wytycza szlak, przechodzi parę metrów i dopiero później daje znak, abyśmy szli za nim.

Mijamy dwie hałdy gruzu i osmalony kawałek narożnika jakiegoś budynku.

Po prawej stronie widać popękaną rampę załadunkową, pod którą jest podłużna czarna jama.

Omiatam ją spojrzeniem.

Wydaje mi się, że coś mignęło w wypełniającym ją mroku.

- Piotrek, uważaj z prawej!

- krzyczę.

- Pod rampą!

W tej samej sekundzie spod betonowego nawisu wyczołguje się jakiś kształt.

Z hurgotem i zgrzytaniem przesuwają się między cegłami, po czym wstaje z metalicznym klekotem i trzaskami.

Oniemiały wpatruję się w niego.

Mechaniczny strażnik przewyższający mnie głową zbudowany jest z kilkunastu urządzeń.

Rozpoznaję wśród nich maszynę do szycia, kuchenkę mikrofalową, jakiś duży silnik.

Monstrum ma jedno długie ramię z kabli, prętów i blachy, na którego końcu tkwi

warcząca głośno zielona wiertarka.

Wyglądapokracznie,zupełnie jakby ktoś składał te wszystkie sprzęty w pośpiechu i na chybił trafił, nie mam jednak wątpliwości, żejest śmiertelnie niebezpieczny.

Wspiera się na trzech nogach, z których jednatopostawionyna sztorc hydraulicznypodnośnik do aut pana Waldka, taty Natałki.

Drugajest maszyna dziewiarskapani Michniewskiejdo robieniaswetrów, a trzecią jakiś osmalony,pogięty kawał stalowejbelki.

Strażnik nieruchomieje na ułamek sekundy i naglereszta urządzeń, zktórych jest poskładany, zaczyna pracować.

Głowicamaszyny do szyciaz terkotem poruszasię w górę i w dół, wmikrofalówce zapala się światło,silnik uruchamia się z głośnymwarkotem, a hydrauliczny podnośnik z sykiem rozsuwa się, mocnym, nagłym pchnięciem posuwając stwora w naszym kierunku.

- Do tyłu!

- krzyczy Piotrek.

-Zawracamy!

Natałka,wiadro!

Natałka wyrywa się z osłupienia, z wysiłkiem podnosi wiadro i biegnie do Piotrka, który chwytapaląki zkrótkim okrzykiem zamaszystym gestem chlusta nastrażnika strugą wody.

Z urządzeń sypie się snop iskierisłychać głośny syk.

Bucha kłębypary idymu, urządzenia milkną.

Strażnik staje w miejscu i wpada w dygot.

192

Niebieskie nitkiwyładowań elektrycznych przeskakujamiędzy ramieniem anogami.

W powietrzu rozchodzisięswąd palonego plastiku.

-Już po nim!

- wykrzykuje triumfalnie Karol.

Jajednak, obejmując ciasno Mełę, przyglądam się stworowi ze zmarszczonym czołem.
Tamte, mniejsze maszyny padały na ziemię bez ruchu, a on wciąż stoi.
Nagle wiertarka znowu zaczyna warczeć, dołączają doniej kolejne urządzenia.
Strażnik otrząsa się w potężnym zrywie rusza na nas.

Odwracam się na pięciei zaczynam uciekać, obok mniebieganie Natałka,
pokrzykując coś histerycznie i bezsensu.

Oglądam się przez ramię- Piotrek próbuje zatrzymać strażnika, ciskając w niego
cegłami, jednak nastworzenie robito najmniejszego wrażenia.

Tuż obok z łoskotem rozsypuje się stertagruz, w ostatniej chwili udajemi
się przeskoczyć przez toczące się kawałki betonu.

- Natałka!

- krzyczy Piotrek.

-Szybko, wody!

Nabierz wody!

Dziewczynka zatrzymuje się przede mną, niezdecydowanie rozglądając na
boki.

Wreszcie dostrzega sporą kałużę obok jednej z hałd i napelnia wiadro.

-To nic nie da!

- krzyczy Karol.

-Uciekaj!

193.

- Przynajmniej na chwilę go zatrzymamy!
- odkrzykuje Piotrek, ciskając w strażnika prętem zbrojeniowym.
- Szybciej, Natalka!

Za nami rozlega się kolejny sykwoły i seriaelektrycznych trzasków. Możemytego potworazatrzymać" W chwilę, ale nie da się go w ten sposób unieszkodliwić - myślę gorączkowo, oglądając się przez ramię. Musi jednakmieć jakiś słaby punkt, każdy ma słabypunkt. Gdzieś w środku musibyć kawałek żaru,taki sam jak w suszarce. To jego serce -logiczne. Tenstrażnik może jest i większy, i bardziej skomplikowany, ale na pewno napędza gotasama energia, którauruchamiała małe roboty. Trzeba za wszelką cenę pozbawić gowęgielka! Teraz,gdyjest unieruchomiony! Ale jak?

- Piotrek - wołam.
 - On musi mieć gdzieś w środkutaki sam kawałek żaru jak tamte małe!
 - A gdzie?
 - Piotrek stoi przed dygoczącym, buchającym kłębamiparystrażnikiem.
 - Zobacz z tyłu!
 - krzyczę.
 - Natalka, nabierz wody, trzeba go.
 - Już nabrałam - odpowiada Natalka, taszcząc w stronęstworu obciążone wiadro.
- Piotrek obchodzi strażnika, przyglądając mu sięz uwagą.
- Nic tu nie ma!
 - woła.

Strażnik dygocze coraz mocniej, syk pary milknie. Natalka staje tuż przed nim, bierze zamach i znowu oblewa go wodą. Justa zatrzymujesz się obok mnie i myślisz, mrużąc coś pod nosem i marszcząc brwi.

- Tu jest jakaś blacha!

- woła Piotrek.

-Au!

- Co się stało?

- pytam.

- Gorąca!

Ale i tak nie dostanę się do środka, bo.

- Bo jest przyśrubowana- mówi spokojnie Justa, poklepując znacząco czerwoną walizeczkę.

Kładzie ją na gruzach i otwiera.

-Jakie te śruby?

Z krzyżykiem czy proste?

- Co?

- pyta Piotrek.

-A, z krzyżykiem.

Strażnik dygocze coraz silniej.

- Masz -Justa podaje Piotrkowi śrubokręt z walizki.

Przeciskam się z Melą obok wspartego na trzech pokracznych nogach robota i podchodzę do nich.

Natalka biegnie do kałuży po kolejną porcję wody.

-Już!

- Piotrek ciska na ziemię kwadratowy kawał blachy.

-Rzeczywiście!

Tu jest kilka takich węgielków, ale.

Niewydłubię śrubokrętem!

Są rozżarzone do białości i mocno siedzą!

Potrzebna byłaby jakaś dźwignia.

- Łyżka!

- mówię.

Piotrek patrzy na mnie w lekkim osłupieniu.

Naglewiertarka uruchamia się zwarkotem.

Chłopak szybko sięga za pazuchę i wyciąga łyżkę do zupy.

Głowicamaszyny do szycia zaczynają skakać z góry na dół, a z hydraulicznego podnośnika dobiega głośny syk.

Piotrek wciska łyżkę przez kwadratowy otwór w korpusie strażnika - dopiero teraz orientuję się, że to budowa odkurzacza - i wygarnia ze środka węgielki.

Jest ich kilka, może nawet kilkanaście.

Kawałki żaru sypią się namokrą ziemię, uderzają w nią z sykiem i gasną jeden po drugim.

Sterta urządzeń zamiera błyskawicznie, zaczyna się telepać na bok i rozpada z hukiem.

Odskakujemy w ostatniej chwili, a w miejsce, w którym dopiero costalem z

Melą, uderza z łoskotem maszyna do szycia.

Gapimy się na kupę złomu, w którą zamienił się strażnik.

- Myślicie, że jest ich więcej?

- pyta Justa.

- Tam tych małych było całe mnóstwo - mówię.

Więc pewnie tak.

Muszę odpocząć.

Sadza mostroźnie Melkę na ziemi przyocalałym fragmencie muru i prawie upadam obok.

Ramiona miomdlewają, a plecy pulsują tępym bólem.

196

- Powinniśmy iść - mówi Justa, patrząc w niebo.

- Musimy dotrzeć do Czarnego Młyna, zanim się ściemni, bo inaczej pozabijamy się w tych ruinach.

Nawet z latarkami.

- Wiem - kiwam głową.

- Aleona jest taka ciężka.

- Mogę ją teraz ponieść - mówi Piotrek.

- Żaden problem.

Już mam kiwnąć głową na zgodę.

Byłoby dobrze.

Tak łatwo byłoby obarczyć kogoś innego.

Tyle tylko, że Piotrek jest potrzebny, żeby nas prowadzić.

Nie robi tego, niosąc Mełę.

A ona jest moją siostrą i to ja jestem za nią odpowiedzialny.

Obiecałem mamie.

Melka przygląda mi się bardzo uważnie, a gdy patrzy jej prosto w oczy, uśmiecha się do mnie szeroko.

Nie, oczywiście nie chodzi tylko o to, że obiecałem mamie.

Po prostu muszę.

Ichcę.

- Wio!

- mówi Mela.

Nabieram głęboko powietrza, prostuję się i podnoszę z ziemi.

Ruszamy w stronę Czarnego Młyna.

Kilkanaście metrów dalej wypada na nas drugi strażnik.

Jest przysadzisty i ciężki, bo jego korpus to praktycznie automatyczna.

Z okrągłego otworu w jej froncie wyrastają dwa ramiona - jedno zakończone jakimś hakiem,

197.

a drugie elektrycznym nożem do mięsa.

Robot porusza się na pięciukołach i to daje nam sporą przewagę, bo w gruzowisku nie są one zbyt przydatne.

Dość szybko udajemy się z nim rozprawić.

Ostatni czai się tuż przed wejściem do trzeciej strefy.

Ten jest całkiem zgrabny i lekki, a zarazem najbardziej niebezpieczny.

Przypomina ogromnego pajaka z podłużnym wąskim tułowiem.

Przez długą chwilę niemożę się zorientować, co to jest, ale dostrzegam owalny, czarny bak z wlewem paliwa i już wiem: motocykl Pawła.

Z boków pojazdu wyrastają długie, wieloczłonowe cienkie nogi poskładane z jakichś stalowych tulei, każda jest zakończona elektrycznymi narzędziami - dostrzegam wkrętarkę, szlifierkę, wyrzynarkę i lutownicę.

Nogi tego strażnika są zarazem jego ramionami, robot porusza się znacznie szybciej niż poprzednie, w dodatku nie sposób się do niego zbliżyć na odległość mniejszą niż dwa metry.

Marnujemy dwa pełne wiadra wody, zanim Piotrek wpada na pomysł, żeby wspiąć się na chybotałą piramidę gruzu, chlusnąć na strażnika z góry i skoczyć na niego.

Ze śrubokrętem w zębach zgrabnie ląduje na siodełku motocykla niczym Zorro lub pirat.

Błyskawicznie odkręca śrubki przytrzymujące

klapkę zamontowaną na wierzchu baku i wyciąga łyżkę z kieszeni kurtki.

Nagle strażnik dochodzi do siebie, brzeszczot wyrzynarki zaczyna pracować i ramię strzela w górę, celując w Piotrka.

Natalka krzyczy przeraźliwie i ciska wiadrem.

Zdezorientowany strażnik skupia na nim swoją uwagę - wbija w blachę zakończoną wkrętarciem odnóże i błyskawicznie rozpruwa wiadro wyrzynarką.

W tej samej sekundzie na ziemię sypią się rozżarzone węgle.

Robot zamiera.

Bezżyteczne, zniszczone wiadro upada tuż przed nami.

- Och - mówi Natalka ze zmartwioną miną.

- Co ja narobiłam.

- Uratowałam mnie - stwierdza Piotrek, zeskakując z siodełka motocykla.

- Gdyby niety, byłoby po mnie.

- Ale teraz.

Jak nabierzemy wodę do obrony?

- Natalka uderza się dłonią w czoło - .

zapomniałam termosu!

Został przy tych mniejszych maszynkach!

- Może woda nie będzie już potrzebna, a bez termosu przeżyjemy.

Spisałaś się na medal - oświadcza Justa.

Karol, dawaj linę.

Niedługo się ściemni.

Piotrek na chwilę bierze ode mnie Melkę, a Justa rozdaje nam latarki.

Uzgadniamy, że będę szedł w środku, jako jedyny przewiązany liną w pasie, bo przecież nie

będę mógł jej trzymać, niosąc moją siostrę.

Owijam się, starannie wiążąc mocno supeł.

Jeden koniec liny chwyta Piotrek, za nim ujmuje ją Justa.

Za mną idzie Natalka, a pochód kończy Karol, ściskając w rękę drugi koniec sznura.

Zostawiamy martwego strażnika i wkraczamy w kręty labirynt ruin fabryki, kierując się w stronę górującego nad nimi Czarnego Młyna.

Jak oni mogli to wszystko tak zostawić?

- zastanawiasię Justa, przeciskając się między potężnymi blokami pokruszonych ścian.

- Nikogo to nie obchodziło - stwierdza Karol.

- Postawili tablicę, żeby nie wchodzić, i z głowy.

Między wysokimi ruinami jest znacznie ciemniej, bo choć niebo w górze jest nadal błękitnie jasne, głębokie wąwozy betonowych odłamków zacieniają przejścia. Czuję w ustach metaliczny posmak powietrza, a nozdrza wypełnia mi kwaśny zapach spalenizny.

Nasze kurtki są już czarne od sadzy pokrywającej wszystko dookoła.

Piotrek milczy, świecąc przed sobą latarką i uważnie przyglądając się przejściom.

Na razie nie dzieje się niczego, więc nieco się rozluźniamy.

- Wiecie, że ten młyn stał tu już dużo wcześniej?

Był tu, jeszcze zanim zbudowano kombinat.

To znaczy

201.

nie był to dokładnie ten młyn, ale zawsze stał tu jakiś wiatrak.

- Skąd wiesz?

- pytam.

- Od taty.

Jego dziadek pracował kiedyś w młynie.

Oczywiście młyn wtedy wyglądał zupełnie inaczej.

-Natalka spogląda naramiona śmigające w powietrzu wysoko nad nami i szybko odwraca wzrok.

- To znacznie chodzi mi o to, jak wygląda dzisiaj.

Kiedyś był prosto drewnianym wiatrakiem i już wtedy uważano go za bardzo stary.

Przed wojną się spalił i zastąpiono go murowanym, ale fundamenty zostały stare.

Tata mówił, że były bardzo solidne, kamienne, bo ten poprzedni, drewniany młyn postawiono na miejscu jeszcze starszego wiatraka, który też się palił.

- Czyli były trzy pożary młynów w tym miejscu?

-pytam ze zdumieniem.

-Tak jakby.

- Noi co?

- dopytuje się Karol.

- No i nic.

Działał, mieliło się w nim ziarno namakę.

A potem powstał kombinat.

Na początku młyn był niezbędny, więc ciągle go unowocześniali i rozbudowywali.

Ale potem powstała fabryka i właściwie przestał być potrzebny.

Nie rozebrali go jednak, bo wciąż się przydawał.

202

A poza tym uznali, że to taki jakby zabytek.

W Młynach były kiedyś jeszcze cztery inne wiatraki, ale dziś nie ma po nich śladu.

Dlatego naszawieś nazywa się Młyny.

Ten jeden został, bo był wyjątkowy.

Podobno sześcioramiennymłyny są dosyć rzadkie.

Na ogół mają tylkocztery ramiona, tak jak tamte, które rozebrano.

A ten był nawet w znaku firmowym kombinatu.

Zawsze miał sześć ramion, nawet wtedy, gdy był drewniany, a nie betonowy.

I ten poprzedni, pierwszy też podobno miał

sześć ramion.

Rzeczywiście.

Przypominam sobie tablicę przedstawiającą nasz kombinat, która wisi w klasie w Siejach.

Między zdjęciami i rysunkami było też logo spółdzielni - ciemny sześcioramienny młyn w kole, a dookoła napisy.

Czyli w tym samym miejscu trzykrotnie stawiano sześcioramienne wiatraki i trzykrotnie wybuchał w nich pożar!

Przecież tonie może być przypadek!

Jak to możliwe, że nikt nie zwrócił na to uwagi?

- Dlaczego nigdy namo tymnie mówiłaś?

- pytam, trochę zły, że wie więcej ode mnie.

- Bo ja wiem?

- wzrusza ramionami Natalka.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Zresztą właściwie tego

203.

nie pamiętałam.

Przypomniało mi się niedawno, gdy towszystko się zaczęło.

Myślisz, że to waż.

- Uważajcie!

- krzyczy nagle Piotrek, rzucając się do przodu.

Z głośnym trzaskiem pęka ziemia pod naszymi stopami.

Justa skacze za Piotrkim, ja próbuję się odbić, ale podłoże umyka mi spod stóp.

Odruchowo mocniej przytulam Melkę, próbuję jeszcze się cofnąć, ale powstrzymuje mnie lina, którą jestem obwiązany w pasie, trzymana przez Justę i Piotrka.

Nagle grunt usuwa się bezwładnie zjeżdżam w dół.

- Iwo!

- krzyczy w górze Natałka.

-Iwo!

Bezradnie macham nogami w pustce, która niespodziewanie otworzyła się pod mną, i próbuję znaleźć jakiś punkt podparcia.

Mela wysuwa mi się z objęć, puchowa kurtka podjeżdża jej pod pachy, a ja desperacko staram się chwycić ją mocniej.

Podciągam nogę, próbuję podeprzeć Melę kolanem.

Zjeżdżam gwałtownie jeszcze pół metra w dół, moja głowa znajduje się tuż przy powierzchni gruntu, na wysokości butów Piotrka i Justy.

Lina z podartej koca boleśnie wpija mi się w brzuch, na moment odbierając oddech.

Melka chwytając się mojej kurtki z całej siły, ale jej małe, zniekształ-

cone dłonie są zbyt słabe, śliski materiał przesuwa się między palcami.

Upuszczę ją, myślę w panice, miotając się w szczelinie.

Zaraz mi się wysunie!

- Nie ruszaj się!

- krzyczy Piotrek z góry.

-Przestań się szarpać!

Zaciskam zęby ze wszystkich sił próbuję się uspokoić.

Ściskam Melkę tak mocno, że aż postękujecicho, z głową przyciśniętą do mojej kurtki na wysokości brzucha.

Wiszę prawienieruchomo, nie mam pojęcia, co jest podę mną.

I nagle w głowie pojawia mi się straszna myśl- kto może tam być?

Zaczajony w ciemności, śmigający ostrzami, szczerzący blaszane kły inapędzany przez rozżarzone do czerwoności dłámki węgla.

Wierzgam nogami wbrew własnej woli i zalewa mnie lodowata falapaniki.

- Przestań!

- krzyczy Justa.

-Już was wyciągamy.

Spróbuj się nie ruszać.

Lina jeszcze mocniej wpija mi się w brzuch, uniemożliwiając oddychanie, próbuję krzyknąć, ale nie mogę wydać z siebie głosu.

I wtedy czuję, że minimalnie podsuwam się w górę.

Po chwili jeszcze kawalek, potem następny.

Wpijam palce w kurtkę siostry, moje ramiona wynurzają się z dziury, zaraz potem czubek jej wełnianej

205.

czapki z wielkim, czerwonym pomponem, który zrobiłamama.

To przypominało czary - pamiętam, najpierw wycięła kółko z tektury, w którym zrobiła okrągły otwór i obwinęła je włóczką, tak że powstało coś w rodzaju pączka z dziurką.

Potem grubą igłą przewlekła w kołosznureczek tuż przy tekturze, ścisnęła go, przecięła nożyczkami włóczkę nawiniętą na tekturkę tuż przy brzegu i - rach-ciach powstał okrągły pompon.

Rany, dlaczego akurat teraz przypominają mi się takie głupoty?

Przed oczami zaczynają mi migać ciemne plamy, łapie powietrze ustami jak ryba, ale nie mogę wciągnąć ani jednego oddechu.

Lin prawie przecina mniem pól.

A co będzie, jeśli pęknie?

Przecież tylko stary koc.

- Weź małą!

- woła ktoś nademną.

- Trzymaj go!

Melka podjeżdża do góry.

Dlaczego spadaw górę?

Łapie ją kurczowo, nie mogę.

- Iwo, puść ją.

Ja ją trzymam, już dobrze mówi ktoś.

To Piotrek.

Nacisk liny nagle słabnie, wciągając łapczywie powietrze do płuc raz, drugi, trzeci.

Czerwone plamy przestają wirować mi przed nosem, próbuję zobaczyć się naboki:.

Leżę na kamieniach, obok Justa.

- Melka!

- podrywam się.

- Jest tutaj, wszystko dobrze- uspokaja mnie Natałka.

- Piotrek jątrzymaj.

Jak się czujesz?

- Dobrze- mówię, przetykając ślinę, choć to nie jest do końca prawda.

Ciągle kręci mi się w głowie, a skóra nabrzuchupalimnie, jakby ktoś jąprzypiekał na ogniu.

- Daszradę iść?

-Pewnie, że dam!

- zmuszam się, żeby usiąść, a potem chwiejnie stoję na nogi.

-Już chybaniedaleko - pocieszającym,nieco drżącym tonemmówi Karol, a ja nie wiem, czy to pocieszenie dla mnie, czy dla niego.

- Daj - wyciągam ręce w stronę Meli.

-Jesteś pewien?

- pyta Piotrek.

-Może lepiej teraz ja ją poniosę?

Chociaż kawałek?

- Nie.

To moja siostra.

I moje zadanie.

Biorę Melę i choć kolana nieco mi się uginają, chwytam ją i mocno obejmuję. Uśmiecha się do mnie szeroko.

Nie wiem,jak długo przedzieramy się przez ruiny fabryki.

Ziemia usuwa się jeszcze w dwóch miejscach, ale teraz jesteśmy ostrożniej si - Piotrek sprawdza grunt niesionym przed sobą ciężkim kawałkiem metalowej rury, więc udaję się uniknąć pułapek.

Dwukrotnie utykamy w ślepych

zaułkach między murami, musimy się cofnąć i iść inną drogą.

Niebo szybko ciemnieje, przechodzi w granat i fiolet.

Słońce chowając się daleko za nami, oświetla krwawym blaskiem gigantyczną, piętrzącą się nad naszymi głowami bryłę Czarnego Młyna.

Skrzydła wirują głośnym wiziem powietrza rozdieranego przez pędzące blachy.

Czujemy już podmuch wywołanego przez nie wiatru.

Tyle tylko, że śmigło młyna nie pcha powietrza do przodu.

Ono je zasysa, wciąga jak odkurzacz.

Rozpędzone powietrze śmiga nam koło uszu i napiera na plecy.

Wreszcie wychodzimy pomiędzy fragmentów ścianna odsłonięty kawałek ziemi tuż przed Czarnym Młynem.

Świst obracających się skrzydeł, skrzypienie osi, na których są osadzone, i nierytmiczne dudnienie dobiegające z wnętrza budowli są tak głośne, że musimy do siebie krzyczeć.

- Co teraz?

- Piotrek nachyla się moją stronę.

- Musimy czekać na odpowiedni moment i przeskakiwać pojedynczo między skrzydłami - drę się w odpowiedzi.

- Wiem, ale jak ty przeskoczysz z Melką?

- Dam radę!

- odkrzykuję, chociaż wcale nie mam takiej pewności.

Podchodzimy powoli do młyna, pęd zasysanego powietrza jest bardzo silny.

Drobne odłamki metalii kamyki śmigają koło nas, uderzają w skrzydła przesuwając się tuż przed nami.

Wpatruję się w wejście do Czarnego Młyna.

Jego brzegi są poszarpane i nierówne, z góry zwieszają się w nim szpiczaste, betonowe odłamki.

Jak kły.

Przejście jest jednak szerokie.

Na tyle, by zmieścił się w nim samochód, zwłaszcza maluch - myślę.

Z otworu bije czerwono-pomarańczowe światło.

Poblask kładzie się na nierównej ziemi przed budowlą, ma kształt długiej, rozciągniętej elipsy.

Przypomina język - przychodzi minagle do głowy.

Wejście do Czarnego Młyna wygląda jak rozdziawiona paszcza z wywalonym długim jęzorem.

Stajemy w rzędzie kilkanaście metrów przed czerwoną jamą.

Powietrze śmiga wokół nas, potężne, poszarpane skrzydła przesuwają się miarowo.

Są tak długie, że ich końce wyłobiły już w ziemi podstawy młyna płytki rów.

Przy każdym obrocie wyrzucają w górę murę czarnego żwiru i piasku.

Przyglądamy im się w milczeniu.

Piotrek, potem Justa, ja z Melą w środku, a po prawej Natalka i Karol, który cały czas ściska w dłoń tłuczek do schabowych.

Jednocześnie robimy

krok do przodu, zupełnie jakby ktoś dał znak, ale zanimudaje nam się zrobić następny, w głębokiej, czerwonej jamie zapalają się dwa oślepiająco jasne światła. Wyglądają jak ślepa dzikiej bestii, która czai się gotowa do ataku. Zbliżają się, rosną inagle z potwornym rykiem przemyka między skrzydłami i wyskakuje przed Czarny Młyn jakiś spory, prostokątny kształt, który wydaje mi się znajomy.

To przecież nasz maluch!

krzyczę.

- Mama!

Mama uciekła z Czarnego Młyna!

Mamo!

Próbuję podbiec do samochodu, ale Justa chwytą mnie z całej siły.

- Stój!

- drze się.

Obracam się w jej stronę jak rażony gromem i krzyczę z wściekłością:

- Puszczaj!

To moja mama!

Ślepa jesteś czy co?

Tonasz maluch!

Spoglądam na samochód, który staje przed Czarnym Młynem, kilka metrów od nas.

Czarne skrzydła przesuwają się za nim z wizgiem, oślepiające reflektory auta świecą nam prosto w oczy.

Nagle jednocześnie otwierają się na oścież drzwi od strony kierowcy i pasażera.

- Puść mnie!

- krzyczę do Justy, próbując się wyrwać, ale nagle Mela podnosi ręce i ujmuje moją twarz w dłonie.

211.

Ten gest jest tak niespodziewany, że przestaję się szarpać.

Moja siostramarszczy z wysiłku czoło i przez długą chwilę wpatruje się poważnym wzrokiem w moje oczy.

- Przecież to mama.

- mówię cicho.

Dudnienie młyna, szumi jękliwe skrzywienie skrzydeł całkowicie mnie zagłuszają.

Nie wiem nawet, czy powiedziałem to na głos, czy tylko w myślach.

Coś pojawia się w mojej głowie, jakaś srebrna, drżąca iskierka.

Próbuję ją pochwycić, skupić na niej uwagę, ale znika.

Z wyrazem rozczarowania na twarzy Mela odsuwarączki z moich policzków, obejmuje mnie i kładzie migłową na ramieniu.

- To pułapka!

- mówi głośno Justa.

-A przynajmniej może nią być!

Lepiej bądźmy ostrożni!

W chwili, gdy Justa to mówi, obroty silnika samochodu przybierają na sile, zupełnie jakby ktoś siedzący wewnątrz dodawał gazu.

Nagle z otwartych drzwi wysuwają się stalowe, teleskopowe ramiona, a uchwyty, którymi są zakończone, wspierają się mocno o ziemię.

Ramiona wydłużają się coraz bardziej, wypychając w górę przód malucha, aż autostaje nasztorc na tylnym zderzaku.

W tym momencie spod podwozia wysuwają się cztery kolejne ramiona, dotąd poskładane w harmo-

212

nijkę.

Prostują się i opadają międzyzaścielające gruntu dłami.

Samochód pękawzdłuż napół, a ze środka wyłażą wirujące koła pił tarczowych, trzaskające groźne wielkie nożyce do blach i jakieś haczykowate ostrzaprzypawane

do kolejnych odnóży.

Justa krzyczy coś obok mnie, a lenic nie rozumiem.

Oniemiały wpatruję się w naszego starego małego fiata, który na moich oczach zmienia się w morderczy, żelazny.

.. Właśnie - co?

Z czymś mi się to kojarzy.

Tak, ukwiał!

Oglądaliśmy kiedyś w szkole na lekcji przyrody film o jamochłonach.

I tam były ukwiały.

To zwierzęta, chociaż wyglądają bardziej jak rośliny.

Jedną za drugą pojawiają się w mojej głowie zupełnie niezbędne teraz informacje, które zapamiętałem z lekcji: "ukwiały mają ogromne zdolności adaptacyjne, mogą dostosować się do każdego warunków.

Mają liczne czułki chwytne ułożone w wieńcach dookoła otworu gębowego oraz przydełka.

Niektóre z ukwiałów osiągają nawet półtora metra średnicy".

Maluch odrywa się od ziemi, wznosi niemal metr w górę, wspierając na sześciu stalowych kończynach.

Kilkanaście cienkich, zakończonych groźnymi narzędziami ramion wyciąga się w naszą stronę, falując niczym czułki.

"W niekorzystnych warunkach

ukwiały potrafią oderwać się od podłoża i odpłynąć" - pojawia się kolejna bezsensowna myśl.

Dostałem szóstkę, gdy pani spytała mnie o ukwiały.

Piotrek coś wrzeszczy, ktoś szarpie mnie za kurtkę, Mela mocno obejmuje ramionami moją szyję i wykręca głowę, wpatrując się w wijące się przed nami stalowe monstrum.

- ...

wiadra!

Wiedziałam.

- krzyczy coś za mną Natałka, a janiemal zaczynam śmiać się w głos.

Wiadro!

Ona przejmujesz teraz tym, żenie mamy wiadra!

Żeby zatrzymać tego potwora, niewystarczyłaby nawet cysterna wody!

Jeśli gdzieś wśródku bestiikryje się serce - garść napędzających go rozżarzonych węgli, nigdy się do niego nie dostaniemy!

Nie pomożeni tłuczek do schabowych, ani śrubokręty, ani wiadro brudnej wody!

Macki potworawnoszą się górę, wysoko ponad moją głowę, falują, połyskując w świetle reflektorów samochodu.

Już po nas.

Wszystko stracone!

Nie uratujemy ani siebie, ani naszych rodziców.

Nie powstrzymamy Czarnego Młyna, nie mamy żadnych szans.

Nawet nie uciekniemy.

W tej samej sekundzie od strony, skąd przyszliśmy, na placyk przed Czarnym Młynem ktoś wpada z impetem.

Mijamnie, wrzeszcząc na całe gardło, i zmierza

prosto na żelazne monstrum broniące dostępu do wejścia.

Rozpoznaję ten krzyk.

To przecież Babka!

Przezłam sekundy widzę ją dokładnie i ten obraz wypalasz w mojej pamięci
niczym zrobiona przy lampie błyskowej fotografia.

Babka ubrana w stary kożuch mojego tatysiedzi mocno pochylona na górskim rowerze
Piotrka, pod pachą prawej ręki ściskając długi mocny drag.

To przecież nasz stary kij do kruszenia lodu w studni!

Niczym średniowieczny rycerz na turnieju, z lancą podpachą, Babka pędzisz siłą
wprost na bestię.

Poły kożucha powiewają za nią jak skrzydła, okulary zsunęły się na czubek nosa.

Pasma długich, siwych włosów wymknęły się spod spinek i otaczają jej głowę
falującą, srebrną aureolą.

Kiedy okuty stalowym kołpakiem czubek drąga uderza z łoskotem w sam środek
kłębowiskamacek, Babka strącona siłą odrzutu z siodełka spada z roweru i turla się po
ziemi.

Potwór chwieje się nieznacznie, żelazne odnoża rozpaczliwie biją powietrzu nagle,
bardzo powoli, bestia przechyla się w tył.

Próbuje odzyskać równowagę, jedna z podpór przesuwa się zania i wczepia w grunt,
ale jest za późno.

Maluch cofa się niecały metr i to wystarcza: w tym momencie z
ciemności nadlatuje skrzydło Czarnego Młyna i z łoskotem

uderza w karoserię.

Robotokręca się w miejscu, reflektory omiatają placyk.

Już po chwili zmroku wysuwa się drugieskrzydło, wali w auto i porywa je w górę.

Na placyk spadają oderwane macki, koło piły tarczowej wbija się w ziemię brzękiem dwa kroki ode mnie, a wtedy.

Wtedy z góry sypie się grad rozżarzonychwęgli.

Szybują przez powietrze zsykiem, gasną w locie i upadająmiędzynami.

Jeden, drugi, trzeci.

Jest ich mnóstwo.

Kilkasekund później, gdzieś w ruinach niedalekorozlega się potężny łoskot, gdy martwy korpusmalucha walisie z nieba między gruzy.

Stoję niczym słup soli, mrugając oczami, z szerokootwartą buzią.

Melaśmieje się krótko i mówi:

-Bam!

Tylko tyle.

Przyciskam ją mocno do siebie i biegnęw stronę Babki.

Siedzi na ziemi w rozchełstany,brudnobiałym kozuchu, spod którego wystaje jej fartuch w kwiatki, i rozglądasie dookoła nieprzytomnymwzrokiem.

Okulary jej sięprzekrzywiły, a kok doszczętnie rozleciał -zmierzwiłone włosy falują dookoła twarzy,nadając Babcewygląd srebrnego, trochę skołowanegołwa.

Dopiero teraz widzę, że ma nanogachstare, czerwone kozakimamy.

216

- Skąd się tubabcia wzięła?

- dręsie do niej, próbując przekrzyczeć łoskot Czarnego Młyna.

- Że co?

Mówże głośniej!

- wrzeszczy Babka.

-Coty tam mamrociesz?

- Pytam, skąd.

- zaczynam krzyczeć z całej siły, ale urywam i macham tylko ręką.

Podaję MeleJuście i razem z Piotrkim chwytamy Babkę pod łokcie, pomagając jej wstać.

Babkach wie się lekko, ale szybko łapie równowagę i zniecierpliwionym gestem uwalnia się z naszych objęć.

Poprawia kożuch i przygląda włosy.

- Jak ty wyglądasz?

- krzyczy do mnie.

Cała kurtka ababrana!

W życiu się tego nie dopierze!

Podchodzi doleżącego na ziemi drąga, który po uderzeniu w malucha pękł wzdłuż, a stalowy kołpak naczubku odłamał się i przekrzywił, zawisając na jedynym, wygiętym gwoździu.

- No, patrz.

Taki porządny kołek!

- mówi Babka.

- Teraz to już całkiem na nic!

Potem bierze się pod boki i spogląda na Czarny Młyn.

Przygląda się długo, związując usta w dzióbek.

- A się porobiło!

- odzywa się wreszcie.

- Kiedyś coś takiego było nie dopomyślenia!

217.

- Jak babci się udało przejechać przez kombinat narowerze?

- krzyczę.

, - Co ty gadasz, szaleju się objadłeś?

Jakietalerze?

-Babka spogląda na mnie ze zdumieniem.

- Na rowerze!

Jak się babcia tu dostała?

-Jak będę chciała, to se będę stała!

Niebędziesz mimówił,co mam robić!

- odkrzykuje Babka.

- Zdaje się, że ogłuchła doreszty- stwierdza Justa, podając mi Melkę.

- Wszyscy cali?

Kiwamy głowami.

Piotrek ogląda dokładnie swójrower, który odziwo bez uszczerbku przetrwał szarżęBabki.

Odprowadza go na bok i ustawia w bezpiecznymmiejscu.

Stajemy rzedemprzed wejściem doCzarnego Młyna.

- Myślisz, że ona da radę?

- pyta Karol, pokazującna Babkę.

- Dała radę tudojechać na rowerze - mówię.

- Przezto całe złomowisko.

Załatwiłamalucha.

Poradzi sobie.

Wspinam się na palce i krzyczę prosto do ucha Babki:

- Babcia, wchodzimy dośrodk!

Trzeba przeskoczyćmiędzy jednym a drugim skrzydłem!

- Mydłem?

A skąd ja ci tu mydło wezmę?

-odkrzykuje Babka.

Kilkakrotniemrugam oczami i zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem jej nie przechwaliłem i czy napewno sobie poradzi.

Justa stukają w ramię i namigitumaczy, że trzeba skoczyć między ramionami wiatraka, żeby dostać się do środka.

- Głupia nie jestem!

- Babka w odpowiedzi pogardliwie wzrusza ramionami.

- Oczy mam!

- Idę!

- Piotrek przekrzykuje łoskot wiatraka.

Kiwamy głowami.

Nabiera głęboko powietrza i podchodzi do Czarnego Młyna.

Najeżone kawałkami blachskrzydło przesuwa się tuż przed nim, Piotrek spina się, czeka na kolejne, a gdy tylko masa pogruchota metalu nadpływa z ciemności i mijają wejście, odbija się mocno stopami od ziemi i skacze do środka.

Udało się!

Macha do nas, Justa pokazuje mu w odpowiedzi uniesiony kciuk, a potem sama podchodzi do rowka wyżłobionego w ziemi przez czubki wirujących ramion.

Skacze.

Następna jest Babka, która z kamiennym spokojem wyczeka odpowiedniego momentu, robi duży krok nad zagłębieniem i wchodzi do Czarnego Młyna jak gdyby nigdy nic.

Teraz jaz Mela.

Ze wszystkich sił staram się zachować spokój, przede mną przelatuje jednoskrzydło, potem drugie, trzecie.

Teraz!

Skaczę prosto

w objęcia Justy i Piotrka.

Natalka waha się najdłużej, przerażonym wzrokiem wpatrując się w śmigającą przed nią ramiona wiatraka.

Uśmiecham się, próbując dodać jej otuchy.

Wreszcie zaciska zęby z determinacją i skacze - spóźnia się jednak o ułamek sekundy jeden ze stalowych kolców zaczepia o jej kurtkę.

Natalka z szeroko otwartymi oczami, wydając krótki okrzyk przerażenia, uderza o ścianę wejścia.

W ostatniej chwili Piotrek łapie ją za rękę i wciąga do środka.

Z rozdartej puchówki wyfruwa chmura białych piórek, które jedno po drugim przepływają między nami porwane przez pęd powietrza zasysanego do Czarnego Młyna.

Justa mocno przytula dziewczynkę.

- Podarłam kurtkę!

- mówi zrozpaczonym głosem Natalka.

- Była całkiem nowa.

- No, no, no!

Nie ma co się mazać!

- wykrzykuje Babka, poklepując ją po ramieniu.

Tymczasem Karol ustawia się przed wejściem niczym zawodnik przed startem na bieżni.

Czeka na odpowiedni moment, odbija się i skacze, wyciągając przed siebie pięść jak superbohater z komiksu.

W przejściu ogląda się za siebie z zadowoleniem.

- Widzicie!

Tak robi to mistrz!

- mówi.

220

Justa uśmiecha się z politowaniem, ale w tym uśmiechu jest też odrobina

czułości.

Pewnie nawet więcej niż tylko odrobina.

Korytarz, którym idziemy, przypomina lej.

Im głębiej, tym bardziej nierówne ściany oddalają się od siebie.

Dudnienie przybiera na sile, staje znacznie głośniejsze niż na zewnątrz, zagłusza pisk osi i wiatr powietrzarozdzieranego przez obracające się ramiona wiatraka.

Nagle ściany rozstępują się, a przed nami otwiera się oświetlone pełgającym, czerwonym blaskiem żaru wnętrze Czarnego Młyna.

Przyklejeni do ścian korytarza rozglądamy się uważnie dookoła.

Środek Czarnego Młyna jest właściwie jedną walcowatą, ogromną studnią, która wznosi się hen, wysoko w górę.

Do jego ścian przyczepione są spiralne schody i galerie, oplatanewiązkami przewodów elektrycznych.

Nie ma podłogi - w ziemi widnieje ogromna, bezdenna otchłań, z której bucha żar i wydobywa się blask płomieni.

Jednakśrodkowaprzeźrzenie budowlinie jest pusta.

Okrągłymi jak spodki oczami wpatruję się wzwieszone w centralnym punkcie sali serce Czarnego Młyna.

Na początku nie potrafię się zorientować, co to jest, ale po chwili już wiem.

Topompa!

Nasza stara, młyńska pompa wodna.

Tyle tylko, że teraz nie pompuje już wody.

Gruba, poskładana z metalowych pierścieni rura schodzi w dół, prostodo ognistej jamy w ziemi.

Pompa dudni napę-

222

dzana stalowym pasem transmisyjnym połączonym z potężnymi osiami skrzydeł, które przebijają się przez ścianę wysoko, wysoko nad naszymi głowami.

Wokół pompy wirują dziesiątki, setki pracujących na najwyższych obrotach iobijających się o siebie urządzeń.

Huk jest ogłuszający.

Uświadamiam sobie, że wszystkienaależały do mieszkańców Młynów, nawet nie wiedziałem, że mamy aż tyle różnych rzeczy!

W kłębowiskup przedmiotów widzę buczące odkurzacze, pootwierane, świecące lodówki, grająca pełen regulator magnetofony i radia.

Obracające się miksery, jedną czy dwiewirujące pralki, jakieś kopcające spalinami silniki, zapewne od aut, elektronarzędzia, krajalnice do wędlin, maszynkido mięsa,

odtwarzacze DVD, telewizory ze śnieżącymi ekranami, komputer, kilka mielących powietrze pokojowych wiatraków i dziesiątki innych sprzętów.

A przecież jesteśmy tylko małą wsią, i to biedną, w której mieszka ledwie niecałe czterdzieści osób!

Co by było, gdyby Czarny Młyn odebrał urządzenia mieszkańcom Siej?

Albo jakiegoś miasta?

Nawet nie zmieściłyby się w tym pomieszczeniu!

Jakim cudem potrzebujemy tego wszystkiego i jak znajdujemy czas, żeby tego używać?

Przedmioty wirują wokół pompy, tworząc rozszerzającą się

i kurczącą na przemian kulistą zbieraninę, przeskakującymi między nimi błękitne nitki wyładowań elektrycznych.

Nagle jeden z nich odpływa w bok, wzdłuż kilku cieńszych rur wiodących od pompy w kierunku przyklejonej do ściany galeryjki, na której.

- Mama!

- krzyczy Natałka.

- Tam jest moja mama!

I tata!

Tato!

Zanim komukolwiek z nas udaje się zareagować, Natałka biegnie w stronę najbliższych, chwiejnych, wąskich schodków prowadzących w górę. Przebiega tuż przy krawędzi ognistej rozpadliny, spod jej butów toczą się kawałki gruzu i wpadają w przepaść.

- Zaczekaj!

- wołam i ruszam za nią, mocno obejmując Mełę.

Natałka wspina się po stromych schodkach, nawet nie spoglądając za siebie. Ostrożnie obchodzi rozpadlinę.

Naprawdę wydaje się mieć dna, bucha z niej nieznośne gorąco.

Cały zalewam się potem, powinienem był przynajmniej zdjąć kurtkę!

Za mną idzie reszta.

Docieramy do schodków i zaczynamy wdrapywać się w górę.

Konstrukcja chwieje się lekko i trzeszczy ostrzegawczo pod naszymi stopami.

Co będzie, jeśli się rozsypie?

Oglądam się przestraszonym wzrokiem na Piotrka,

który wspina się zaraz za mną.

On oczywiście wcale się nie boi.

Zrzucił już kurtkę i czapkę, ma nasobnie bluzę od dresu.

Za nim idą Justa z Karolem.

Babka zatrzymała się na najniższym stopniu i z niedowierzaniem kręci głową, przyglądając się pompie.

W górze Natałka wbiega na pierwszą galerię, docierając do kolejnych schodów i wspina się dalej.

Zaciskam zęby i ruszam za nią.

Na galerii przystaję, podaję na chwilę Piotrkowi Mełę i zdejmuję puchówkę.

Rozbieram też Mełę.

Dopiero teraz zauważam, że ona wciąż niesie tego głupiego, żółtego krokodyla.

Schowała go za pazuchą kurtki.

Babka dociera do nas, przygląda mi się i ściąga kożuch, który starannie przewieszając przez poręcz.

- Sweter też jej zdejm!

- woła do mnie.

- Bo się grzeje i przezięb!

Jakbyśmy teraz naprawdę nie mieli większych zmartwień niż katar!

Ale Babka ma rację, stwierdzam, patrząc na moją siostrę, której rozpalona twarz błyszczy od kropelek potu.

Zdejmuję jej przez głowę grubą wełnianą sweter i ruszamy dalej.

Biegniemy galerią, wspinając się na kolejne schody, potem na następne i najeszczędnie.

Jesteśmy już prawie w połowie wysokości Czarnego Młyna.

Spoglądam w dół przez barierkę aż kręci

mi się w głowie.

Stąd lepiej widać rozpadlinę, w której głęboko pod nami szaleje pożar podsycany błękitnymi piorunami strzelającymi z grubych, spływających w dół kamiennych przewodów. Nagle przychodzi mi do głowy, że na zewnątrz zrobiła się zima nie dlatego, że Czarny Młyn obniżył temperaturę.

On po prostu wysłał całe ciepło, całą dostępną energię, jaka była w okolicy, po to, by podsycić ten ogień tłący się odwieku, wielu lat w jego fundamentach.

Śnieg i mróz to tylko efekt uboczny tego pożaru.

Czarny Młyn nie zrobił zimy.

On po prostu zabrał nam to najgorętsze od dawna lato.

Już niedaleko!

- krzyczy Piotrek za moimi plecami.

Wbiegamy na środkową, najszerszą platformę, zamontowaną prawie na wysokości dudniącej ogłuszająco pompy.

Wzdłuż barierki ustawione są długie blaty, na których leżą najróżniejsze narzędzia.

Do stalowych koryt przy blatach z cienkich rur wiodących od pompy wypadają co chwilę rozżarzone węgle, takie same jak te, które zasilają strażników w ruinach kombinatu.

A przyblacie.

pracują w milczeniu wszyscy dorośli mieszkańcy Młynów.

Widzę panią Michniewską, Palikową, państwa Szymańskich, Pawła i jego ciotkę.

Mechanicznymi, szybkimi ruchami przerabiają zwykłe domowe urządze-

226

nia w niebezpieczną broń.

Praca jest zorganizowana taśmowo.

Przyglądam się, jak pani Michniewska sprawnie rozkłada frytkownicę na części, przesuwa ją automatycznie do pani Palikowej, która wierci w obudowie podłużne otwory, a po chwili pan Szymański montuje w nich ostre jak brzytwa blaszane kolce.

Frytkownica przesuwa się do Pawła, który wkłada do środka jakieś żebate kółka i kable, a potem.

Oniemiały przyglądam się mojej mamie, która przyciąga frytkownicę do siebie, żelaznymi szczypcami wyjmując z korytka rozżarzone węgielki, wsuwa go w specjalnie przygotowane gniazdo obudowy urządzenia, a potem przyśrubowuje zamykającą zagłębienie kwadratową kłapkę.

Robi to moja mama, która nigdy w życiu nie miała w ręku śrubokręta!

Ale to przecież ona, nasza mama!

Czuję tak silną ulgę, że aż kręci mi się w głowie i mięknie mi kolana.

- Mamo!

- wykrzykuję i chcę podejść do niej, ale wtedy widzę jej oczy - puste, zupełnie bez wyrazu, jak oczy sklepowego manekina.

Prześlizguję się po mniei po Meli, jakbyśmy byli wystającym kawałkiem ściany, krzesłem, czymś kompletnie nieistotnym.

Mama nie zwraca na nas najmniejszej uwagi!

Ona nas nawet nie widzi!

Wciągając głośno powietrze, mocniej przytulam

227.

Melkę i mrugam szybko powiekami, starając się powstrzymać napływające gwałtownie łzy.

Obok stoi pan Waldek, tata Natalki, która szarpiego za ramię, i szlochając, coś do niego wykrzykuje.

Mężczyzna ignoruje ją tak samo jak moja mama mnie.

Z nieruchomymi oczami pochylam się nad blatem, ujmuję dwa kablei przytyka do obudowy frytkownicy.

Tryskasz iskier i urządzenie ożywa.

Stalowe kolce zaczynają chować się i wysuwać, beczułkowaty przedmiot wiruje po blacie.

Nagle nieruchomieje na ułamek sekundy i rusza w stronę Natalki, którą skupiona na ojcu zupełnie tego nie dostrzega.

Frytkownica z łupnięciem zeskakuje z blatu i podjeżdża do jej nogi.

- Uważaj!

- krzyczy Piotrek, odpycha mnie na boki dopada urządzenia.

Silnym kopnięciem wysyła je w powietrze.

Przedmiot przelatuje nad barierką i wciąż wściekle wirując, chowając i wysuwając naprzemiennie ostrza, spada jak kamień prosto w wypełnioną płomieniami i piorunami dziurę w ziemi.

Z cichym hukiem znika w nagłym rozbłysku ognia.

I wtedy Czarny Młyn nas dostrzega.

Dorośli zgromadzeni przyblacie nieruchomieją, pompa uderza mocniej.

Z ognistej jamy bucha wysoki

płomień, niemal sięgający galerii, na której stoimy.

I nagle jak na rozkaz wszyscy odwracają się w naszą stronę.

Martwymi oczami wpatrują się nas przez krótką chwilę.

- Wieśka!

- krzyczy Babka do pani Michniewskiej.

-Ty nigdy zupełni normalna nie byłaś, ale teraz to już cichyba całkiem odbiło!

Co wy tu wyprawiacie?

Dorośli równocześnie robią krok w naszą stronę.

Zdecydowanie, mocno, równo - niczym żołnierze.

Przez podłogę galerii przebiega drżenie.

Łup!

- drugi krok.

Wszyscy trzymają w rękach narzędzia, niektóre z nich są bardzo niebezpieczne.

- Tato!

- woła rozpaczliwie Natalka.

-Przecież to ja!

Ale oni nas nie widzą.

Widzą tylko zagrożenie dla Czarnego Młyna.

Bo tonie oni na nas patrzą, tylko Czarny Młyn- ta myśl pojawia się w mojej głowie niczym flesz lampy błyskowej.

Dorośli nie są sobą, opanował ich Czarny Młyn.

Nie udanym się nim porozumieć.

Żeby wygrać i ich uwolnić, musimy pokonać.

Co? Czarny Młyn!

Ale jak?

Jak mamy to zrobić?

Łup! - kolejny zbiorowy krok.

Część dorosłych zanaszymi plecami odcina nam drogę ucieczki.

- Szybko!

krzyczy Justa.

Na górę!

229.

- Co nam to da?

- odkrzykuję.

-Stamtąd nie ma żadnej innej drogi.

- Na górę -mówi Melazupelnie cicho, ale ja o dziwodoskonale ją słyszę pomimo huku płomieni, skrzywieniaosi skrzydeł i łoskotu pompy.

Spoglądam na wyższą galerię i dopiero teraz widzę, że prowadzi od niej pomost dosercaCzarnego Młyna.

Wąska, pozbawiona barierek kładka przechodzi międzypędzącymipasami transmisyjnymi przenoszącymi obrotowy ruch skrzydeł wiatrakado pompy i kończy siętuż przy niej.

Nad nią i pod nią przelatują chmury elektrycznych urządzeń.

Łup!- dorośli robią następny krok w naszą stronę.

Od stojącej najbliżej pani Michniewskiej dzieli mniezaledwie pół metra.

Spoglądam w jej niewidzące oczy,a potemprzenoszę wzrok na dłuto, którym przed chwilą rozebrałaafrytkownicę.

Narzędziowygląda na bardzoostre.

Nie ma na co czekać!

- Biegniemy na górę!

- krzyczę do Piotrka i Karola.

- Nataalka,słyszysz?

On tylko wygląda jaktwój tata, aleteraz nim nie jest!

- Przecież.

- płaczliwie zaczyna Nataalka, jednakPiotreknie pozwala jejdokończyć.

230

Chwyta ją za ramię i ciągnie za sobą.

Wbiegamynakolejneschodki prowadzące na wyższą galerię.

W połowie drogi przystaję i oglądamsięza siebie.

Babka!

Zapomniałem o niej!

Piotrek wpada mi na plecy.

- No, co?

- krzyczy, a ja tylko głową pokazuję mu nato, co się dzieje na platformie poniżej.

Nigdy chyba nie widziałem Babki aż tak rozwścieczonej.

Sto przed panią Michniewską, której wydarła z rękidłuto, i właśnie ciska je na podłogę, wyrzaskując jakieś obelgi.

Na moich oczach odbiera naszej mamie żelazną szczypcę i ciska je za barierkę.

Koziołkują w powietrzu, spadając w pożar.

- Poradzi sobie!

- krzyczy Piotrek.

Kiwa głową i zaczynam wspinać się dalej.

Wbiegamy na galerię i pędzimy do pomostu.

Kiedy przednim staję, dopiero teraz widzę, jak bardzo jest wąski.

To po prostu kawał dźwigara, który kiedyś zapewne podtrzymywał dach w jednym z magazynów kombinatu.

Mazaledwie dwadzieścia, może trzydzieści centymetrów szerokości.

- Co teraz?

wołam ją, przytrzymując się barierki.

- Nie wiem!

- odkrzykuję.

- Ale ona powiedziała, że musimy tu przyjść!

Melka!

231.

- Mela!

- krzyczy Justa do mojej siostry.

-Co mamy teraz zrobić?

Mela spogląda na Justę, potem przenosi wzrok na jej twarz.

Marszczy brwi i intensywnie wpatruje się w moje oczy.

Już mam zapytać, o co jej chodzi, ale w tym samym momencie.

dzieje się coś dziwnego.

Mam wrażenie, jakby w mojej głowie ktoś delikatnie przekręcał jakieś pokrętko, podobne do tego, jakim kiedyś wyszukiwało się sygnał w radioodbiorniku.

Srebrna iskierka, której obecność poczułem w moich myślach tuż przed wejściem do Młyna, powraca.

Drży niepewnie i powolutku rośnie.

Huk, łoskot pompy, skrzywienie skrzydeł, od którego trzęsienie cały Czarny Młyn - wszystkie niespodziewanie cichnie, przesuwa się pozamnie.

Nadal trwa, wiem, że to słyszę, jednak na pierwszy plan wysuwa się coś innego.

Moja siostra wysyła do mnie komunikat.

.. To nie są ani słowa, ani pełne zdania.

Świadomość tego, co muszę zrobić, pojawia się w moich myślach w formie impulsu i pragnienia.

- Musimy tam iść!

- krzyczę do Justy.

- Dobra!

-Justa spokojnie, jak gdyby nigdy nic, podchodzi krok bliżej kładki.

- Nie!

- zatrzymuję ją.

-Tylko my!

232

-Kto my?

- Jai ona!

A właściwie tytkoona,ale beze mnie niedojdzie!

- Zwariowałaś?

- pyta Piotrek.

Kręcę głową przecząco.

- Skąd to wiesz?

- krzyczy Karol.

- Powiedziała mi.

Prosto do głowy!

- Telepatycznie?

- dopytuje się Karol.

-Na przykładjak w X-Menach

- Powiedzmy!

-Ale jak chcesz tam dojść?

- krzyczy do mnie Piotrek, przyglądając się wąskiej kładce.

-Przecieżmaszłęk wysokości!

Nawet na drabinęw stodole boisz sięwejść.

- Ale teraz muszę!

odkrzykuję.

-Ja pójdę!

Daj mi ją!

- Nie!

- odpowiadam.

To moja siostra!

Wiem, cotrzeba zrobić!

Patrzęna niższagalериę i widzę, że chociaż Babka walczy jak lew, to jednaknie może powstrzymaćwszystkich sama jedna.

Szarpiesię z panią Szymańską,aw tym czasie kilkoro dorosłych wspięło się jużdo połowy schodów.

Będą tu zadwie minuty.

- Idę!

- krzyczę.

Obejmuję mocno Mełę, przełykam ślinę, nabieram głęboko powietrza i stawiam nogę na stalowej belce.

Przesuwam stopę do przodu, przenoszę na nią ciężar ciała, dosuwam drugą. Patrzę przed siebie na odległy koniec kładki.

Tak naprawdę walenie jest długa, ma może z dziesięć metrów.

Wysuwam stopę.

Dziesięć metrów to niedużo.

Zwykłe łóżko ma dwametry.

Dziesięć metrów to pięć zestawionych ze sobą łóżek.

Przenoszę ciężar, dosuwam drugą stopę.

Serce dudni mi głośniejsz niż pompa przed nami.

Czy kiedyś bałem się bardziej niż teraz?

Nie wiem.

Bałem się ciemności, tajemniczego skrzypienia i stukania na korytarzu, na którym nikogo nie było.

Bałem się wejść po drabinie na krokwie pod dachem naszej stodoły, chociaż dla Piotrka tonie był żaden specjalny wyczyn - wspinał się pod sam pułap i schodził, kiedy tylko miała to ochotę.

Wysuwam stopę przed siebie, oblizując suche jak pieprz wargi.

Ta myśl wspina się na belki

w stodole sprawia, że w głowie zaczyna mi coś świtać, tylko jeszcze nie wiem co.
Zaraz.

"Na belkach"- tak przecież powiedziała Mela do Babki, gdy wychodzili' śmy z domu.

Teraz wiem, oco jej chodziło!

Na belkach pod dachem stodoły leżał drąg do kruszenia lodu.

Ktogo tam położył?

Pewnie tata.

Przenoszę ciężar ciaław przód, dosuwam stopę.

A więc Babka musiała wejść po drabinie na sam jej szczyt i ściągnąć ten długi kij.

Wcale się nie bała.

Skoro ona się nie bała, ja też nie będę.

Najważniejszeto nie oglądać się za siebie, chociaż mam nato wielką ochotę, bo
chciałbym sprawdzić, jak daleko już doszedłem.

Koniec kładki wcale się nie przybliżył.

Ale jeśli spojrzę za siebie i okaże się, że zamną dopiero mały kawałek, tona pewno
mnieto osłabi.

I mogę stracić równowagę.

Kroplapotu spływa miz czoła ponosie, odrywa się od jego czubka i spada.

Wysuwam stopę do przodu.

To najdłuższawędrówka w moim życiu.

Docieramy do pasów transmisyjnych, które z furkotem pędzą po obustronach kładki -
ten z lewej w dół, ten z prawej w górę.

Wysoko nade mną obracają się osie skrzydeł.

Dopiero teraz przychodzi mi do głowy, że ich ruch jest odwrotny do ruchu
wskazówek zegara.

Tylko jakie to ma teraz zna-
czenie?

Przystaję na moment, znów oddycham głęboko.

Pasy po bokach dają mi nikłe poczucie bezpieczeństwa, chociaż wiem, że nie

stanowiłyby żadnego zabezpieczenia.

Zaraz,przecież gdyby ta belka leżała na trawie,biegałbym po niej wtę i z powrotem z zamkniętymi oczami!

To bez sensu.

Wysuwam stopę do przodu.

Mela odwraca głowę i spogląda na pompę.

Teraz,kiedy nawiązała ze mną to dziwne połączenie, które pstryknęło w mojej głowie i wciąż trwa, wiem o niej więcej.

Jest inna, to prawda, ale wcale nie gorsza odemnie, Justy, Karolaczy Piotrka.

Nie gorsza od Natalki,choć ma niekształcone plecy, nigdy nie urosnie i nie ma ładnej buzi.

Myśli inaczej niż my i trudno jej się z nami porozumieć, ale z jej punktu widzenia to my jesteśmy inni,a nie ona.

Ona wie różne rzeczy,z których my nie zdajemy sobie sprawy, a my z kolei wiemy rzeczy,których ona nie wie.

Rzeczy,które wie ona,i rzeczy,które wiemy my, nie są ani lepsze, ani gorsze -są po prostu inne.

A gdyby ona nie była taka, jaka jest, mielibyśmy teraz przechłapanie.

Nikt z nas nie poradziłby sobie z Czarnym Młynem,może to zrobić tylko moja siostra.

Tylko ona rozumie, co się tu dzieje.

I właśnie próbuje mi to wytłumaczyć.

Nagle przed moim nosem przelatuje buczący głośno młynek do kawy, czuję na twarzy podmuch powietrza i zapach zmielonych ziaren.

Chwieję się leciutko, - próbując utrzymać równowagę.

Prawie doszliśmy!

Aleco teraz?

Jak przejść między wirującymi w powietrzu gratami?

Nawet jeśli uderzy we mnie mały młynek do kawy, od razu spadnę, przecież wokół pompy wirują dużo większe rzeczy!

Pralka czy lodówka zmiotłyby mnie stąd w mgnieniu oka.

Zaciskam powieki, odzyskuję równowagę i staram się oddychać równo.

Po chwili spoglądam znowu przed siebie wtedy.

- Już - mówi Mela.

W tym momencie otwiera się przed nami przezroczysty, okrągły tunel o niematerialnych, jarzących się lekko ścianach.

Drgają leciutko i zniekształcają obraz wirujących po bokach urządzeń, tak samo jak gorące powietrze unoszące się latem nad asfaltem zniekształca widok drogi.

- Jak to zrobiłaś?

pytam, chociaż wiem, że mi nie odpowie.

A jednak próbuje.

W mojej głowie pojawia się niejasny obraz kilku przecinających się ze sobą linii, zakręcających w przestrzeni wracających do punktu wyjścia,

ale nie potrafię go zrozumieć.

Obraz rozplywa się i znika.

Ruszam przed siebie.

Atakujące nas urządzenia uderzają o ściany tunelu, osuwają się ponich miękko, lecąc dalej, okrążając centrum budowli.

Po czterech krokach docieramy do krańca kładki.

Tuż przed nami wisi pompa wodna.

Stalowa powierzchnia jej cylindrów połyskuje tłustym, czarnym smarem.
Mela wykręca się w moich ramionach i wyciąga rączki w kierunku serca Czarnego
Młyna.
Pochylam się bardzo ostrożnie, przysuwam ją bliżej, jeszcze kawałek i.
Jej dłonie opierają się na budowie pompy.
Mela staje się nagle niezwykle lekka, wypływa z moich objęć.
Zupełnie nie jestem na to przygotowany, tracę równowagę i lecę w bok.
Usta otwierają się do krzyku, ale wtedy uderzam w niematerialną ściankę tunelu,
która dla nas stworzyła.
Ściana powietrza ugina się miękko pod moim łokciem, stawia opór i odpycha mnie z
powrotem.
Zamykam usta z lekkim klapaniem, wytrzeszczając oczy, wracam do
pionowej pozycji na kładce.

Czy przez cały czas Mela chroniła mnie w ten sposób?

Gdybym o tym wiedział, nie bałbym się tak!

Mogłami dać jakoś znać!

Przez ułamek sekundy czuję złość, która jednak znika równie szybko, jak się
pojawiła.

Jakie

to ma znaczenie!

Dotarliśmy do końca i teraz.

Nagle włosyna głowiestają mi dęba, a powietrze gwałtownie się elektryzuje.

Czuję delikatne mrowienie na skórze i ramiona pokrywają mi się gęsią skórką.

Z upiornym, przeciągłym zgrzytem pompasie zatrzymuje, wstrzymując także ruch skrzydeł Czarnego Młyna.

Przez chwilę brzęczą jeszcze napięte pasy transmisyjne z moimi plecami, ale i one milkną.

Wszystkie urządzenia zawisają na ułamek sekundy w powietrzu, wyłączają się, po czym spadają niczym grad i znikają w ognistej rozpadlinie.

Słysząc, jak wybuchają z hukiem jedno po drugim, i nagle zapada cisza.

Dzwoni mi w uszach.

Spoglądam w dół i widzę, że płomienie szalejące w otchłani poniżej słabną.

Po chwili nie widać już ognia, tylko czerwony żar.

Wpatruję się oniemiały w jezioro kobluczącej głęboko w dole lawy.

Wtedy dostrzegam żółtego krokodyla leżącego na samym końcu kładki, tuż przy moich nogach.

Pochylam się i go podnoszę.

Mela stoina pompie przede mną.

A właściwie niestoi, bo przecież zniekształcone nogi nie byłyby w stanie utrzymać jej w takiej pozycji.

Ona po prostu unosi się w powietrzu, opierając się lekko czubkami stóp o tłustą pokrywę urządzenia niczym w stanie nieważkości.

Spogląda w dół w skupieniu, wyciągając przed siebie rączki, zupełnie jakby próbowała uspokoić złego psa.

Albo jakieś inne zwierzę, które nie tyle jej zagraża, ile się jej boi.

Trwa tak przez kilka sekund, wreszcie podnosi głowę i patrzy mi prosto w oczy.

Czuję, że próbuje coś powiedzieć, ale z pompy nagle dochodzi niski pomruk i

krótki zgrzyt.

Mela opuszcza oczy i z powrotemskupia się na urzędzeniu.

W moich myślach pojawia sięjasny, wypisany czerwonymi, pulsującymi literami komunikat: UCIEKAJCIE!

Iznika niemal natychmiast.

Czuję znowu w głowie pstryknięcie i nić porozumienia,którą nawiązała ze mną Melka, znika jak zdmuchnięta.

Mamyuciekać?

A co z nią?

Myślę rozpaczliwie,alewiem, że niemam czasu do stracenia.

Odwracam sięna pięcie i biegnękładką z powrotem, ściskając w dłoniżółtą zabawkę.

Nie wiem, czy ta niewidzialna zapora,którą moja siostra ustawiła po bokach pomostu, jeszczeistnieje, ale zakładam, że tak.

Wbiegam na galerięmiędzy resztę dzieciaków, które gapiąsię na mnie zezbaraniałymi minami.

- Musimyuciekać!

- krzyczę.

-Natychmiast!

Rzucamy się w stronę schodów.

Za nami rozlega sięnarastający,metaliczny jęk.

Szybciej!

Dorośli na galerii

piętro niżej rozglądają się wokół nieprzytomnym wzrokiem, widać, że nie mają pojęcia, gdzie są ani jak się tuznali.

Wpadamy między nich, ponaglając krzykami do ucieczki.

Chwytam za rękę mamę, która mocno zaciska swoją dłoń na mojej.

- Musimy uciekać - mówię do niej.

- Później ci wszystko opowiem!

- Gdzie jest Melka?

- pyta.

- Tam - odwracam się i wskazuję na zawieszoną w powietrzu pompę.

Mela unosi się nad nią i spogląda na nas.

Mama wydaje okrzyk przerażenia, próbuje wbiec na schody, ale moja siostra podnosi rękę imacha do niej.

Nie wiem, czy nawiązują taki sam rodzaj połączenia, jaki Melka nawiązała niedawno ze mną, ale chyba tak, bo twarz mojej mamy nagle się zmienia.

Znika wyraz przestachu, pojawia się zrozumienie.

I jakiś straszny smutek.

Mama stoi na stopniach przez krótką chwilę i smutno przygląda się Meli.

Wreszcie kiwa głową, odwraca się i ciągnie mnie za rękę w kierunku zejścia.

Tabun ludzi zbiega przed nami pokruchych schodach, które tylko cudem się pod nami nie rozpadają.

Babka, przebiegając przez najniższą galerię, skwapli-

wie łapie zawieszony na barierce kożuch taty Wypa; damy przez otwór między skrzydłami na placyk przed Czarnym Młynem, biegniemy kilkanaście metrów dalej i zatrzymujemy się, spoglądając za siebie.

Nieruchome skrzydła Czarnego Młyna odcinają się od jaśniejącego zaniem w oddali nieba.

Wschodzi słońce.

Jest zimno, choć znacznie cieplej niż było, kiedy tu szliśmy.

Ale przecież wczesne poranki nawet latem bywają chłodne.

Metaliczny jęk wydobywający się z wnętrza Czarnego Młyna narasta i zmienia się ogłuszający, krótki zgrzyt.

Słyszałem już ten dźwięk - a przynajmniej bardzo podobny - gdy leżeliśmy na ławce obok autostrady, przyglądając się dmuchawcom.

Skrzydła młyna bardzo powoliruszają z miejsca.

Ale tym razem obracają się w drugą stronę, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Jeden obrót, drugi, trzeci.

Przyspieszają coraz bardziej, w naszą stronę płynie fala coraz silniejszego, ciepłego podmuchu, który szybko nabiera mocy i zamienia się w wicher.

Podnoszę ramie i zasłaniam oczy.

Pchany wiatrem muszę mocno zapierać się nogami, żeby nie upaść.

Skrzydła wirują coraz szybciej i szybciej - tak szybko, że wreszcie zlewają się jeden szary, migoczący dysk.

I wtedy ziemia wokół

Czarnego Młyna pęka.

Szczelina poszerza się szybko, sypią się w nią odłamki gruzu.

Z krzykiem przerażenia odskakujemy wstronę ruin.

Czarny Młyn drży, trzęsiesię, jęczy i nagle z ogłuszającym hukiem jego kamienne fundamenty wyłaniają się z ziemi.

Budynek wzbija się ciężko, chwieje na boki, przez chwilę zawisa kilka metrów nad ziemią, po czym zaczyna wznosić się w górę, ciągnąc za sobą ogon poskręcanych, wyrwanych wiązek kabli i długą, stalową rurę, przez którą wcześniej wyciągał z pożaru gorejące kawałki żużla.

Wzlatuje coraz wyżej, ponad czubki śnieżonych drzew, nad słupy wysokiego napięcia, aż pod same postrzępione obłoki napórannym, różowo błękitnym niebie.

Nieruchomieje na moment - małeńki, czarny prostokąt, niewiele większy od przecinka w książce - po czym szybko nabiera prędkości i rusza na północ.

Przyciskając do piersi żółtego krokodyla, przyglądam mu się długo, najdłużej ze wszystkich.

Wiem, dokąd leci.

I wiem, że wróci.

Pewnie wróci sam Czarny Młyn - jego miejsce jest gdzieś indziej, może nawet poza naszym światem.

Ale wrócimo ja siostra, wierzę w to bardzo mocno.

- Nie da się tak latać - mówi Paweł.

- Wiatrak to nie helikopter.

- Ale ten poleciał, nie?

mówi pan Kawecki.

- Czynie poleciał.

Przecież nam się chyba nie zdawało!

Widział pan to, panie Palik?

- Hm - mruczy pan Palik, głaszcząc się pobrodzie.

-Coś tam niby widziałem, nie wiem.

Dziwne to wszystko.

Jak myśmysię tu dostali?

Pamięta pan coś?

-Ja..

- zastanawia się pan Kawecki, po czym zdecydowanie kręci głową imówi:- Nic a nic.

Słyszę, jak obok Babka głośno wyklóca się o coś z panią Michniewską.

Natalka rozemocjonowanym głosem opowiada o wszystkim swoim rodzicom.

Piotrek troskliwie ogląda rower.

Justa przytulona do swojej mamy przekomarza się z Karolem.

Pani Palikowa wypytuje wszystkich z zachwytem, czy widzą, jakie piękne kolory ma niebo, i oświadcza, że musi, po prostu musi jedzie tutaj namalować i zacznie zaraz, gdy tylko dotrze do domu.

Państwo Szymańscy martwią się o swoją starą Zebkę, która siedzi w budzie na podwórku i pewnie zanimitęskni, ami przypomina się nasz Karmel.

Wiem, że dał sobie radę, kiedy nas nie było.

Nikt nie mówi nic na temat mojej siostry, ale wiem, że wszyscy o niej myślą.

Dorośli trudniej zaakceptować nie zwykłe wydarzenia.

Potrafiają sobie wytłumaczyć po

swojemu albo udawać, że coś dziwnego po prostu się stało.

Przez jakiś czas pewnie będą rozmawiali o temacie tych kilku lipcowych dni, a później uwierzą, że wszystko im się zdawało.

Powiedzą na przykład, że Czarny Młyn spalił się po raz kolejny albo zawalił, że wszystkie elektryczne urządzenia zostały przez kogoś ukradzione, a śnieg i mróz w środku lata były tylko przywidzeniem lub po prostu anomalią pogodową, jak się przecież czasem zdarza.

Ale ani ja, ani inne dzieci z Młynów tego nie zapomnimy.

Myślę, że nie zapomni też moja mama.

Ludzi wokół jest coraz mniej.

Po kolei ostrożnie przechodzą przez ruiny kombinatu i zwracają się w stronę wsi.

Zresztą teraz, w jasnym świetle słonecznego poranka, bez Czarnego Młyna wznoszącego się nad nimi, ruiny wcale już nie wyglądają złowieszczo.

To tylko stertę brudnych kamieni i połamanych blach.

Są smutne i brzydkie, a lenie groźne.

Mama stoi obok, kładzie rękę na moim ramieniu.

Milczy przez długi czas, a potem przytula mnie mocno.

Odsuwa się i wyciąga do mnie rękę.

Chwytam ją swoją dłoń, chociaż przecież jestem już za duży, żeby chodzić z mamą za rękę.

Ale niedziś.

- Chodźmy do domu, Iwo - mówi mama.

- Mela wróci - mówię.

- Uratowała nas i cały świat, a teraz poleciała.

Może tam, dokąd poleciała, spotkasz ją?

Ale wróci, wróci na pewno, zobaczysz.

Mama się smutno śmieje, mały na policzkach.

Osuwając dłoń z oczu przed słońcem, spogląda na północną część nieba.

Czarnakropka już dawno zniknęła między chmurami.

- Wiem.

Musimy tylko poczekać - mówi mama.

-A teraz chodźmy, zrobię na śniadanie naleśniki.

Z truskawkami, takie jak lubisz.

Uśmiecham się do niej, mocniej chwytam jej rękę.

Idziemy do domu.

Dziękuję mojej wychowawczyni i polonistce pani Barbarze Michalak ze Szkoły Podstawowej nr w Warszawie za to, że nauczyła mnie kochać książki, oraz mojej wychowawczyni i polonistce z Liceum Ogólnokształcącego nr 2 im.

Mieszkał w Szczecinie, pani Iwone Stypule-Dworak, która nauczyła mnie myśleć, a także rozumieć kochać teatr.

W dużej mierze to dzięki nim mogę teraz zajmować się tym, czym się zajmuję - czyli pisaniem książek i sztuk teatralnych.